



KATIE HICKMAN



Brylant Pindara

Część pierwsza

ROZDZIAŁ PIERWSZY

1603 rok

Różne rzeczy powiadają o tym, jak to jest, kiedy się tonie, nieprawdaż?

Że to powolna i pełna majaków śmierć. Że kiedy tak przechodzimy do nicości czy też do innego świata, staje nam przed oczami całe nasze życie... Chociaż później, kiedy było już po wszystkim, nie mogła zrozumieć, jak coś takiego mogło komukolwiek przyjść do głowy.

Nie mówią na przykład o tym, co się słyszy, kiedy się tonie. Nie chodzi o dźwięk przewalających się na powierzchni fal ani skrzypienie łodzi czy nawet zduszone głosy wioślarzy - „No, chłopcy, kończcie, im szybciej się z tym uporacie, tym szybciej wrócimy do domu” - ani też o potworny, ogłuszający huk wody w uszach. Jest jeszcze dźwięk własnego głosu, którego nie można zapomnieć. Ten głos, który błaga, prosi, łkając - „Nie to, nie w ten sposób, tylko nie worek, błagam, błagam, najpierw mnie zabijcie” - wciąż, nawet już w wodzie, mówi to samo, aż w końcu wydaje się, że to głos nas dusi, pozbawiając powietrza. Być może dlatego ona teraz nic już nie mówi. W ogóle się nie odzywa. Teraz, kiedy jest już po wszystkim, kiedy przeszła do innego świata.

ROZDZIAŁ DRUGI

Południowe wybrzeże Włoch, 1604 rok

Kiedy kobiety dotarły do tej wioski, wydała im się najnędzniejsza ze wszystkich, jakie do tej pory napotkały w tym i tak niezwykle biednym rejonie.

Mimo że podróżowały w nocy i przybyły tutaj wczesnym rankiem, od razu zrozumiały, że popełniły błąd, wybierając to miejsce. Nie była to wioska w pełnym tego słowa znaczeniu, raczej osada złożona z chat rybackich, które niczym małże przywarły do ponurego nadbrzeża. Z morza wyglądały zapewne jak sterty wyrzuconego przez kolejne przypyływy, wymytego przez fale drewna, a przy bliższych oględzinach okazywało się, że są tym w istocie. Drewno, szmaty i niewiele więcej.

Nauczone doświadczeniem kobiety zatrzymały się na brzegu wioski i przyjrzały się nieufnie celowi swojej podróży. Nie dostrzegły kościoła czy choćby kaplicy, chociaż kamienny przydrożny krzyż przybrano jak prawdziwą świątynię - kwiatami oraz obrazem Matki Boskiej namalowanym niezgrabnie na kawałku blachy. Nad jej głową umieszczono medaliki wotywny z podobizną kobiety w koronie, które pobrzękiwały przy kolejnych podmuchach wiatru. Nieopodal znajdowały się ruiny budynków, które musiały kiedyś stanowić znacznie lepszą siedzibę. Ich dachy zawaliły się, a poczerńiałe krokwie wystawały przez warstwę słomy niczym pogruhotane kości, ale gdzieś widać było kamienny gzyms albo rzeźbione framugi, co wskazywało na dawno zapomnianą zamożność niegdysiejszych mieszkańców wioski.

Dwie dziewczynki, bliźniaczki, mające jakieś osiem, dziewięć lat, zeskoczyły z wozu i zaczęły biegać po zniszczonych podwórkach niczym żywe srebro. Wyglądały jak motyle w swoich jasnych, kolorowych sukniach. Maryam, która przewodziła wyprawie, przywołała je ostro do siebie.

- Skąd pomysł, żeby pozwalać im tak biegać? - zwróciła się do ich matki, kobiety o bladej, smutnej twarzy pierrota, która siedziała obok niej na koźle.

- A co w tym złego? Niech się trochę poruszają - odparła łagodnie tamta.

- Każ im tu przyjść i koniec. - Maryam ściągnęła wargi. - Odjeżdżamy.

- Ale dopiero co przyjechałyśmy...

- Popatrz. - Maryam wskazała drzwi wiszące smętnie na jednym zawiasie.

Elena natychmiast zauważyła namalowany wapnem krzyż. Serce podskoczyło jej w piersi.

- Wysłał nas do wioski, w której panowała zaraza?

- To by wiele wyjaśniało, nie sądzisz? - Maryam wskazała brodą opuszczoną osadę.

- Ale przecież mówił...

- Nieważne. I tak nie możemy tu zostać. - Maryam zeskoczyła z kozła. Nawet boso była wyższa od większości mężczyzn, miała też potężne bicepsy i klatkę piersiową. Lejce po prostu niktęły w jej wielkich dłoniach.

- Nie damy rady jechać dalej, to trwa już zbyt długo. - Gorące podmuchy targały włosami Eleny. - Dzieci są bardzo zmęczone. Wszyscy jesteśmy zmęczeni. - Spojrzała na różnobarwną grupę kobiet na wozie, a potem na konia. - Ten biedak może nam paść po drodze.

Stworzenie było tak chude, że wystawały mu wszystkie żebra, i stało teraz ze zwieszoną głową, niemal dotykając pyskiem ziemi.

- Wszystko mi jedno. Jedziemy dalej, i tyle.

Maryam dała sygnał do odjazdu, a następnie przerzuciła lejce nad głowę konia i zaczęła go prowadzić wąskim pasem ziemi między chatami a morzem.

Zwierzę potknęło się i upadło na skraju wydmy. I chociaż Maryam biła je, aż rozboleła ją ramię, było jasne, że koń już nigdy się nie podniesie.

Później, kiedy inne kobiety zabrały się do rozbijania obozu w cieniu dwóch poskręcanych drzew oliwnych, Elena odnalazła Maryam, która siedziała oparta o kępę trawy. Milczały przez chwilę, patrząc w morze. Wiatr zelżał trochę, a ciszę przerywał jedynie syk rozbijających się o nadbrzeże niewielkich fal. Nie było tu piasku, tylko wąski pas kamieni. W powietrzu unosił się zapach wodorostów i gnijącego sosnowego drewna.

- Przyniosłam ci jedzenie. - Elena podała jej kawałek chleba z serem.

Maryam ugryzła. Poczowała smak soli na wargach. Włożyła resztę jedzenia do skórzanego woreczka, który miała przytroczone do pasa.

- Wygląda na to, że jednak tu zostaniemy - powiedziała po chwili. Głos miała szorstki. Żadna z nich nie wspomniała padłego konia.

- Potrzebujemy jakiegoś zajęcia.

- Zajęcia? *Panagia mou!* Na miłość boską, tu nie ma nic do roboty! - Maryam powiedziała to tak, jakby miała w ustach coś kwaśnego.

- Ale... myślałam, że powiedziałaś... - Elena zerknęła na nią. - A co ze świętem wioski?

- Nie ma żadnego święta.

- Żadnego święta? Zawsze jest jakieś święto. - Elena próbowała wprowadzić nieco optymizmu do rozmowy.

- Tutaj? W tej wymarłej wiosce? Przecież tu nikt nie mieszka. - Maryam skinęła głową w stronę chat. - Musimy się w końcu pogodzić z tym, że nas oszukano. Zresztą nie pierwszy raz. Już

wędrowni akrobaci to prawie jak złodzieje Cyganie, nie mówiąc o wędrownych akrobatkach, bez mężów czy ojców, którzy wbiliby im trochę rozumu do głowy - rzuciła z goryczą. - Ten człowiek z Messyny uznał pewnie, że to wbrew naturze, dlatego wysłał nas do tej dziczy.

- Ten człowiek, Maryam...

Ale Maryam nie słuchała. Myślała o koniu, który zaczął się już rozkładać w tym skwarze. Ukryła twarz w dłoniach. Czy powinny go zjeść? A może sprzedać? Przycisnęła oczy palcami, mocno, aż zobaczyła gwiazdy. Utrata konia była tak wielką stratą, że jeszcze nie dotarli do niej wszystkie konsekwencje tego nieszczęśliwego zdarzenia. Będą musiały przede wszystkim wrócić do Messyny, co oznaczało długi marsz. Dotarcie tutaj zajęło im trzy dni. Jednak teraz będzie znacznie gorzej. Maryam jako siłaczka była, co prawda, silniejsza od trzech mężczyzn, ale wątpiła, czy udałoby jej się pociągnąć wóz. Może gdyby uwiązano ją w zaprzęgu... Przycisnęła palce do oczu jeszcze mocniej, żeby odsunąć od siebie tę myśl.

- Maryam. - Elena szarpnęła ją za ramię. - Słyszysz mnie?

- Co takiego?

- On tu jest.

- Kto? - Maryam odsłoniła twarz i łzy popłynęły jej z oczu.

- Ten człowiek, który wynajął nas w Messynie.

- Jest tutaj?

- Widziałam go przed chwilą.

- Chyba jego ducha.

- Człowieka z krwi i kości. - Elena się uśmiechnęła. - Rozmawiałam z nim, bo pojawił się w obozie. Właśnie to chciałam ci powiedzieć.

Człowiek z Messyny nazywał się Bocelli, siedział spokojnie i jadł kawałek suszonego bekonu włożonego między dwie pajdy chleba. Maryam nie lubiła gadać po próżnicy i dlatego darowała sobie wymówki i żale.

- Nie wiem, dlaczego sprowadziłeś nas do tej zapowietrzonej wioski, panie, i prawdę mówiąc, jest mi wszystko jedno. Chcemy jednak, żebyś wynagrodził nam nasze wysiłki, *capito*? - Miała nadzieję, że on nie usłyszy rozpaczki, która pobrzmiwała w jej głosie.

Signor Bocelli nie odpowiedział od razu. Bawiło go chyba to, że musiała przed nim stać. Wyjął ze swojej podróźnej sakwy wielką cebulę, która kolorem i wielkością przypominała strusie jajo, i z ukontentowaniem wgryzł się w jej miąższ.

- Uch! Zapomniałem. - Uśmiechnął się do niej i potrząsnął głową, chociaż wciąż miał pełne usta. - Ależ z ciebie naprawdę wielka kobieta, siłaczko. - Maryam popatrzyła na kilka kawałków cebuli, które wypadły mu z ust wprost na jej stopy. Wzrok mężczyzny powędrował za jej spojrze-

niem. - Uch, nogi też masz jak cyklopi, no i takie ręce... - westchnął, nie przestając się uśmiechać - uch! A w dodatku jesteś taka brzydka.

Myślisz, że nie słyszałam tego wcześniej? - pomyślała Maryam, patrząc na niego spokojnie i obserwując strużkę soku z cebuli, która pociekła mu po brodzie. Zdarzało mi się słyszeć gorsze rzeczy. Znacznie gorsze. Na tyle cię stać, ty mały oszuście? Czy nie rozumiesz, że mogłabym gołymi rękami roztrzaskać ci czaszkę? Nic jednak nie powiedziała. Stała bez słowa w bezkształtnej męskiej kamizelce ze skóry i wielkich butach, patrząc na niego, aż w końcu przestał się głupio uśmiechać i stracił częściowo rezon, przytłoczony siłą jej milczenia.

- No dobrze, dobrze. - Beknął i wrzucił do sakwy niedojedzoną cebulę.

- Dlaczego powiedziałaś, że mamy przyjechać do tej zapowietrzanej wioski? - Maryam zaczęła mieć już go dosyć. - Tutaj nie ma żadnego święta.

- Masz rację, nie ma tu święta, ale nie ma też zarazy. - Popatrzył na nią, przekrzywiwszy lekko głowę.

- To co? Wcale mi się tutaj nie podoba. - Popatrzyła na zbląkanego kundla, który wałęsał się między chatami. - Jest tu... coś dziwnego.

- Więc nikt wam nie powiedział? Jeszcze tam, w Messynie?

- Czego?

- Czym jest ta wioska.

W oczach Maryam pojawiły się złowrogie iskry.

- Mówisz zagadkami, *signor* Bocelli. Może mi wyjaśnisz, o co chodzi?

- Widziałaś kiedyś coś takiego? - Mężczyzna wyjął z sakwy mały, lśniący przedmiot i pokazał jej na otwartej dłoni.

Maryam wzięła go i obróciła ostrożnie w palcach.

- Czy to amulet? Chyba wygrawerowano na nim jakąś rybę...

- Raczej talizman. Przyjrzyj się mu uważnie.

Maryam znowu popatrzyła na zrobioną ze srebra blaszkę. Wygrawerowana na niej postać nie była rybą, ale...

- To syrena! - wykrzyknęła.

Syrena płynęła na plecach i dęła w róg. Na głowie miała koronę, a przy ogonie miniaturowe dzwoneczki.

- Widziałam już coś takiego. - Maryam przypomniała sobie charakterystyczne pobrzękiwanie przy wjeździe do wioski. - Nie sądziłam jednak, że to talizmany.

- W tym regionie uważa się, że syreny przynoszą szczęście. Takie talizmany można znaleźć niemal na całym wybrzeżu. To dziwne, że nigdy wcześniej ich nie widziałaś. W tej wiosce kult

syren był szczególnie silny. Problem polega na tym - poruszył się niespokojnie na swoim miejscu - że jedna tutaj trafiła. To znaczy, prawdziwa.

ROZDZIAŁ TRZECI

Leżała w boksie w jednej ze stajni - niewielki tłumoczek ze zmierzwionymi włosami. Drugi, jeszcze mniejszy i bardziej zmierzwiony znajdował się tuż obok. Nawet nie drgnęła, więc Maryam pomyślała, że nie żyje. Ale po jakimś czasie uniosła lekko dłoń tak bladą, że wydawała się zrobiona z papieru, i pomachała nią w zatechłym powietrzu. Chmura tłustych, czarnych much uniosła się leniwie z otwartych ran na jej nadgarstkach i kostkach, a potem znowu na nie opadła. W pomieszczeniu śmierdziało fekaliami i zgniłą rybą. Maryam cofnęła się z obojętnym wyrazem twarzy.

- Gdyby to był koń, z pewnością bym go zastrzeliła.

Próbowała przejść dalej, ale Bocelli tarasował jej drogę.

- Puszczaj!

- Weźcie ją ze sobą. - Stał tak blisko, że czuła jego cebulowy oddech. - Mogłaby wziąć udział w przedstawieniu...

- Jako kto? - Maryam poczuła żółć, która zaczęła podchodzić jej do gardła. - Jesteśmy akrobatkami, *signor* Bocelli.

- Cóż, możecie ją pokazywać jako... mm, atrakcję...

Musiała się powstrzymać, by nie odtrącić dłoni, którą położył na jej ramieniu.

- Chodzi ci, panie, o pokazy dziwolągów? - Urwała, jakby poważnie zastanawiała się nad tą propozycją.

- Tak, dodatkowy pokaz! Niemal czytasz mi w myślach. - Na jego twarzy po raz pierwszy pojawiło się coś w rodzaju uśmiechu. - Zobaczysz, zbijecie na niej fortunę! - Potarł znacząco dwoma palcami.

Maryam popatrzyła na niego z góry. Była od niego o dobre dwie głowy wyższa. Czy *signor* widział wyraz jej oczu? Miała nadzieję, że tak.

- Nie wydaje mi się. - Zaczęła po kolei odczepiać palce, którymi wpił się w jej ramię. - Mimo wszystko dziękuję za propozycję.

Bocelli wyszedł za nią na piaszczystą drogę. Słońce stało już wysoko na niebie, a fala odbitego od białych dachów gorąca uderzyła w nią z całą mocą.

- Ale... to przecież syrena! Prawdziwa, żywa syrena... - Słowa dobiegały do niej z tyłu. - Zrobisz błąd, poważny błąd, jeśli jej nie weźmiesz - dodał żalonym tonem.

Nawet nie przyszło mu do głowy, że może odrzucić tę propozycję, pomyślała.

- Więc może sam zaczniesz ją pokazywać, *signor*? - spytała, zanim zdołała się powstrzymać.

Oboje wiemy, że to nie syrena. To młoda kobieta, której połamano nogi. Jeden Bóg może wyjaśnić, skąd wzięła się w tym zapomnianym przez Boga i ludzi miejscu.

Maryam szła drogą, wciąż myśląc. Doskonale знаła typy pokroju Bocellego. Teraz niemal ją błagał, żeby wzięła tę dziewczynę, ale wiedziała, że wkrótce przestanie. Zdawała sobie sprawę, że nie może go za bardzo rozgniewać i musi się go jak najszybciej pozbyć. Zanim się przeciwko nim zwróci - co niewątpliwie musiało nastąpić. Szukała sposobu, by nie urazić jego dumy. Raczej wyczuwała go, niż widziała za swoimi plecami.

- Poza tym, *signor*, nie mamy pieniędzy, by ją wykupić.

- Pieniądzy? Nie chcemy pieniędzy. - Próbował za nią nadażyć. - Możecie ją wziąć za darmo.

- Bardzo mi przykro, ale jej nie potrzebuję.

- Damy wam konia. Maryam stanęła jak wryta.

- Co takiego?

- Da... damy wam konia. Jeśli tylko ją stąd zabierzecie - wyrzucił z siebie, dysząc ciężko. - Tylko o to nam chodzi.

Patrzyła na niego, nie mogąc uwierzyć własnym uszom.

- Dasz mi konia? - upewniła się, chociaż zastanawiała się, dlaczego użył liczby mnogiej. Nie zaprzętała sobie tym jednak głowy.

- Wasz koń padł, prawda? - Zrobił znaczącą przerwę. Maryam poczuła strużkę potu, który spływał po jej twarzy. - Więc jak zamierzacie się stąd wydostać?

Czuła, że szala przechyliła się na jego stronę. Zapanowała jednak nad sobą nadludzkim wysiłkiem i z przyjemnością zauważyła, jak błysk radości przygasł w oczach Bocellego.

- Dokąd jedziecie? - spytał już spokojniej, kiedy mógł za nią nadażyć.

- Na północ - odparła niechętnie - do Serenissimy.

- Do Wenecji? - powtórzył z widoczną satysfakcją.

- Przy naszej pracy zawsze w końcu musimy tam trafić - potwierdziła chłodno Maryam.

- Posłuchaj - rzekł teraz bardziej poufałym tonem - wieśniacy się jej boją. - Wskazał opuszczone chaty. - Nie chcą wrócić do swoich domów.

- Boją się dziewczyny z połamanymi nogami?

- Dziewczyny z...? - Dostrzegła w jego oczach coś, czego nie rozumiała. - Tak, oczywiście, dziewczyny... - Poruszył się niespokojnie. - Dostała się do ich sieci. Myśleliśmy wszyscy, że utonąła, ale... - potrząsnął głową - okazało się, że żyje. Przeżyła nawet... narodziny dziecka.

- Dziecka? - Maryam przypomniała sobie tłumoczek, który leżał obok kobiety. A więc to było dziecko! *Panagia mou!* Matko Boska, co za nieszczęście! Lepiej już byłoby jej utonąć, niż znaleźć się na łasce kogoś takiego jak Bocelli. Otarła wielką dłonią pot z czoła. - Biedactwa.

- Prawdziwy cud, że się uratowała. - Mężczyzna znowu się poruszył i spojrzał gdzieś w bok. - Albo diabelska robota. Dziwisz się, że wieśniacy się jej boją? Jak w ogóle się tutaj znalazła? W jej stanie to przecież niemożliwe...

Jednak Maryam wiedziała już wszystko, co chciała, i ta rozmowa zaczynała ją powoli nużyć.

- Dlaczego? Po prostu umie dobrze pływać, i tyle.

- Pływać? - Bocelli rozczapierzył palce w pełnym niedowierzania geście. - W takim stanie? I skąd miałyby przypląć? Najbliższa wyspa znajduje się ze sto mil od wioski.

- Cóż, jak sądzę, nikomu nie przyszło do głowy, by ją o to zapytać - rzuciła z przekąsem.

- Ona nie mówi. - Bocelli spuścił wzrok. - Nie umie.

- Mówiłeś, że syreny mają przynosić szczęście. Dlaczego nie chcecie jej zatrzymać? - spytała z ciekawości.

- Zatrzymać? Po co? Wiem, że talizmany powinny przynosić szczęście, dalej na północy jest nawet święty sad poświęcony syrenom. Ale prawdziwa syrena? - Wzruszył ramionami. - Nikt nie wie, co z nią zrobić. Ludzie boją się do niej podejść. Pewnie by ją już zabili, ale obawiają się konsekwencji.

- Więc sprowadziłeś nas po to, żebyśmy ją zabrały?

- Tak.

Maryam stała przez chwilę w ciszy. Kątem oka zauważyła wir powietrzny, który wyrzucał w powietrze uschnięte rośliny. Morze za chatami rybackimi było tak intensywnie niebieskie, że niemal granatowe.

- Zabierzcie ją ze sobą do Wenecji. Popatrzyli sobie w oczy.

- Dam wam mojego konia.

Kamizelka przykleiła się jej do pleców. Maryam podeszła do obozowiska, a następnie przykucnęła w cieniu dwóch poskręcanych drzew oliwnych.

- Dwa konie, *signor* Bocelli - rzuciła przez ramię.

- Dwa?!

- Bo chyba chcesz, żebym zabrała też dziecko?

Mężczyzna popatrzył na nią niepewnie i wymamrotał coś pod nosem.

- Tak więc dwa konie - powtórzyła, skinąwszy pewnie głową - i jeszcze dziś zabierzemy je ze sobą.

* * *

Kiedy Elena zobaczyła dziewczynę po raz pierwszy, przyszło jej do głowy wiele rzeczy, ale nic nie powiedziała. Położyły topielicę na poduszkach na podłodze, a ona prawie się nie ruszała i tylko przyciskała do piersi brudne zawiniątko. Po chwili wydobył się z niego cichy, przypominający miauknięcie dźwięk.

Elena spojrzała na Maryam.

- To jej dziecko?

- Na to wygląda.

- Biedactwo. - Twarz Eleny jakby zrobiła się jeszcze bardziej pociągła i smutna, kiedy przyglądała się dziewczynie. - Co jej się stało?

- Nikt nie wie. Rybacy złapali ją w sieci na pełnym morzu. Tak przynajmniej mówi Bocelli.

- Wierzysz mu?

- Oczywiście, że nie. Pewnie opuścił ją mąż czy też ten, który jest ojcem dziecka. A teraz gadają, że to syrena.

- I się jej boją?

- Tak. Do tego stopnia, że chcą się jej pozbyć. Boją się nawet zbliżyć. Rzucają jej co najwyżej surowe ryby.

Elena przykucnęła przy topielicy i pogłaskała ją po głowie.

- Biedactwo - powiedziała łagodnie, jak do wystraszonego zwierzęcia. - Nic ci nie zrobię.

Nie musiała się obawiać reakcji. Nieznajoma leżała spokojnie, kiedy zdejmowały z niej brudne szmaty, obmywały olejkami rany na nadgarstkach i kostkach i ubierały ją w czystą lnianą koszulę. Nie protestowała, nie próbowała uciekać i tylko leżała w milczeniu, pozwalając na wszystko.

- Niech Bóg się nad nią ulituje - powiedziała Elena, gdy skończyły. - Ma pewnie tyle rozumu co jej dziecko.

- Te szmaty nadają się tylko do spalenia. - Maryam podniosła zawiniątko, ale w tym momencie coś wypadło na podłogę. Kiedy się schyliła, zobaczyła sakiewkę z różowego aksamitu.

- Skąd się to wzięło?

Elena wzruszyła ramionami.

- Pewnie była gdzieś schowana. Może wszyła ją w bieliznę? Sama nie wiem. Zobacz, co jest w środku, może czegoś się o niej dowiemy.

Maryam otworzyła sakiewkę i wyjęła z niej twardy, okrągły przedmiot wielkości małego kurzego jaja, zawinięty w kawałek jedwabiu.

- I co?

Maryam rozwinęła jedwab i popatrzyła zdziwiona.

- Nie mam pojęcia. Wygląda jak kamień.

- Jaki kamień?

- Normalny, zwykły kamień. Taki, który można znaleźć na plaży. - Zważyła przedmiot w dłoni. - Choćby tutaj, w tej wiosce... Eleno, co się stało?

Kiedy Maryam oglądała znalezisko, jej towarzyszka odsunęła brudne szmaty i teraz patrzyła na dziecko z bezbrzeżnym zdziwieniem. Była blada jak chusta.

- Eleno, co takiego...?

- Chodź, zobacz - z trudem wydobyła z siebie głos. - Więc ona... Wygląda na to, że *signor* Bocelli jednak nie kłamał.

Wyciągnęła dziecko w stronę Maryam. Było tak wątłe, że aż dziw brał, iż wciąż żyło. Leżało całkiem spokojnie na złożonych dłoniach Eleny. Żywe w nim były tylko oczy, które przypominały barwą morskie odmęty. I może jeszcze malutka klatka piersiowa, która unosiła się co jakiś czas spazmatycznie w walce o kolejny oddech.

Maryam dopiero po chwili zauważyła, że zamiast nóg dziecko ma jedną, wystającą do przodu kończynę, a zamiast stóp coś w rodzaju płetwy.

- Widzisz! To prawdziwa syrena! Bocellemu nie chodziło o matkę, tylko o dziecko! Dziecko, które jest syreną.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Wenecja, 1604 rok

- Wiesz, że wróci, prawda?

- Oczywiście.

- Pijany?

- A jak sądzisz?

- To się zapewne nazywa pytaniem retorycznym. - Głos kurtyzany, Constanzy Fabii, dobiegał z cienia.

- Nie wiem, czy tak się nazywa. - John Carew wychylił się jeszcze bardziej z okna i marszcząc brwi, popatrzył na kanał. - Moim zdaniem, można by je też nazwać inaczej... O, popatrz, już jest.

Obserwował, jak zza zakrętu, rozcinając ciemną i gęstą niczym olej wodę, wyłania się gondola. Jej lampy rzucały blask na czarne fale. Kiedy jednak podплыnęła bliżej, zauważył, że nie widać na niej godła Kompanii Lewantu.

- Nie, nie, pomyłka. - Cofnął się w głąb komnaty, znajdującej się w *palazzo* Constanzy. - To nie on, pijany czy trzeźwy.

Była to jedna z najniezwykleszych komnat, jakie Carew kiedykolwiek widział. Trzy razy wyższa niż szersza, a w dodatku w środku, poza nielicznymi meblami, stało głównie wielkie łóże z krótkim baldachimem z przetykanego srebrem brokatu nad wezglowiem. Chociaż na ścianach wisiały gobeliny, miało się wrażenie, że jest tu pusto. Pod dwiema ścianami stały rzeźbione i malowane *cassoni*, a przy trzeciej także rzeźbiony, wielki kredens. W nogach łóżka, na którym siedziała Constanza, znajdował się rozkładany stolik przykryty tureckim dywanikiem. Carew popatrzył na gospodynię i pomyślał, że wydaje się bardzo mała w tej rozbrzmiewającej echem komnacie.

- John, chodź już na miłość boską. - Constanza miała w dłoni karty do tarota, które przetasowała z wprawą, a następnie zaczęła wykładać na stoliku. - Przecież wiesz, że to nic nie da - dodała.

- Co mianowicie?

Spojrzała na Carew i uśmiechnęła się półsennie niczym kotka, nie odpowiedziała jednak na jego pytanie.

- Pozwól, że ci powrózę - rzuciła tylko.

- Chcesz mi wróżyć? - Carew nie miał zamiaru opuścić swego posterunku. Dotknął w roz-targnieniu długiej, srebrzystej blizny, która biegła od kości policzkowej aż do kącika ust. - Problem polega na tym, że znam już swój los. I twój też, Constanzo, jeśli to tak dalej będzie wyglądało.

Kurtyzana znowu nie odpowiedziała i przez dłuższą chwilę słychać było jedynie szelest kart i syk płonących świec, które ustawiono w ciężkich świecznikach ze srebra po obu stronach okna.

- Gdzie poszedł tym razem? - spytała w końcu.

- Do jakiegoś miejsca nad składem win. Nazywa się Pod Pierrotem.

Oczy Constanzy zalśniły.

- Pod Pierrotem?

- Tak. Znasz ten lokal? - Po raz pierwszy wyczuł zmianę w jej zachowaniu.

Wymienili porozumiewawcze spojrzenia w mdłym świetle świec.

- Więc aż tak z nim źle - powiedziała.

Carew ponownie obrócił się w stronę kanału, nad którym zaczęły się teraz pojawiać kłaczkii mgły.

- Wiesz, że się w ten sposób zabije - rzekł, nadal stojąc tyłem do niej. - Albo ktoś to zrobi za niego. Choćby ja - dodał gładko.

- Daj spokój. - Constanza cmoknęła cicho.

- Nie ma już wcale pieniędzy. No, prawie wcale... Wciąż gra, i to nie w gry zręcznościowe, w których miałby jakąś szansę. Przepuścił wszystko w kości. I po co?

Constanza znowu przetasowała karty, a potem wprawnym ruchem rozłożyła je na stoliku: Wieża, Słońce, Magik. Dziewiątka z monet.

- Nie jest szczęśliwy - powiedziała w końcu.

- Szczęśliwy?! - Carew prychnął pogardliwie. - Myślisz, że mnie o obchodzi? Wiesz co, Constanzo, moim zdaniem on po prostu oszalał.

- Jak długo...? - zaczęła.

- Jak długo będę to znosić?

- Nie. - Uśmiechnęła się wbrew sobie. - Jak długo to trwa?

- Przecież wiesz to równie dobrze jak ja. Trzy lata... nie, dłużej. Nie pamiętam dokładnie. Na pewno, od kiedy jesteśmy w Wenecji. Od naszego powrotu z Konstantynopola.

- Od utraty narzeczonej?

- Tak, tak.

- Tej, która miała zatonać w katastrofie statku?

- Tak - powtórzył ponuro.

- I co się z nią stało?

Carew wiedział, że Constanza dobrze zna tę historię. Słyszała ją wiele razy od samego Pindara i jeśli chciała usłyszeć po raz kolejny, to jedynie z litości. Nie przejął się tym jednak.

- Nazywała się Celia Lamprey. Jej ojciec był kapitanem jednego ze statków handlowych kompanii. Tak jak powiedziałaś, sądziliśmy, że ten statek rozbił się na Adriatyku, ale prawdopodobnie zaatakowali go korsarze. Zabili kapitana i członków załogi, ale młode kobiety wzięli do niewoli, a następnie sprzedali na terenie imperium osmańskiego. Wydaje nam się... nie, jesteśmy pewni, że Celia trafiła do haremu samego sułtana. - Carew przycisnął palce do powiek, aż jasne światelka zawirowały mu przed oczami. - Widziałem ją tam...

- Widziałeś? - Constanza popatrzyła na niego znad stolika. - Sądziłam, że to niemożliwe. Podobno kobiety w haremach są bardzo dobrze strzeżone.

- Widziałem. Chociaż potem wiele razy wydawało mi się, że to był sen. Jednak Paul wiedział, że Celia żyje. Próbowaliśmy... próbowaliśmy różnych rzeczy... - Urwał na chwilę. - Ale potem matka sułtana wszystko odkryła i... no cóż, to długa historia.

- Więc Celia wciąż żyje?

- O nie, umarła. Przynajmniej dla niego.

- Zatem to wszystko z powodu smutku - rzekła z westchnieniem Constanza.

- Nie sądzę.

- Więc dlaczego?

- Raczej z powodu wściekłości. Kobieta potrząsnęła głową.

- Nie rozumiem.

- Jest wściekły na siebie - powiedział, zanim pomyślał. - Wściekły, że nie potrafił jej uratować.

- Chodź tutaj, John. - W głosie Constanzy pojawiło się zmęczenie. - To na nic się nie zda.

Carew przycisnął głowę do futryny i zamknął na chwilę oczy.

- Co na nic się nie zda? - Czy nie odbyli już kiedyś tej samej rozmowy? Był zbyt wyczerpany, by się tym przejmować. Zacisnął jedną dłoń w drugiej.

- Czekanie, wypatrywanie - rzuciła ostro i popatrzyła na niego. - Wyłamywanie sobie palców... - Odłożyła karty i podeszła do jednej ze zdobionych skrzyń, na której stał na lnianej serwecie srebrny dzban i dwa kielichy. - Napijesz się wina?

- Nie, dziękuję - odparł, nie otwierając oczu. - Jakoś nie mam na nie ostatnio ochoty.

Nalała więc sobie i spojrzała na niego znad kielicha. Wino dobrze by ci zrobiło, *carissime*, chciała powiedzieć. Obserwowała go uważnie - umięśnioną, szczupłą sylwetkę, opadające na ramiona włosy... gdyby nie dłonie, wszyscy uznaliby go zapewne za złoczyńcę. Ale Carew miał zaskakująco piękne ręce, jakby srebrzyste, chociaż znajdowały się na nich blizny po skaleczeniach i

oparzeniach. Zawsze można było rozpoznać charakter człowieka po jego rękach. Constanza pomyślała z czymś w rodzaju rozbawienia, że jeszcze niedawno to Carew szastał pieniędzmi, wydając je na dziwki i hazard.

I wciąż wdawał się w jakieś bójki. A teraz proszę, stał się niańką własnego pana. Cóż, jak to się ludzie zmieniają, pomyślała, wiedziała jednak, że nie powinna tego mówić głośno.

- Wiesz, że wróci - powtórzyła.

- Musi wrócić. Jeśli nie przyjdzie tu przed Ambrose'em, będę zupełnie... - Urwał nagle, ale nie zdołał powstrzymać ostatnich słów.

- Zupełnie? - podchwyciła, unosząc piękną brew.

- Skończony. - Carew jęknął, nie otwierając oczu - Będę zupełnie skończony.

Constanza chciała jeszcze zapytać, kim, na miłość boską, jest Ambrose, ale nie zdążyła, gdyż zza okna dotarł do nich plusk wioseł, a potem dźwięk cumującej przy schodach gondoli. Później rozległy się ostre głosy mężczyzn, którzy jednak nie zaczęli się jeszcze kłócić. Po chwili coś ciężkiego wylądowało z pluskiem w wodzie.

Constanza wróciła do stolika i zaczęła ponownie tasować karty. Puchary, Miecze, Monety, Kije. I znowu Magik. Za każdym razem pojawiała się ta sama karta. Jeśli John zauważył, że trochę brakuje jej zwykłej zręczności, to nie skomentował tego faktu. Po chwili głosy ucichły. Nikt nie szukał jej i Carew.

- *Dio buono...!*

- Myślałem, że to on.

- Ja też...

Popatrzyli sobie w oczy i oboje dostrzegli głęboki niepokój.

- Nie masz się czego bać, Constanzo... - zaczął.

Spojrzała szybko w bok.

- Tak, wiem...

- Nie pozwolę, żeby...

- Paul? Nie, na pewno nie.

Carew miał zamiar dodać coś jeszcze, ale po namyśle zrezygnował. Nie chciał przede wszystkim, żeby zaczęła go wypytywać o Ambrose'a. I tak już za dużo powiedział. Ambrose Jones stanowił część jego planu, ale narobiłby mu wielkiego kłopotu, gdyby zjawił się zbyt wcześnie. Jednak było już za późno na jakiegokolwiek zmiany i Ambrose mógł równie dobrze stać się jego zbawieniem, jak i zgubą. Carew poczuł dreszcz, który przebiegł mu po plecach. Przy jego szczęściu stanie się zapewne jednym i drugim!

Nie miał pojęcia, jak długo jeszcze czekali. Co jakiś czas słyszał, jak w nowym kościele San Giorgio Maggiore, znajdującym się po drugiej stronie Canale Grande, wybijają kolejne kwadransy. W którymś momencie najciemniejszej nocy wydawało mu się, że jednak przysnął. Kiedy się ocknął, wciąż stał przy oknie otoczony mrokiem. Ze świec pozostały tylko ogarki, wosk wisiał niczym sznury pajęczyn na ciężkich świecznikach znajdujących się po obu stronach okna i tworzył perlistera kraterów na kamiennej podłodze.

Constanza siedziała wciąż przy kartach do tarota. Czy w ogóle spała? Carew przyjrzał się jej w słabym świetle. Ile może mieć lat? Trudno powiedzieć. Jego pan, Paul Pindar, kupiec Kompanii Lewantu mówił, że jest jak sfinks. Jednak John Carew, któremu trudno było odmówić zmysłu praktycznego, wiedział, że musi być co najmniej po trzydziestce. Jest więc stara, ale nie tak bardzo. Obserwował, jak tasuje karty. Miała na sobie suknię, którą Pindar podarował jej po powrocie z Konstantynopola - taką, jakie nosiły wysoko urodzone damy imperium - bez rękawów, z czerwonego adamaszku, haftowaną perłami wokół szyi i ramion, z wyszywanymi złotymi tulipanami. Nosila ją rozpiętą aż do talii, a pod spodem miała ozdobioną malutkimi perełkami wokół rękawów i szyi koszulę z tak delikatnego batystu, że przypominał zwiewny obłok. Nie nosiła biżuterii. Rozpuściła luźno ciemne włosy. Była jedyną kobietą w całym chrześcijańskim świecie, dla której Carew od pierwszego spotkania żywił coś w rodzaju szacunku. I to do tego stopnia, że nie myślał o jej smaku i zapachu - a w każdym razie niezbyt często.

Constanza zauważyła, że się jej przygląda.

- Sprawiasz takie wrażenie, jakbyś się przed chwilą obudził.

- Sam nie wiem, czy spałem - powiedział, wzdychając. - A ty?

- Ja? Nie, nie spałam. - Uśmiechnęła się do niego.

- Dlaczego w ogóle to robimy? - To pytanie zaskoczyło go samego.

- Nie mam pojęcia. - Constanza wzruszyła ramionami. - Może dlatego, że go kochamy. -

Przekrzywiła nieco głowę. - A może dlatego, że wbrew pozorom jesteśmy do siebie podobni?

Jeśli nawet Carew zauważył jej ironiczne spojrzenie, nie zamierzał się nim przejmować.

- Nie pochlebiaj sobie - mruknął ponuro.

Constanza otworzyła ze zdziwienia usta, a potem nagle wybuchnęła śmiechem.

- A widzisz, widzisz - rzekła z satysfakcją. - A teraz i tak powiem, co jest ci pisane.

Ponownie przetasowała karty, a następnie zaczęła je rozkładać na niewielkim stoliku. Po chwili znowu cmoknęła.

- O co chodzi?

- Co?... - Zgarnęła karty i popatrzyła na niego tak, jakby obudził ją z głębokiego snu. - Nic... nic takiego. Spróbujmy jeszcze raz. Tym razem sam je potasuj.

Podawała mu karty, które on przetasował parę razy. Wzięła je od niego, po czym rozłożyła niczym wachlarz.

- Wybierz jedną i mi podaj. Ale na razie na nią nie patrz. Zrobił tak, jak mu kazała.

- Tylko mi nie mów, że to Głupiec. - Silił się na lekki ton.

- Głupiec? - Uśmiechnęła się z pobłażaniem. - Głupiec oznacza niewinność i wynikające z niej szaleństwo. Być może jesteś szalony, John, ale z pewnością nie to pierwsze... - Koło kącika jej ust pojawił się dołek. - To ciekawe... - Ponownie spojrzała na karty i zmarszczyła brwi.

- No dobra, więc jeśli nie Głupiec, to Wisielec - rzekł jeszcze bardziej ponuro Carew. Bo tak właśnie się czuję, dodał w duchu. Jak ktoś, kogo mają zaraz powiesić.

- Nie, to nie Wisielec - zaprzeczyła Constanza. - Poza tym nie jest to wcale tak zła karta, jak ci się wydaje. Wisielec oznacza jakąś zmianę w naszym życiu.

- Zmianę na lepsze?

- A to już zależy...

- Nie może mnie chyba czekać już nic gorszego. Zaraz zobaczymy... - Wyciągnął rękę, ale Constanza go powstrzymała.

- Jeszcze chwila. Muszę zdecydować.

- Zdecydować?

- Co ta karta oznacza - odparła.

W komnacie zapanowała cisza, a ona próbowała się skupić.

- Mówiłeś, że Paul poszedł do Pod Pierrotem - powiedziała. - Jesteś tego pewny?

Carew potrząsnął głową.

- Niczego już nie jestem pewny.

- Och, nieważne. - Ponownie zebrała karty. - Słyszałeś może kiedyś, żeby wspominał o Zuanne Memmie?

- Memmo? Nie, nie pamiętam takiego nazwiska. - Pokręcił głową. - To może jakiś twój przyjaciel?

- Przyjaciel? - Zaśmiała się na samą myśl o tym. - Nie, nie sądzę, żeby Zuanne w ogóle miał jakichś przyjaciół. Organizuje gry o wysokie stawki, zwłaszcza dla cudzoziemców. Naprawdę wysokie... - Posłała Carew ostrzegawcze spojrzenie. - Słyszałam, że nie ma tygodnia, by przy okazji gier Memma nie polalała się krew.

- I właśnie to zobaczyłaś w kartach? - Wskazał brodą leżącą na stoliku talię. Nigdy nie traktował poważnie wróżb i wróżbitów, nawet tak uroczych jak Constanza.

- Nie wiem, to nie jest jasne - mruknęła i pokręciła głową. - Ale dlaczego to ty, a nie Paul? I dlaczego jest tu właśnie Zuanne Memmo? - Znowu spojrzała na rozmówcę. - Słyszałam, że ma

zorganizować nową grę w swoim *ridotto* i pewnie dlatego wychodzi mi w kartach. Nagrodą ma być ten brylant, o którym wszyscy mówią.

- Brylant?

- Tak, z pewnością o nim słyszałeś. Najnowsze cudo Wenecji! W Rialto to główny temat rozmów. Miał podobno należeć do sułtana, a może jakiegoś maharadży z Indii... - Constanza wzruszyła ramionami. - Nieważne. Przywiózł go handlarz z Aleppo i podobno przegrał w karty. Dużo mówiło się o tym, skąd wziął się w mieście.

Nagle ktoś zastukał do drzwi. Tak bardzo skupili się na kartach, że nie słyszeli gondoli ani kroków na schodach. Kiedy spojrzeli w stronę uchylonych drzwi, dostrzegli jedynie ukrytą w cieniu postać w podróżnej opończy.

- *Salve?*

Nowo przybyły nie odpowiedział. Nie wszedł też do komnaty, więc Constanza uniosła się ze swego miejsca.

- *Salve?* - powtórzyła. - Czy to ty, Paul?

Carew wymamrotał coś pod nosem.

- Nie, to nie on - dodał po chwili.

Zanim jednak zdołał powiedzieć coś więcej, nieznajomy przemówił.

- Czy to siedziba Constanzy Fabii?

- A kto chce to wiedzieć?

- Mógłbym zadać to samo pytanie - odezwał się tamten po angielsku, a w jego głosie pojawiły się wesołe nutki. Zamilkł na chwilę. - Powiedziano mi, że znajdę tu Paula Pindara, kupca szacownej Kompanii Lewantu.

- Pan Jones?... Ambrose Jones? - Carew chrząknął, jakby coś utknęło mu w gardle. - Nie spodziewaliśmy się pana tak szybko, panie Jones.

- Nie spodziewaliście się? - Ośmielony mężczyzna postąpił parę kroków do przodu. - A z kim mam przyjemność...?

W tym momencie dwie świece zapłonęły mocniej. Carew i Constanza po raz pierwszy zobaczyli wyraźniej nieznajomego w podróżnej opończy. Był to starszy mężczyzna, zapewne po pięćdziesiątce, z siwymi włosami zaczesanymi do tyłu, paciorkowatymi niebieskimi oczami i żółtym turbanem zawiązanym w stylu osmańskim wokół głowy. A jego nos... cóż, był to najniezwyklejszy nos, jaki w życiu widzieli. Rozrósł się na połowę twarzy i przybrał tak dziwaczny kształt, że, jak Carew później wspominał, wziął tego człowieka za jakieś niezwykle stworzenie.

Jednocześnie nieznajomy rozejrzał się po komnacie i szybko stracił dobry humor.

- Co to takiego? - spytał, stawiając na posadzce drewniany kuferek, który miał ze sobą. - Czy to jakiś żart?

- Carew - odezwała się Constanza, a ponieważ Carew milczał, powiedziała ostrzej: - Kim jest twój przyjaciel, John? Czy to ten sam człowiek, o którym wcześniej... wspominałeś? Witaj, panie - zwróciła się do nieznanego, ukazując swe powabne kształty. - Ale przyznaję, że czuję się zaskoczona.

Nieznanomy nie odpowiedział i pozostał nieczuły na jej wdzięki. Rozejrzał się jednak uważnie, niczym drapieżnik, po wielkiej komnacie, a jego wzrok zatrzymał się na moment na ogromnym łóżku i kielichach do wina. Potem ponownie spojrzął na kurtyzanę z rozpuszczonymi włosami i odsłoniętym dekoltem i zagryzł znacząco wargi.

- No cóż - zwrócił się do mężczyzny. - John Carew, tak? Przynajmniej wiem, z kim mam do czynienia. Więc to tutaj twój pan spędza swój czas, co wiele by wyjaśniało. Nie wiem tylko, dlaczego chciał, żebym przybył do tego domu rozpusty.

- Domu rozpusty? - Constanza zrobiła obrażoną minę. - O co tu chodzi, Carew? - zwróciła się do niego oficjalnym tonem. - Kim jest ten... ten...?

- Bardzo mi przykro, Constanzo. - Noże, które Carew nosił u pasa, zaślnęły w blasku świec. - Naprawdę.

Nagle wydało im się, że Constanza stała się wyższa.

- Co chcesz przez to powiedzieć? Sprowadziłeś go tu specjalnie, prawda?

- Uwierz mi, to był jedyny sposób...

- Sposób na co?! Czy ktoś mi może wyjaśnić, o co tu chodzi? - Ambrose Jones starał się ich przekrzyczeć.

- Panowie, panowie! I ty, Constanzo. Czy mogę prosić o spokój? - od strony drzwi dobiegł aksamitny baryton.

- Paul!

- Pindar!

Cała trójka odwróciła się w tamtą stronę. W drzwiach stał wysoki, szczupły mężczyzna, ubrany od stóp do głów na czarno. Powierzchnowy obserwator mógłby go uznać za dobrze ubranego dżentelmena. Miał na sobie aksamitny kubrak i wysoki kapelusz. Jednak ci, którzy go znali, z bólem serca myśleli o tym, że jeszcze niedawno wyglądał zupełnie inaczej. Teraz miał zapadnięte policzki, jego oczy utraciły dawny blask, a skóra sprawiała takie wrażenie, jakby rzadko wychodził w dzień na dwór.

- Con-*stan*-zo - Pindar wymówił jej imię z nadmierną dbałością, jakby dopiero uczył się języka. - A to zapewne Ambro-*se* Jo-*nes*. - Chociaż wydawało się, iż język klei mu się do ust od

melasy, to wymówił w końcu jego nazwisko. Nie patrzył jednak na Jonesa, lecz nieco dalej, tam gdzie w cieniu ukrywał się jego służący.

- Ach tak! Oczywiście Carew. - Pindar zaczął niebezpiecznie przechylać się w jedną stronę, ale w porę złapał się za futrynę.

Carew patrzył na niego w milczeniu. Co jakiś czas zerkał tylko na Jonesa.

- Nie myśl, że cię nie widzę, ty szczurze - syknął w jego stronę Pindar. - Widzę nawet, jak przewracasz oczami.

Carew w dalszym ciągu nie odpowiadał. Paul z wściekłością wyszarpnął zza pasa sztylet.

- Tylko hałas i utrapienie - zwrócił się do pozostałych, chwiejąc się na nogach. - Zawsze wszędzie go pełno. No, Carew, ty szczurze, szykuj się na śmierć.

Rzucił się ze sztyletem w stronę służącego, potknął się o własne nogi i zwałił jak kłoda na kamienną posadzkę.

Jednocześnie z kieszeni kubraka wypadł mu mały, okrągły przedmiot wielkości niemowlęcej piąstki. Nikt nie zauważył, kiedy potoczył się pod łożę Constanzy.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Jedna z weneckich wysp, 1604 rok

Annetta stała, słuchając dzwonów.

Ze swego okna widziała cały ogród: starannie przystrzyżone żywopłoty, piękne, kolorowe rabatki oraz grządki z ziołami. Wkrótce nawet tam zapanuje nieznośny upał, ale teraz jeszcze wszystko było świeże i pachnące. W dole dostrzegła Annunciatę, która jak zwykle chodziła między grządkami z drewnianą konewką. Jej biała sylwetka znikwała co jakiś czas między drzewkami owocowymi. Dalej znajdował się mur słynnego klasztornego ogrodu botanicznego, rząd cyprysów i ledwo widoczne wody zatoki. To najwspanialszy widok w Wenecji, pomyślała z satysfakcją Annetta. Teraz jednak mogła sycić nim oczy do woli.

Przeciągnęła się i odetchnęła głęboko świeżym i wonnym powietrzem. Czekał ją wspaniały dzień - siostrzenica Franceski miała przyprowadzić swoich gości weselnych. Będą mogli się weselić, pić wino, zajadać przysmakami i wspominać stare dobre czasy. Nie będzie snobistycznych arystokratek strojących fochy.

- Nieprawdaż, mój mały? - Annetta sięgnęła do stojącego na parapecie słoika, a następnie sypnęła ziarna do klatki. Wróbelek z oczami jak dwa czarne paciorki zeskoczył ze swego patyczka.

Mimo że czekały ją uroczystości, zwlekała z ubraniem się. U jej stóp stała miska i leżało lniane prześcieradło, którym właśnie się wytarła. Wszyscy tutaj myśleli, że ma jakąś manię na punkcie mycia, ale jej trudno było się odzwyczaić od codziennych ablucji. Poza tym było jej przyjemnie chłodno, kiedy bryza od wody owiewała lekko wilgotne ciało.

Nieco dalej, na sąsiedniej wyspie wciąż słychać było dzwony kościoła San Giorgio Maggiore położonego niedaleko Giudecki. Pusty miedziany dźwięk, zielony ton, pomyślała. Nie sądziła, że tak bardzo brakowało jej dzwonów przez te wszystkie lata. Dzwonów i widoków. Tam gdzie była, nie miała prawa do własnego widoku.

Westchnęła ciężko. Pomyślała, że musi się ubrać. Było jej przyjemnie, choć chyba nie powinna stać tak całkiem naga. Annunciata wracała już z ogrodu, zatrzymywała się jednak co jakiś czas, by zebrać uschnięte główki róż. Niosła też kosz pełen ziół z herbarium. Gdyby teraz uniosła wzrok, z pewnością by ją zauważyła. W dodatku zupełnie gołą. Annunciata zdawała sobie sprawę z jej obecności przy oknie, i na pewno chciała zerknąć, ale zmuszała się do tego, by iść z opuszczoną głową. Mały dołeczek pojawił się w kąciку ust Annetty. Zapomniała już o tym, jak przyjemnie jest szokować siostry zakonne swoim zachowaniem.

Z tyłu na łóżku leżała jej suknia i halki. Chociaż wiedziała, że zrobi się gorąco, zdecydowała się włożyć jedwabne pończochy z wyszywanymi zegarami. Jej *camisę* zrobiono z delikatnego batystu, tak cienkiego, że prawie przezroczystego, wyszywaną czarną nicią wokół szyi i rękawów. Kiedyś powiedziała Eufemii, że to tak, jakby mieć na sobie strój uszyty z powietrza. Potem włożyła stanik, mniej bogaty, niżby chciała, ale z podwójną warstwą koronki *point de Venise* wokół szyi. Annetta sama wiązała go z przodu, ściągając na tyle mocno, na ile się odważyła, tak by podkreślał pełne kształty jej piersi. Mogła oczywiście skorzystać z pomocy którejś z konwerek, mających jej usługiwać, ale wołała, by nie kręciły się po jej pokoju. I najważniejsze - spódniczka ze zwiewnego, przetykanego złotymi nićmi jedwabiu, którą przypięła do dołu stanika tak pięknymi zapięciami, że żał je było ukrywać pod habitem. Popatrzyła jeszcze na drewniane, zdobione macią perłową sandały z czterocalowymi obcasami, ale w końcu włożyła delikatne pantofelki z brokatu.

Potem zajęła się swoją fryzurą: wyciągnęła spod nakrycia głowy dwa loki po obu stronach czoła, a następnie zawinęła je wprawnie poślinionymi palcami. Na szyję założyła dwa ciężkie złote łańcuchy. Przepasała się też ozdobnym łańcuszkiem z przyczepionym na końcu wachlarzem i modlitewnikiem.

Annetta wyjęła z niewielkiego otworu nad wezglowiem owinięty w szmatkę okrągły przedmiot, odwinęła go i spojrzała na swoje odbicie. Proszę! Korzystanie z luster było tu zabronione, ale dlaczego miałyby się tym przejmować?! Pomyślała, że w swym krótkim, ale jakże bogatym w wydarzenia życiu musiała się stosować do zbyt wielu nakazów. Mówią, że przeglądanie się w zwierciadle to grzech próżności. Znacznie poważniejszy od pozostałych, które popełniła. Gdyby chciała, mogłaby je wszystkie wymienić: trzymanie ptaka w klatce, nie mówiąc już o kurach, które siedziały w wiklinowym kojcu nieopodal jej drzwi i miały jej dostarczać jajek, noszenie ubrań z jedwabiu i brokatu oraz złota, stanie nago w oknie, wystawianie na próbę sióstr z zakonu... Jednak to właśnie grzech próżności wydał jej się do tej pory najbardziej satysfakcjonujący. *Suora* Annetta, która już niedługo miała wstąpić do zakonu Świętej Klary, patrzyła z niekłamną przyjemnością w swoje odbicie w zakazanym zwierciadle.

Dzwony musiały w którymś momencie umilknąć, gdyż Annetta zauważyła, że znowu się rozdzwoniły. Z całą pewnością była już spóźniona. Sięgnęła więc po ostatnią, leżącą na łóżku rzecz - niewielki woreczek ze zdobionego różowego aksamitu - włożyła ją ostrożnie do kieszeni i wyszła niespiesznie z pokoju, by dołączyć do innych, zgromadzonych na modlitwie sióstr.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Kiedy Paul się w końcu ocknął, nie mógł sobie przypomnieć, gdzie się znajduje. Było bardzo ciemno. Leżał w łóżu z baldachimem w wysokiej komnacie. Dostrzegł płytki z wytłaczanej skóry na ścianach, a także ciężkie zasłony z adamaszku, które nie wpuszczały światła. Nagle zorientował się, że nie jest sam - ktoś stoi w nogach łóżka i bacznie go obserwuje.

- Constanza?

- Zbudziłeś się już?

- Tak.

Próbował przewrócić się na bok i nagle poczuł potworny ból głowy.

- Jak się czujesz?

Usłyszał plusk wody, a potem poczuł chłodną ścierkę na czole.

- O nie!

Dotknął czoła i wymacał przez materiał guz wielkości piłki do tenisa.

- *Christos*.

- Boli?

Przeciągnął dłonią po twarzy.

- Boże! Chyba złamałem nos.

- Najprawdopodobniej. - W głosie Constanzy nie było współczucia. - Upadłeś jak długi na kamienną posadzkę.

- U... padłem?

Przejechał językiem po wyschniętych wargach. Wyczuwał, jak bardzo są popękane. I jeszcze ten metaliczny smak, który miał w ustach - smak krwi. Coś wyschniętego, a jednocześnie lepkiego przywarło do jego brody i włosów. Och, *Christos*.

Znowu położył się na plecach i zamknął oczy. Powoli zaczęły powracać do niego wydarzenia ubiegłej nocy.

- Mam dla ciebie wiadomość od Carew. - Przytknęła mu do warg czarkę z wodą.

- Carew? - Paul natychmiast otworzył oczy. Poruszył głową i część wody wylała się na brodę. Jednocześnie poczuł dojmujący ból między oczami. - Nie zabiłem go?

- Nie.

- Szkoda. - Ponownie zamknął oczy. - Może następnym razem.

O dziwo, Constanza nie zareagowała na te słowa, więc dodał:

- Zawsze był z niego obrzydliwy... załgany... mały drań, nie uważasz? - Nie pamiętał w tej chwili dokładnie, dlaczego chciał zabić służącego, ale wciąż był na niego wściekły i kiedy o nim myślał, przed oczami zaczynały mu wirować czerwone niczym krew płatki.

Constanza nadal milczała. A niech ich oboje szlag trafi! - pomyślał Paul. Leżał w ciemności. Mówienie go zmęczyło, ale ból głowy był zbyt silny, by mógł zasnąć. Może pomogłoby trochę wina? Mimo że ta myśl była bardzo pociągająca, to poczuł, jak żołądek zaczął podchodzić mu do gardła. Constanza próbowała coś powiedzieć, ale nie miał pojęcia, o co jej chodziło. W półśnie zaczęły do niego docierać skrawki wspomnień z poprzedniej nocy.

Christos!

Nagle otworzył szeroko oczy.

- Constanzo?

- Słucham?

Paul z trudem przewrócił się na bok.

- Czy... czy ktoś tu wczoraj był? Nie chodzi mi o Carew - zastrzegł.

- Niejaki Ambrose Jones.

- Dobry Boże!

- Nie pamiętasz, że z nim rozmawiałeś? Przecież dał ci list.

- List? Aa... list. - Paul gorączkowo zaczął szukać pisma w pogniecionej pościeli. - Mam go! Możesz tu wpuścić trochę światła?

Constanza odsłoniła okno, a on przyklęknął na łóżku i zaczął pospiesznie czytać. A potem znowu się położył. Leżał tak długo, gapiąc się w sufit.

- Był na ciebie bardzo zły, Paul. - Kobieta przysiadła na łóżku. - Dlaczego? Co się stało?

W dłoni trzymała kielich z winem.

- Nie, dziękuję - powiedział. Nagle poczuł się pusty i suchy jak porzucone na pustyni, spalone słońcem kości.

- To nie dla ciebie - rzuciła drwiąco, ale zaraz spoważniała. - Kim jest ten człowiek? Wygląda na to, że obaj bardzo się go boicie.

- Ambrose? - Paul wciąż patrzył w sufit. - Trudno powiedzieć, kim tak naprawdę jest. Zajmuje się wieloma sprawami... ale chyba można go nazwać zbieraczem.

- Zbieraczem?

- Między innymi. Pracuje dla znajomego kupca z Kompanii Lewantu, niejakiego Parvisha. Gromadzi niezwykle i piękne rzeczy do jego gabinetu osobliwości.

- Aaa - Constanza wreszcie zaczęła pojmować. - Mówiłeś już o nim wcześniej, prawda? Byłeś kiedyś jego uczniem.

- Tak, dawno temu. - Paul położył dłoń na twarzy i wyczuł palcami nabrzmiały nos i opuchnięte oczy. Na chwilę znowu znalazł się w Londynie, był bardzo młody, miał przemoczone od śniegu buty i czerwony nos.

Milczeli przez chwilę.

- Zrobił to po to, żeby mnie zawstydzić.

- Kto, Parvish?

- Nie, oczywiście Carew. - Paul wsparł się na poduszkach. - Doskonale wie, że Jones donosi o wszystkim do Londynu. - Złapał ją mocno za nadgarstek. - Ale przecież ci o tym powiedział, prawda? Wiedziałaś o tym, co? - Zacisnął palce mocniej, aż syknęła z bólu. - Właśnie dlatego po mnie posłałaś. Oboje wiedzieliście, że w końcu tu przyjdę.

- Carew nie mówił, o co mu chodzi. - Próbowała wyszarpnąć rękę, ale Pindar mocno ją trzymał. - Poza tym nic nie wiedziałam o Jonesie... - Pomyślała, że jak na człowieka wykształconego ma bardzo dużo siły.

- Naprawdę?

- Ale nawet gdyby powiedział, i tak bym cię tu wezwała. Bez najmniejszych wyrzutów...

- Ach, więc to tak! - Puścił jej dłoń, a ona uderzyła głową o jeden z filarów, na którym wspierało się łóżce. - Muszę przyznać, że nie można mu odmówić sprytu. - Spojrzał gdzieś w bok. - Jest za sprytny i z tego powodu jeszcze napyta sobie biedy.

Paul wstał i wyszedł na niewielki balkon pałacu, którego zwieńczone szpiczastymi łukami przejście wystawało nieco nad wody kanału. Ambrose. *Christos!* Co ten Carew sobie myśli?! Paul przeciągnął dłonią po włosach, a następnie potarł pokryte zarostem policzki. Było jeszcze wcześniej, ale słońce prażyło już mocno, odbijając się od murów *palazzo*, który znajdował się na przeciwległym brzegu kanału. Zdobiony stiukami mur miał tak typowy dla Wenecji odcień różu - można by go określić na różne sposoby, choćby jako kolor opuncji, ale Paulowi żadne słowo nie wydawało się odpowiednie. Wciągnął do płuc znajomy zapach kanału. Kiedy robi się upalnie, fetor jeszcze się nasili. Spojrzał w dół - zielona woda wabiła go swym chłodem. Zwykle wydawała mu się czarująca, lubił odbicia okien z łukami i pokrzykiwania gondolierów, ale w tej chwili myślał tylko z irytacją o tym, że jego gondola gdzieś zniknęła. I oczywiście Carew wraz z nią.

- Carew twierdzi, że jesteś zrujnowany - rzuciła Constanza tak, jakby czytała w jego myślach.

- Tak mówi? - Paul nawet nie odwrócił się w stronę komnaty, z której dobiegał głos. - I co jeszcze?

- Że wszyscy kupcy w Wenecji już o tym wiedzą.

- No, dalej.

- Że przestałeś handlować i przegrałeś w kości i karty cały swój majątek. Albo go przepiłeś - ciągnęła beznamiętnie. - Że przynosisz wstyd swojej szacownej kompanii.

Paul obróci się nagle w jej stronę.

- Carew tak powiedział?

- Ee, nie... - Głos Constanzy zadrżał. - Zdaje się, że twój przyjaciel Ambrose Jones.

- Hm. - Paul zamknął oczy i ponownie poczuł falę mdłości.

- Tylko tyle masz do powiedzenia?

- Cóż, moim zdaniem trochę przesadził. I co jeszcze mówił? - spytał ciekawie.

- Ogólnie rzecz biorąc, powtarzał to samo na różne sposoby. Podobno w kompanii zastanawiają się, czy cię z niej nie wyrzucić.

- Naprawdę?

- Na miłość boską, czyżbyś był wczoraj aż tak pijany?! - niemal wykrzyknęła poirytowana. - Czy pamiętasz cokolwiek z tego, co tu się działo?

Paul nie odpowiedział.

- Był na ciebie bardzo zły.

- Tego się domyśliłem.

- Powiedział, że taki utracjusz, pijak i rozpustnik jak ty nie ma co robić w gronie szacownych kupców - dodała.

- Rozpustnik?

- Tak właśnie powiedział.

Paul w końcu obrócił się w jej stronę.

- Bardzo mi przykro, Constanzo. Wiem, że posunął się za daleko.

Podszedł do niej i objął ją delikatnie. Nie opierała się. Złożyła głowę na jego piersi, a on gładził ją po włosach, tak jak kiedyś, dawno temu. Był tak wyczerpany, że po chwili znowu się położył, a ona oparła mu głowę na ramieniu.

- Co za westchnienie.

- Westchnęłam? - zdziwiła się. - Możliwe.

Dopiero teraz zdała sobie sprawę, jak bardzo jest zmęczona. Prawie nie spała przez dwie kolejne noce. Mogłabym położyć się i zamknąć oczy na całą wieczność, pomyślała. Bylebyś tylko ty, mój ukochany, był przy mnie. Nie powiedziała tego jednak, tylko popatrzyła z troską na Paula.

- I co teraz zrobisz?

- Z Jonesem? Najlepsze, co mogę zrobić, to się nim nie przejmować. Muszę przede wszystkim zająć się Carew. - Poczowała, jak palce zaciskają mu się bezwiednie.

- Wiesz, że on cię uwielbia.

- Carew uwielbia tylko samego siebie. Jest zakochany sam w sobie i to z wzajemnością.

Constanza milczała przez dłuższą chwilę.

- Uważa, że oszalałeś z rozpacz.

- Tak?

- Z rozpacz i wściekłości.

Paul zacisnął mocno wargi.

- Z powodu tej kobiety, którą musiałeś zostawić w Konstantynopolu.

- Carew jest jedynie służącym - mruknął. - Nie może nic wiedzieć na ten temat.

- Czekał tu na ciebie przez całą noc. Nie sędzę, by pragnął cię zawstydzić. Raczej ocalić...

- Ocalić? Zależy mu tylko na własnej skórze! Jeśli ja stracę wszystko, on straci pracę. Tylko o to mu chodzi. Znam go dobrze. A tak swoją drogą, gdzie on się podział?

- John? Popłynął na Giudeccę czy jakąś inną wyspę. W tamtejszym klasztorze ma się odbyć przyjęcie weselne... - Constanza ziewnęła lekko.

- Przyjęcie weselne?

Wzruszyła ramionami.

- Jakiejś dziewczyny...

- Zawsze jest jakaś dziewczyna - wymamrotał sennie.

Z głową na jego piersi Constanza wsłuchiwała się w oddech Paula, czując jego rękę na swoich włosach. Po chwili ona też usnęła.

Musiał spać bardzo długo, bo kiedy otworzył oczy, głowa przestała go już boleć i czuł tylko ucisk w pęcherzu. Ktoś znowu zasłonił okna, ale nie zrobił tego dokładnie i do środka wpadał pojedynczy promyk słońca. Natężenie światła nie było duże, więc musiało być już późne popołudnie. Zwykle krzątała się tutaj pokojówka, która zajmowała się sprzątaniem komnaty i wodą na wieczorne ablucje - Constanza bardzo dbała o czystość - ale dzisiaj nie było tu nikogo. Zapewne Constanza poleciała, by nie zakłócano mu spokoju. Coś jednak go niepokoiło, jakaś niejasna myśl, która czaiła się na obrzeżach jego umysłu. Paul nasłuchiwał, chcąc wyłowić jakieś dźwięki: głośniejszą uwagę, skrzypienie podłogi, stuknięcie ceberka, ale w *palazzo* panowała całkowita cisza, która aż dzwoniła w uszach. Jakby w odpowiedzi dzwony kościelne oznajmiły głośno kolejną godzinę.

Przez chwilę zastanawiał się, czy Carew wciąż jest na przyjęciu i czy wiozł pannę młodą gondolą do kościoła.

Rozejrzał się po pokoju. Zatrzymał wzrok na nakrytym tureckim dywanikiem składanym stole z pustym kielichem i rozłożonymi kartami. Między boazerią na ścianie znajdowały się miejsca pokryte wytłaczaną skórą, którą zdobiły wymalowane kwiaty i rajskie ptaki. Jej brzegi za-

bezpieczono złotą blaszką. Paul zauważył nad jedną z *cassoni* kawałek boazerii, która wydała mu się jaśniejsza od pozostałej. Przypomniał sobie, że wisiało tam wielkie lustro ze zdobioną ramą i przez chwilę zastanawiał się, gdzie Constanza mogła je przenieść.

Pamiętał, że kiedy przyszedł tu po raz pierwszy jako młody człowiek, komnata wyglądała tak samo jak w tej chwili. I zawsze kojarzyła mu się z Constanzą. Była tu niczym madonna w swoim sanktuarium. Pamiętał też wszystkie emocje, które towarzyszyły ich pierwszemu spotkaniu. Wydała mu się stworzeniem tak rzadkim jak syrena czy sfinks - zbyt wspaniałym dla zwykłych śmiertelników.

Poznali ją przez jej opiekunkę, która w młodości sama była słynną kurtyzaną, a teraz czyniła honory pani domu, częstując ich słodyczami i winem. Pamiętał, jak kazała jemu i jego towarzyszowi, który miał na imię Francesco, czekać w przedpokoju, by mieli czas pożłować olbrzymiej sumy, którą musieli wyłożyć, by poznać najsłynniejszą kurtyzanę Wenecji. Paul z uśmiechem pomyślał teraz o tym kaprysie dwóch młodzieńców, którzy nagle się wzbogacili. Jacy byli wówczas głupi i arogancy! Wydana kwota była tak duża, że gdy czekali na spotkanie, pot występował im na czoło.

Pindar korzystał wcześniej z usług zwykłych dziewczek. Łatwo o nie było w teatrach Southwark, gdzie chadzał w towarzystwie innych młodych mężczyzn, którzy kształcili się na kupców, jednak to, co go czekało, w niczym nie przypominało wcześniejszych doświadczeń. Stali z Francesco w swoich nowych aksamitnych spodniach niczym para szympanсів. Paul ponownie się uśmiechnął na myśl o tym, jak absurdalnie musieli wyglądać. Nie pamiętał, jak długo czekali, ale wydawało mu się, że całą wieczność. W końcu jednak drzwi się otworzyły i wprowadzono ich do pokoju, w którym paliło się mnóstwo świec. W ich jasnym świetle zobaczyli Constanzę w całym blasku jej młodzieńczej urody: ciemne włosy spływały jej na ramiona, klejnoty na szyi kontrastowały z morelową skórą, a ubrana była w zwiewną, przetykaną złotymi nićmi szatę. Wstała właśnie, by ich powitać. Kiedy jej wzrok spoczął na Paulu, poczuł się nagle piękny jak Parys i silny oraz mądry jak Odys. Był pewny, że ze wszystkich mężczyzn pragnie tylko jego.

Czy grała im coś wówczas? Nie pamiętał. Umiała jednak rozmawiać o Dancie i Arioscie, a nawet tym skandaliscie Aretinie. A oni stali, jakby wrosli w podłogę, uciekając wzrokiem, gdy na nich spoglądała.

Jakież był wtedy młody! Paul poruszył głową i odsunął od siebie te myśli. Constanza wciąż spała, wsparta na jego piersi. Pochylił się trochę i wciągnął w nozdrza jej zapach. Pachniała piżmem i czymś słodkim, chyba fiołkami, oraz lekko potem.

Poruszył się i pocałował jej ramię wyschniętymi i spękanyymi wargami. Constanza leżała obrócona do niego tyłem. Pomyślał o tym, że mógłby skorzystać teraz z jej usług, tak jak kiedyś,

gdy była ciepła i jeszcze senna. Oparł się udami o jej jędrne pośladki i poczuł, że jego członek też powoli budzi się do życia. Zaczął nawet podciągać jej *camisę*, ale niewiele to dało. Ucisk w pęcherzu coraz bardziej mu doskwierał i Paul doszedł do wniosku, że musi przede wszystkim załatwić tę sprawę. Złożył głowę Constanzy na poduszce i ruszył chwiejnie za parawan, gdzie znajdował się *po*, nocnik. Nagle stanął na czymś dużym i twardym.

Constanzę obudziło głośnie przekleństwo.

- *Cosa?* - Patrzyła, jak wraca do łóżka, skacząc na jednej nodze. - Co się stało?

- Nic takiego. Na coś nadepnałem. Czy czegoś tu wczoraj nie zgubiłem? - Wskoczył do łóżka i przyciągnął ją do siebie.

- Nie zauważyłam. A co?

- Znalazłem chyba coś, co do mnie należy. - Ściągnął *camisę* z jej ramienia, odsłaniając pierś Constanzy.

- Paul!

- Pozwól mi patrzeć - rzucił.

Przez chwilę leżała posłusznie, przyglądając mu się w zamyśleniu.

- Gdzie jest lustro? - spytał i ucałował jej pierś. - To, które wisiało na ścianie.

- Lustro? Oddałam je do złotnika, żeby pomalował ramę. - Urwała na chwilę. - Nie możesz tu, ot tak, przyjść i oczekiwać... Nie po tych wszystkich latach...

Odsunęła się od niego i usiadła zamyślona. Przez chwilę patrzyli sobie w oczy. Nagle Constanza zaśmiała się i przetoczyła na drugi koniec łóżka.

- Po tych wszystkich latach mógłbyś mnie przynajmniej spytać o zdrowie!

Jej złociste ciało kontrastowało z ciemną narzutą. Zauważył też dwa dołeczki nad jędrnymi pośladkami.

- Przecież widzę, że nic ci nie dolega, *signora* - powiedział i dotknął delikatnie palcami tych dołeczków na samym końcu jej pleców. - Czas w ogóle się ciebie nie ima.

Constanza przycisnęła czule dłoń do policzka Pindara.

- Jesteś tego pewny? - spytała.

- Tego? - powtórzył.

- Wiesz, o co mi chodzi... *la négociation entière*.

- Po prostu połóż się i pozwól na siebie patrzeć.

- Doskonale wiesz, że nie skończy się tylko na patrzeniu - odparła.

Znowu się od niego odsunęła i zakryła ręką piersi.

- Chcesz wiedzieć, czy będę ci mógł zapłacić?

- A będziesz? - Constanza popatrzyła mu bez wstydu w oczy.

- Czy to wystarczy? - pokazał niewielki przedmiot, który do tej pory skrywał w dłoni.

- Co to takiego?

- Klejnot.

- Klejnot? - Constanza znieruchomiała. - Jaki klejnot?

- Sama zobacz. - Paul włożył w jej dłoń owinięty w kawałek jedwabiu przedmiot. Wahala się przez chwilę, jakby nie bardzo wiedziała, co z nim zrobić.

- Nie bój się, nie gryzie. - Zaśmiał się, widząc jej minę. - Wygrałem to w karty.

Constanza nagle pobladła.

- W karty? Nie!

- Zapewniam, że tak. - Paul spojrział na nią ze zdziwieniem.

- *Madonna mia!* To niemożliwe! - Rozpakowała ostrożnie klejnot, który zaśnił czerwienią w półmroku komnaty. - Aa...

- Aa? Tylko tyle mi powiesz?

- To rubin - odparła uprzejmie.

- Tak, rubin. Moim zdaniem bardzo ładny. Nie rozumiem, co w tym śmiesznego...

- Nic, po prostu przyszło mi do głowy... tylko na chwilę, na jedną szaloną chwilę... -

Constanza przytknęła dłoń do szyi. - Nieważne. Tyle się ostatnio o tym mówiło.

- O czym znowu?

- O wielkim brylancie. Błękitnym brylancie sułtana. Podobno Zuanne Memmo przeznaczył go na nagrodę... - Gdy tylko to powiedziała, zrozumiała, że popełniła błąd.

- Błękitny brylant sułtana? Chodzi o osmańskiego sułtana? Jesteś pewna, że tak go nazywają?

- Sułtana... szacha... W każdym razie kogoś na „s”. - Constanza próbowała zbagatelizować sprawę. - Ten brylant pewnie w ogóle nie istnieje, to tylko plotki z Rialto. Natomiast ten rubin jest z pewnością prawdziwy. - Wyciągnęła klejnot ku światłu z nadzieją, że uda jej się zmienić temat. - Bardzo ładny, cięty płasko... - Przesunęła palcem po kamieniu. - Może nie najpiękniejszy, jaki widziałam - dodała po chwili - ale też z pewnością nie najbrzydszy. Poza tym Carew mówił, że wciąż przegrywasz.

- Cóż... - Paul sprawiał takie wrażenie, jakby chciał wygłosić jakąś cierpką uwagę, lecz w końcu zrezygnował. - Powiedzmy, że zainteresowałem się ostatnio zagranicznym handlem wymiennym.

- Co takiego? Nie rozumiem. Możesz to wyjaśnić?

- Sprawa jest prosta. Z wielu powodów handel stał się obecnie zajęciem ryzykownym, natomiast klejnoty zawsze zachowują wartość.

- Przehandlowałeś swoje udziały w Kompanii Lewantu?!

- Jesteś bardzo bystra, *signora*. Podoba ci się?

- Jest piękny. I ma barwę dobrego, dojrzałego wina.

- Wezmę go dzisiaj do Prospera, żeby go dokładnie dla ciebie wycenił. Pamiętasz Prospera Mendozę?

- Tego złotnika? *Ma certo*, wszyscy go znają.

- Spytam go też o ten brylant. Na pewno będzie coś o nim wiedział.

Constanza patrzyła na nagie pośladki Pindara, który wstał z łóżka i podszedł do okna. Czy wszyscy Anglicy są aż tak bladzi? Cieszyła się, że może z nim być, że Paul za chwilę tu wróci i weźmie ją tak jak kiedyś, jak zawsze.

Odłożyła rubin, starając się pozbiierać myśli. Miała jeszcze czas, by mu powiedzieć, że powinien zapomnieć o brylancie, i ostrzec go przed Zuanne Memmo, ale przede wszystkim chodziło jej o to, by nie dać po sobie poznać, jak bardzo go pragnie i że chce jej się płakać na sam jego widok. Nauczyła się tego jeszcze od swojej matki i to takim kosztem, że nie potrafiła się już tego oduczyć. Wiedziała, że nie może okazywać ani swego pożądania, ani też wstrętu, jaki czuje do danego mężczyzny. Te uczucia powinny pozostać głęboko ukryte w jej sercu. Na tym właśnie polega bycie kurtyzaną.

I dlatego jedyna osoba, która mogła ocalić Paula, nie powiedziała nic na ten temat. Poprawiła się tylko na poduszkach i z leniwym uśmiechem wyciągnęła do niego rękę.

- Przyjmuję twój rubin, kochany. - Poglądziła materac obok. - *Viene!* Zobaczysz, że ja też potrafię prowadzić handel wymienny.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Orszak weselny w końcu zaczął się do nich zbliżać.

Annetta wraz z dwiema innymi siostrami z chóru, *suorą* Ursią i *suorą* Francescą, a także *conversą* Eufemią obserwowała wolno płynące gondole.

- Myślisz, że to oni?

- Z całą pewnością. Popatrz, płyną w naszą stronę!

- Tak, w dodatku tyle gondoli!

Cała czwórka znajdowała się w jednym z najwyższych dormitoriów, zajmowanych zwykle przez nowicjuszek. Jeśli ustawiono się jedna na drugiej trzy ławki, to można było wyjrzeć przez okno, jedyne, jakie się tutaj znajdowało. Wszystkie młodsze zakonnice wiedziały, że widać z niego dużą część zatoki, w tym od północy Giudeccę, a także wszystkie łodzie i gondole, które zmierzały w stronę budynków klasztornych.

- No dobrze, zejździe, teraz ja popatrzę. - Annetta zaczęła spychać je z ławek. - Mam do tego specjalny przyrząd.

Wyjęła z kieszeni niewielki pokryty szagrąnem cylinder wielkości odpustowej fujarki i zajęła miejsce na górze.

- Co to? Co to takiego? - *Suora* Eufemia, najmłodsza z nich wszystkich, na oko dwunasto-, trzynastoletnia przeskakiwała z nogi na nogę.

- To się nazywa luneta. Tylko ciszej, bo zaraz przyjdzie tu siostra Margaretta. - Annetta przyłożyła lunetę do jednego oka i zmrużyła drugie. Na początku widziała tylko oślepiające błyski słońca, które przeglądało się w szmaragdowych wodach zatoki.

- Czyżbyś znowu była w pokoju siostry Purificación? - szepnęła ze zgrozą Ursia.

- Pewnie to ukradła - mruknęła Francesca, jej grubo ciosana twarz wyrażała niechęć.

- Nie ukradłam, tylko pożyczyłam. - Annetta skierowała lunetę na horyzont. - Oddam ją jutro Purificación... Och!

- Co? Co tam?

- Widzę! - powiedziała tonem uzdrowionego ślepego. - Naprawdę ich widzę.

- Ojej, ale się wystraszyłam! - rzuciła *suora* Eufemia i położyła dłoń na piersi. - Serce bije mi tak mocno.

- Daj popatrzeć, w końcu to moja siostrzenica - powiedziała *suora* Francesca i pociągnęła Annetę za rękaw.

- Chwila, cierpliwości.

Annetta dostrzegła teraz w niewielkim kółku ustrojoną wstążkami łódź, na której płynęło około dwudziestu osób. Inne gondole też były ozdobione, a znajdujący się na nich weselnicy rozmawiali ze sobą wesoło. Annetta zauważyła wśród nich pannę młodą, Ottavię, siostrzenicę Franceski, która oficjalnie była wychowanką zakonu Świętej Klary, a także jej dwie drużny, które łatwo można było rozpoznać, gdyż miały rozpuszczone na plecy włosy. W łodziach znajdowały się głównie młode osoby, które towarzyszyły nowożeńcom w ich ślubnych wizytach.

- Już są! - Annetta poczuła podniecenie na widok gości weselnych, ale po chwili omal nie wypuściła lunety z rąk. - Och!

- Co takiego? Co takiego? - Eufemia była tak podekscytowana, że nie mogła wytrzymać w jednym miejscu. Skakała po pokoju, wciąż przyciskając dłoń do piersi.

- Cicho, Eufemio, bo nas tu znajdują! A ty, Francesco, przestań mnie szturchać, zaraz dam ci lunetę. - Annetta z trudem przełknęła ślinę. - *Madonna!* On patrzy wprost na mnie!

- Kto? Kto na ciebie patrzy?

- Eufemio, uspokój się, bo dam ci klapsa - syknęła Annetta. - Nie, to niemożliwe...

Znowu uniosła lunetę i zaczęła przyglądać się łodziom. Znajdowały się już bliżej i właściwie można było gołym okiem rozróżnić poszczególne sylwetki. Ale ona widziała dokładnie wszystkie osoby i teraz nie miała już wątpliwości, że mężczyzna z ostatniej gondoli też trzyma przy oku lunetę. Był szczupły i mocno umięśniony, a jego kręcone włosy opadały aż na ramiona. Sama nie wiedziała, jak długo obserwował okno górnego dormitorium. Teraz, wciąż patrząc w jej stronę, wyciągnął wolną rękę i pomachał w jej kierunku. A następnie, jakby nie był pewny, czy go widzi, przesunął dłoń między nogi i poruszył lubieżnie biodrami.

Annetta wypuściła lunetę, jakby coś ją ugryzło, a ta poleciała z wysokości na podłogę. Cała czerwona zaczęła schodzić z ławek.

- Co się stało? - Siostry tłoczyły się wokół niej.

- Nie, nic... Pomyślałam tylko, że powinnam jak najszybciej zwrócić lunetę *suorze* Purificación. - Z tymi słowami wybiegła z pokoju, a inne siostry najpierw zamilkły, a potem rozwierkały się niczym wróble.

Gości weselnych zaproszono do głównej sali, gdzie podano tradycyjne przekąski: ciasta i ciastka pieczone przez same siostry, a także wino z klasztornej winnicy. Młodzi ludzie zachowywali się hałaśliwie, co wskazywało, że nie jest to ich pierwsza wizyta tego dnia. Chodzili po sali, podjadali ciastka i pili wino. Zakonnice, zgodnie z zasadami panującymi w klasztorze, siedziały same w sąsiedniej komnacie, oddzielonej kratą od sali głównej. Te młodsze, a zwłaszcza *suora* Francesca i *suora* Ursia, tłoczyły się przy kracie, do której przywoływały pannę młodą, by dotknąć jej zdobnej sukni. Po jakimś czasie otwarto też kolejne drzwi do sali i weszły tam

wychowanice zakonu, dziewczyny wysłane tu, by spędziły czas na modlitwie i nauce. Kiedy zobaczyły Ottavię, która jeszcze niedawno była jedną z nich, a teraz miała już męża, pisnęły głośno i zaczęły się z nią ścisnąć ku rozbawieniu zgromadzonych gości.

Tylko jedna osoba w całym klasztorze nie była w weselnym nastroju. Skrzywiona Annetta siedziała na tyłach pokoju zakonnicy i patrzyła w przestrzeń. Podziękowała za ciasta i wino. Po chwili podeszła do niej Ursia.

- Mogę tu usiąść?

Annetta wzruszyła niechętnie ramionami, ale posunęła się trochę, żeby zrobić jej miejsce.

- Co się stało? - spytała tamta. - Czy *suora Purificación* przyłapała cię, jak odkładałaś lunetę?

- Ona miałaby mnie złapać? Niedoczekanie.

- Więc musiałaś coś zobaczyć przez lunetę - naciskała Ursia.

Annetta pomyślała o mężczyźnie, jego mocnej sylwetce i bezwstydnym geście.

- Nie twoja sprawa. - Wstała i energicznym gestem strząsnęła z sukni jakieś niewidoczne okruchy.

Mimo półmroku, jaki tu panował, zauważyła, że Ursia posłała jej ostre spojrzenie, a potem odwróciła się od niej z nadąsaną miną. Miała twarz silnej i zdecydowanej osoby, wysokie kości policzkowe i ładne usta, które robiły się jeszcze ładniejsze, gdy się śmiała. Annetta zastanawiała się, jak też mogą wyglądać ukryte pod welonem włosy siostry Ursii. Zapewne są jasne, chociaż trudno powiedzieć. Z całą pewnością nie są zupełnie czarne. Przez chwilę zastanawiała się, czy nie powiedzieć jej o mężczyźnie z gondoli. Czasami wydawało jej się, że lubi Ursię, która podobnie jak ona nie darzyła szacunkiem ani przełożonych, ani samego zakonu. Od czasu przyjazdu tutaj czuła się bardzo samotna. Poza tym Ursia uznałaby zapewne to zdarzenie za zabawne, a nie gorszące. Może nawet mogłyby się razem z niego pośmiać. A jednak z jakichś powodów nie mogła jej opowiedzieć o tym, co się zdarzyło.

Ursia uznała w końcu, że nic już z niej nie wydobędzie, i Annetta została sama ze swoimi myślami.

Czy to możliwe, że widział moją twarz? - zastanawiała się. Zerknęła na zgromadzonych w refektarzu gości weselnych. Nie, to niemożliwe. Cały czas zasłaniała ją luneta. Zapewne dostrzegł po prostu odbicie słońca w okularze i to zwróciło jego uwagę.

Wetknęła pod welon dwa kędziory, które tak pracowicie formowała rano, a potem znowu spojrzęła nerwowo w stronę sali, szukając mężczyzny z łodzi. Nie, nie było go tam. Być może się pomyliła i nie należał on do gości weselnych. Mogła to być jakaś samotna gondola, która płynęła zupełnie gdzie indziej. Annetta odetchnęła z ulgą i w końcu podeszła do kraty.

Zauważyła, że któryś z gości ustawił w kącie pokoju coś w rodzaju budki z płótna w czerwone i żółte pasy i teraz odbywało się w niej przedstawienie kukielkowe. Usiadła więc, żeby je obejrzeć.

I nagle zapało jej dech w piersi. To był on! To właśnie on wynurzał się zza płóciennej budki. A więc tam się ukrywał! Rozpoznałaby wszędzie te jego brązowe oczy i pewne siebie spojrzenie, a także opadające na ramiona włosy. Za pasem miał kilka ostrych noży kuchennych. To one tak lśniły, gdy patrzyła przez lunetę. Patrzyła, jak przesuwa się na tyły sali, a potem rozgląda pilnie na wszystkie strony. Kiedy upewnił się, że nikt go nie obserwuje, wysliznął się cichutko przez drzwi prowadzące do klasztorного ogrodu.

Zakonnice zajmowały się głównie gośćmi weselnymi lub oglądały wraz ze swymi wychowankami przedstawienie, zatem ogród był zupełnie pusty.

Annetta nie mogła oczywiście wyjść za intruzem i dotarcie tutaj zajęło jej sporo czasu, nie wiedziała więc, gdzie go teraz szukać. Musiała przejść przez korytarz, potem refektarz oraz kuchnię i minąć kilka spiżarni, zanim dotarła do odpowiedniego wyjścia.

Biegła tak szybko, że kiedy dotarła do kuchni, zaczęła ciężko dyszeć. Do tej pory nie widziała nikogo oprócz Grubej Anny, która była głucha i tak tępa, że nawet przedstawienie kukielkowe było dla niej za trudne. Pomywaczka siedziała na schodach i skrobała marchewki. Annetta minęła ją i przeszła dalej. Zatrzymała się dopiero na podwórku za kuchnią i oparła o beczkę z wodą, by złapać oddech.

Obecnie rzadko tutaj bywała, ale to miejsce nie zmieniło się od czasów jej wczesnej młodości. Przechodzące gęsi syczały na jej widok, a czarny kot, który leżał na kamiennych czerwonych płytach, lizał swoje futro. Jakie to dziwne, w dawnych czasach praktycznie mieszkała w kuchni... Była wtedy *conversą*, czyli tak naprawdę służącą. Jednak teraz, kiedy wróciła do zakonu z własnym wianem i miała złożyć śluby, wszystko się zmieniło. Okazało się, że jest równie dobra jak te wszystkie *contessy*, które zadzierały tu nosa. I niewątpliwie była równie bogata.

Z podwórca przeszła ostrożnie do ogrodu warzywnego i stała tam przez chwilę, by się zorientować w sytuacji. Dochodziło już zapewne południe i zrobiło się gorąco. Nawet cyprysy, które rosły przy murach klasztoru, nie dawały cienia. Nieco dalej rozciągał się ogród botaniczny, okolony równo przystrzyżonym żywopłotem, pełen geometrycznie uporządkowanych grządek. Rosły w nim rzadkie gatunki roślin, niejednokrotnie o właściwościach medycznych, z roślin tych słynął zakon Świętej Klary. Jednak gdyby tam przeszła, łatwo by ją można było dostrzec i dlatego zdecydowała się trzymać pozostałej części ogrodu. Znalazła się w rozarium i zewsząd otoczyły ją kolorowe - czerwone, białe, różowe - kwiaty, widoczne w rozmazanej mgiele słonecznego żaru, a potem weszła między lipy, których konary spletały się ze sobą. Ciche bzyczenie przypomniało jej,

że znajduje się koło uli. Zaczęła się wycofywać, chowając się za żywopłotem. *Suora Virginia*, jedna z najstarszych zakonnicek, chodziła między ulami z twarzą ukrytą za siatką. Annetta doszła do wniosku, że tamta pewnie w ogóle nie zwróci na nią uwagi i ruszyła dalej.

Chociaż widziała go tylko przez lunetę i w dodatku z daleka, nie wątpiła, że z gondoli obserwował ją mężczyzna, który wykradł się do ogrodu. Ciekawe, co zamierza? Annetta myślała o nim, o tym, jak wygląda. Ta buńczuczna, pewna siebie twarz wydała jej się znajoma. Sądził, że może się tutaj dostać, a potem chwalić się tym swoim znajomkom. Często w czasie, gdy była w niewoli, myślała, że jest jej lepiej bez mężczyzn. Pojawiali się jedynie eunuchowie, mężczyźni bez *coglioni*, a i tak zdarzało się, że niektóre dziewczyny się w nich zakochiwały.

Kiedy tak szła alejką, robiło jej się coraz bardziej gorąco. Czowała, że kosmyki włosów wystają jej spod welonu, a *camisa* zaczęła kleić się do pleców. W tej części ogrodu nie było nikogo poza *suorą Virginia* w wielkim pszczelarskim kapeluszu. W dalekim końcu ogrodu, gdzie mur niemal przylegał do wód zatoki, weszła między dwa wysokie żywopłoty. Znajdowała się tu zarośnięta altana z kamienną ławką w środku. Annetta z przyjemnością ukryła się w cieniu. Słońce bardzo ją osłabiło, usiadła więc na ławce, która zachowała jeszcze resztkę porannego chłodu. Nagle zza żywopłotu dotarł do niej plusk wody - musiało to być źródło albo fontanna, której nie mogła stąd dostrzec. I właśnie wtedy usłyszała również głosy - mężczyzny i kobiety. Ożywiona rozmowa przeszła nagle w śmiech.

Annetta natychmiast wybiegła z altanki, unosząc wysoko spódnicę. Okrążyła żywopłot i dotarła po chwili do niewielkiej grotki. Na jej środku stała figura Matki Boskiej, a spod jej stóp spływało kaskadami źródło. Nie, pomyliła się, nikogo tu nie było. Zaczęła już myśleć, że to wszystko z powodu gorąca, kiedy kątem oka zauważyła jakiś kolorowy błysk tuż przy jednym z końców grotki. Znowu ruszyła biegiem, kierując się najpierw w stronę kuchni, ale potem zmieniła zdanie i ponownie znalazła się obok altanki. Nie zauważyła nikogo w pobliżu.

Usiadła ciężko na kamiennej ławce. Nagle poczuła czyjąś dłoń na szyi, a potem drugą, zaciskającą się na jej ustach. Chciała skoczyć na równe nogi, lecz napastnik mocno ją trzymał. Próbowwała wykręcić głowę, uderzyć go łokciem czy nogą, ale tamten unikał ciosów. Palce na jej gardle zacisnęły się jeszcze mocniej.

Annetta stwierdziła, że nie może działać na ślepo. Miała jeszcze szanse w tej nierównej walce. Zaczęła udawać, że słabnie i osuwa się na ziemię, a następnie z całej siły wymierzyła kopniaka w tył.

- Aa!!!

Tym razem się udało. Annetta wyswobodziła się z uścisku i wypadła z altanki.

- *Suora!* - usłyszała za sobą znajomy głos.

Przystanąła na chwilę zdziwiona.

- T...tak?

- To ja.

Annetta ponownie zajrzała do środka.

- Ursia? - W altance znajdowała się siostra Ursia, która rozcierała łydkę, ale jednocześnie się śmiała. - Co cię, na miłość boską, opętało?! - spytała wściekła.

Ursia wyprostowała się i roześmiała jeszcze głośniej.

- To był oczywiście żart! Żebyś widziała swoją minę... - Ursia wytarła oczy i wyszła zza ławki. Suche liście i pajęczyny przywarły do jej habitu.

- Myślisz, że to było zabawne? - Annetta położyła dłoń na gardle. - Bardzo mnie wystraszyłaś. - Poczwała nagle, że naprawdę zrobiło jej się słabo, więc przysiadła na ławce i zdjęła welon.

- Bardzo mi przykro - powiedziała ze skruchą Ursia i usiadła obok. - Ale jesteś czerwona. Nic ci nie jest?

- Nie, zaraz dojdę do siebie. - Annetta przesunęła palcami po głowie. Jak to miło poczuć wiatr we włosach, pomyślała. Nawet tak słaby, jak ten tutaj. - *Madonna!* Nie przypuszczałam, że jesteś taka silna!

- A ty walczyłaś niczym tonący kot!

- Myślałam...

- Tak?

- Myślałam, że to ten mężczyzna.

- Jaki mężczyzna?

- Ten z gondoli. Miał lunetę, taką jak miała stara Puri.

- I myślałaś, że tu jest?

- Widziałam, jak wymyka się do ogrodu. Dlatego tu przyszedłam.

- I widziałaś go gdzieś?

- Nie, ale za to słyszałam. Rozmawiał w grocie z jakąś kobietą. - Annetta wskazała żywo-plot, za którym znajdowała się grotka z figurą i źródłem. - Ty też tu byłaś. Nic nie słyszałaś?

- Ja? Nie. - Ursia wzruszyła ramionami. - Szukałam ciebie. Pewnie się przesłyszałaś, ten upał jest doprawdy obezwładniający. - Poglądziła ją po ramieniu. - Lepiej nałóż welon. Dzwonili już na modlitwę, a stara Puri na pewno zauważy, że się spóźniłyśmy. Idziemy?

ROZDZIAŁ ÓSMY

Annetta doskonale wiedziała, czego można się spodziewać po siostrze Purificación. Miała się o tym ponownie przekonać, kiedy jeszcze tego dnia zastępczyni przeoryszy wezwała ją do siebie.

- Czy wiesz, dlaczego kazałam ci się tutaj stawić?

- Nie, siostro.

- Nie, *reverend suora*.

- Nie... siostro Purificación.

Annetta patrzyła na niewielki krucyfiks, który wisiał na ścianie nieco na prawo od głowy *suory*. Zrobiła efektowną przerwę, a potem dodała:

- Wybacz, siostro, ale zawsze wydawało mi się, że mamy zwracać się „wielebna” jedynie do naszej przeoryszy... Ale być może - powiedziała pokornie i spuściła oczy - być może się mylę? Jeśli tak, to proszę o wybaczenie.

Starsza kobieta milczała przez chwilę. Annetta słyszała tylko świst, jakby wciągała powietrze przez zęby. Te, które jeszcze zostały w jej arystokratycznej gębie, dodała z satysfakcją, oczywiście w myślach. Kiedy uniosła na chwilę głowę, zauważyła, że stara zakonnica porusza ustami. Jednak żadna modlitwa nie mogła jej w tej chwili pomóc.

Suora Purificación przyglądała się jej przez chwilę, a potem wstała ze swego miejsca, obeszła ją dookoła i stanęła za nią. Wciąż milczała. W pokoju słychać było tylko, jak postukuje co jakiś czas swoją srebrną laską.

- Wygląda na to, że mieliśmy tu intruza. Annetta omal nie podskoczyła na te słowa.

- Och?!

- W naszym ogrodzie.

- Och!

- Czy wiesz coś na ten temat, *suora*? - Kiedy Annetta się nie odezwała, dodała po chwili: - Wiemy, że tam był, ten *monarchino*, gdyż zdeptał grządki siostry Annunciaty, połamał gałęzie jej gruszy i zostawił nam dar w postaci swego buta, kiedy uciekał przez mur.

Rzuciła jej pod nogi męski sandał.

- *Monarchino*?

- Tak, jestem pewna, że znasz ten termin, *suora*. Mężczyzna, który szuka grzesznych związków z zakonnicami.

- Oo!

- Czyżbym cię zgorszyła? - Na ustach siostry Purificación pojawiło się coś w rodzaju uśmiechu. - Chyba nie Ciebie...

Annetta poczuła ruch pod stopami. Spojrzała w dół i zobaczyła, że *suora* Purificación uniosła swoją srebrną laską rąbek jej habitu, wystarczająco, by odsłonić zabronione zdobne halki. Przez chwilę w pokoju panowała całkowita cisza. Tak głęboka, że słysząc było jakieś bardzo dalekie dzwony z przeciwległego brzegu zatoki.

Suora Purificación ponownie ją obeszła i popatrzyła jej w oczy. Jej twarz tworzyła idealny owal, skóra była zadziwiająco jasna i prawie bez zmarszczek. Musiała być kiedyś bardzo piękna, pomyślała ze zdziwieniem Annetta. Ciemne hiszpańskie oczy były do połowy przesłonięte powiekami, tak dużymi, że wydawało się, iż *suora* Purificación z trudem utrzymuje je otwarte.

- Nie mam nic wspólnego z tym, jak powiedziałaś, *suora... monarchino* - rzekła w końcu Annetta.

- Widziano cię.

- Gdzie?

- W ogrodzie.

- Chodzę do ogrodu, by tam rozmyślać i modlić się. Tak jak my wszystkie. - Annetta posłała jej szybkie spojrzenie. - Nie widziałam tam żadnego intruza. Jeśli ktoś twierdzi, że jest inaczej, to kłamie.

Suora Purificación znowu zamilkła na dłuższą chwilę.

- Zapewne wiesz, że nastąpiło to wbrew mojej woli.

- Nie rozumiem. Co takiego?

- To, że przyjęto cię z powrotem do zakonu na tak dogodnych dla Ciebie warunkach.

- Dogodnych?

- Doskonale wiesz, o czym mówię. Kiedy przyszedłaś tu po raz pierwszy, byłaś zaledwie *conversą... służącą*. A teraz masz złożyć pełne śluby, stać się siostrą z chóru, być na równi z tymi z nas, które są szlachetnie urodzone i pochodzą z najlepszych rodzin. - Głos *suory* Purificación przeszedł w szept. - I to ty, która byłaś zwykłą...

- Przykro mi, jeśli cię uraziłam, *suora*. - Annetta nie miała zamiaru słuchać, jak tamta ją obraża. - Jednak jak wiesz, zgodziła się na to sama przeorysza. Wnoszę tu przecież duże wiano, którego zakon potrzebuje. A sam patriarcha zdecydował... - Annetta szukała odpowiednich słów - sam patriarcha przypomniał naszej wielbnej przeoryszy, że przed Bogiem wszyscy jesteśmy równi.

- Twoje wiano, *suora*, nie ma tu nic do rzeczy. Chodzi raczej o twoją znajomość świata, która jest wysoce nieodpowiednia.

- Nieodpowiednia? W jakim sensie? - Annetta popatrzyła na nią, marszcząc brwi. Ta rozmowa zmierzała w dziwnym, trudnym do przewidzenia kierunku. - Cóż innego mogłabym robić? Od dzieciństwa wychowywałam się w klasztorze. Doskonale wiesz, że nie mam dokąd pójść.

- Łamiesz regułę ubóstwa!

- Nie ja jedna. - Annetta spojrzała znacząco na jej srebrną laskę.

- Zwodzisz inne, niewinne dziewczyny. Wszystkie zupełnie poszalały, od kiedy wróciłaś. Nawet Eufemia, która jest zwykłą *conversą*. To ty im przewodzisz.

- Ależ...

- Wbrew regułom trzymasz w pokoju jedzenie i wino, a one przychodzą do ciebie, żeby zjeść, ale tak naprawdę czytają różne książki. Śpisz podczas modlitw i zajmujesz się plotkami. Jak doskonale wiesz, łamiesz w ten sposób nasze reguły zakonne. Przyjaźnie, *suoro* Annetto, były możliwe tam - skinęła lekko głową - ale nie tutaj.

- Zabronisz mi się przyjaźnić, *suora*?

- Tak, z jednostkami. Bo w ten sposób wyróżniasz poszczególne siostry, a powinnaś darzyć przyjaźnią wszystkie. Chyba to rozumiesz, *suora*?

- Ale nasza wielbna przeorysza zawsze mówiła... Siostra Purificación wyciągnęła w górę dłoń, by ją uciszyć.

- Nasza wielbna przeorysza jest bardzo, bardzo stara. Niewiele jej już zostało czasu. A kiedy odejdzie, będziesz musiała przygotować się na zmiany...

Obie długo stały w milczeniu. Annetta zauważyła wróbelka, który wleciał do pokoju, a teraz przyglądał im się z jednej z poczerniałych krokwi.

- Powiedz mi, *suora* - kiedy siostra Purificación odezwała się w końcu, w jej głosie pojawiło się wahanie - jak tam było?

- Gdzie?

- Tam gdzie byłaś.

Annetta zastanawiała się przez chwilę nad odpowiedzią.

- Samo miejsce było... bardzo duże.

- Duże?

- Tak, duże.

Suora Purificación popatrzyła na nią swymi półprzymkniętymi oczami.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Większe niż klasztor - wyjaśniła Annetta. - Było nas też więcej.

- Rozumiem.

- A jedzenie...

- Jedzenie?

- Tak, też było inne.

- Inne? - *Suora Purificación* tak bardzo chciała się czegoś dowiedzieć, że zachowywała się jak zwykła, prosta kobieta. - To znaczy?

- Cóż... - Annetta wbiła paznokcie w dłonie, żeby się nie roześmiać - inne niż tutaj.

- Tak, tak, wiem, o co ci chodzi. - Przerwała jej niecierpliwym gestem. - Doskonale to rozumiem.

Nic nie rozumiesz, pomyślała Annetta. Nic a nic. Chociaż bardzo byś chciała. I wydaje mi się, że wiem, co tak bardzo cię interesuje.

- Coś jeszcze?

- Nie wiem, o co ci chodzi, *suora Purificación*. - Twarz Annetty pozostawała nieodgadniona.

- Co chciałabyś wiedzieć? - Spojrzała niewinnie na przełożoną. - Co konkretnie?

Od razu też zrozumiała, że posunęła się za daleko. Przez chwilę miała władzę nad starszą zakonnica, ale nagle coś się zmieniło. *Suora Purificación* zamknęła oczy, jakby widok Annetty sprawiał jej ból, a następnie cofnęła się o krok.

- Zaczekaj tu na mnie, *suora* - poleciła.

- Ale stoję tutaj już od godziny...

- Zaczekasz jeszcze - przerwała jej siostra *Purificación*. - Będziesz tu czekać tak długo, jak zechcę. - I bez dalszych wyjaśnień wyszła z pokoju, postukując laską o kamienną podłogę.

Jeśli zastępczyni przeoryszy chciała się czegoś dowiedzieć, często kazała im stać i czekać w jednym miejscu, co zwykle dawało rezultaty w przypadku młodszych zakonnice. Annetta chciała tupnąć z wściekłości. *Madonna!* Czasami wręcz przyznawały się do rzeczy, których nie zrobiły. Ale jeśli stara *Purificación* uważa, że uzyska coś od niej w ten sposób, to się myli. Nauczyła się przynajmniej panować nad sobą w ciągu czterech lat, które spędziła na służbie u matki sułtana. Annetta starała się o tym nie myśleć, ale w tej chwili wspomnienia pojawiły się same.

Przed oczami stanęła jej matka sułtana taka, jaką widziała po raz ostatni. Miała wtedy służbę i zajrzała do sypialni swej pani, by upewnić się, że wszystko jest w porządku. Władczyni leżała na tapczanie z oczami skierowanymi w górę i rękami złożonymi na piersi, jakby od dawna gotowała się na tę chwilę, być może nawet jej pragnęła. Ci, którzy ją znali, doskonale wiedzieli, że kontroluje wszystko, co dzieje się we wnętrzu haremu. *Sahfije* była najpotężniejszą kobietą w całym imperium osmańskim, matką Cienia Boga na Ziemi, a Annetta była kiedyś jej osobistą służącą.

Podobno zmarli często wyglądają tak, jakby spali, ale Annetta miała inne doświadczenia. Pamiętała, jak przyglądała się leżącej matce sułtana z dziwnym wrażeniem, że widzi ją po raz

pierwszy. Zauważyła pieprzyk na jej lewym uchu, jasne piegi na policzku, znamię na jednej z dłoni - niedoskonałości, z których istnienia nie zdawała sobie dotąd sprawy.

Kiedy ją znalazła, Sahfije była jeszcze ciepła, ale jej skóra nabrała już woskowego odcienia, a usta się zapadły. Jedno oko miała lekko uchylone, więc wyglądała tak, jakby budziła się ze snu. Annetta niemal słyszała jej głos: „I cóż, na co czekasz, *caryie*? Podaj mi szal, kota, przynieś kawę... natychmiast”. To aż dziwne, że ten niezwykle, niski głos zamilkł już na zawsze.

Jej obecność tak bardzo wryła się w ich umysły, że kiedy Annetta w końcu wezwała eunu-chów, żaden z nich nie ważył się tknąć ciała zmarłej. Jednak najpierw stała przy niej sama i patrzyła w zamyśleniu na martwą władczynię.

Annetta zadrżała mimo gorąca, które panowało w klasztorным pokoju. Matka sułtana nie żyła! Pamiętała to uczucie, że ma do czynienia tylko ze skorupą, wydmuszką, z której zniknęło całe piękno. Ciało leżące pod ciężkim pledem ze skóry było znacznie bardziej kruche po śmierci niż za życia. Było to dla niej czymś zaskakującym, jakby osoba, którą знаła, okazała się iluzją. Sztuczką magiczną. Aktem woli. Albo też, znając Sahfije, wszystkim tym po trochu.

W dziwnym niebieskozielonym świetle jej sypialni, z rozpuszczonymi włosami wyglądała niczym syrena. Annetta wyciągnęła dłoń, by jej dotknąć. Skóra dłoni była jeszcze miękka, ale ciało pod spodem zaczęło już twardnieć. Nie czuła strachu, jedynie ciekawość. Więc tak wygląda śmierć. Czy to już wszystko?

I dopiero wtedy zauważyła coś interesującego. Matka sułtana trzymała jakiś przedmiot w zaciśniętej pięści. Dziwne... Co to może być? Pochyliła się, żeby lepiej się temu przyjrzeć. Był to klejnot, w dodatku nie byle jaki, bo brylant, i to tak wielki, że Sahfije z trudem go obejmowała palcami. Annetta natychmiast zamknęła usta, zapominając o tym, że właśnie chciała wezwać pomoc.

Jej pani miała wiele klejnotów, najpiękniejszych kamieni szlachetnych: szmaragdy z Nowego Świata, perły i rubiny z Persji i Indii, wielkie turkusy z gór północy, które stanowiły świadectwo tego, jak długo była faworytą sułtana, ale Annetta nigdy nie widziała u niej tak wspaniałego brylantu. Był to pojedynczy kamień, oszlifowany, ale nieoprawiony i zapewne zbyt wielki, by w ogóle można go było nosić.

Sięgnęła po niego najpierw z ciekawości. Popatrzę tylko i zaraz odłożę, pomyślała. Jednak palce Sahfije tak mocno zacisnęły się wokół klejnotu, że nie mogła ich rozsunąć. Dłonie zaczęły jej się pocić. W sypialni paliły się tylko dwie świece, które miała wymienić tej nocy, ale w ich mdłym blasku brylant wydał jej się czymś żywym i pulsującym wewnętrznym światłem. Wyteżyła słuch, lecz wokół panowała całkowita cisza, tak głęboka, że słyszała swój oddech i dudnienie krwi w uszach.

Nikogo tu nie było.

Spróbowała ponownie i szarpnęła brylant jeszcze mocniej. Kiedy nie dało to rezultatu, ścisnęła pięść Sahfije w swoich dłoniach, by uwolnić klejnot, ale również bez skutku. Matka sułtana ścisnęła kamień tak mocno, jakby od tego zależało jej życie i kto wie... może tak było w rzeczywistości. Anetta doskonale wiedziała, że w zakamarkach haremu działy się różne dziwne rzeczy.

Powoli Anettę zaczęła ogarniać fala paniki. Martwa matka sułtana, która początkowo wydała jej się tak spokojna, nabrała nagle demonicznych cech. Włosy miała w nieładzie i przekrzywiła głowę tak, jakby patrzyła na nią z ukosa. Skóra na jej twarzy przypominała pergamin i była tak naciągnięta, jakby miała za chwilę pęknąć. Jednocześnie obnażyła zęby w złowrogim grymasie.

Anetta z trudem oddychała. Cała zaczęła się pocić. Musi uważać. Lada chwila ktoś się może tutaj pojawić... Mogła zrobić tylko jedną rzecz. Wzięła głęboki oddech, uklękła, a następnie zaczęła zębami odciągać jeden po drugim palce zmarłej kobiety. Poczula coś słodkiego, zapewne smak jakiegoś owocu, który tamta jadła wcześniej, a może miód z jakiegoś ciasteczka, i w końcu brylant poruszył się w martwej dłoni. A potem trzask!

Przeszywający, demoniczny okrzyk przeszył ciemność i jednocześnie ciało pod pledem zaczęło się gwałtownie poruszać. Anetta otworzyła usta, ale była tak przerażona, że nie zdołała wydobyć z siebie głosu. Niemy krzyk zamarł na jej ustach. A potem spod pledu wyłonił się znajomy kształt.

- Och, ty wstrętny, obrzydliwy kocie! - Anetta wyciągnęła dłoń w jego stronę, ale ulubione zwierzę matki sułtana skoczyło na podłogę i po chwili zniknęło w mroku.

Służba niewątpliwie usłyszała głośne kocie miauknięcie. Odgłosy kroków zaczęły się przybliżać do sypialni Sahfije. Anetta wiedziała, że tylko chwilę zaczekają pod jej drzwiami. Dlatego szybko wyjęła brylant z dłoni matki sułtana, a następnie ułożyła ją tak jak poprzednio, starając się jak najlepiej ukryć złamany palec. Na koniec wsunęła skradziony klejnot do kieszeni, gdzie leżał ciężki jak kamień w worku, w którym topiono nieszczęsne mieszkanki haremu.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Tej nocy, trochę przed prymą, Annetta zdała sobie sprawę z tego, że ktoś szarpie ją za ramię.

- Co to? Kto to?

- Mówiłaś przez sen, *suora*.

- To ty, Eufemio? Co tutaj robisz?

Nawet w półśnie rozpoznała wyraźny, niezbyt przyjemny zapach *conversy*. Jej ubrania pochodziły ze wspólnej garderoby i rzadko trafiały do pralni, co dotyczyło również koszuli nocnej.

- Znowu miałaś te sny - powiedziała z wyraźnym akcentem warstw niższych Eufemia. - No, wpuść mnie. - Nie czekając na pozwolenie, wskoczyła do łóżka i ułożyła się tyłem do ściany, leżały więc w łóżku niczym dwie łyżeczki. Annetta widziała w ciemności jedynie zarys jej odsłoniętej głowy. Ciemne włosy Eufemii, ostrzyżone niegdyś aż do gołej skóry, odrastały teraz pierzastymi kępami, co sprawiało, że przypominała pisklaka.

Zgodnie z regułami zakonu Annetta, podobnie jak inne chórzystki, zostawiała drzwi nieco uchylone. Nie było w nich żadnych zamków, a na korytarzu przez całą noc paliły się świece. *Suora Virginia*, jedna z najstarszych i najbardziej szacownych zakonnice, miała za zadanie patrolowanie cel co godzina, by sprawdzać, czy zakonnice nie zachowują się nieprzystojnie, ale zwykle zasypiała już w trzeciej godzinie po zachodzie słońca tak głęboko, że, jak mawiała Ursia, mogłaby przespać Dzień Sądu Pańskiego, pijana, gdyż pociągała wino z beczki, którą trzymała w swojej celi.

- Czy to był znowu ten sen?

- Nie wiem. - Annetta poczuła, jak Eufemia gładzi ją po głowie. - Pewnie tak...

- Nie pamiętasz?

- Nie, nigdy go nie pamiętam. Budzę się tylko z takim dziwnym... uczuciem.

- Jakim uczuciem?

- Sama nie wiem. - Annetta spojrzała w ciemność, próbując znaleźć odpowiednie słowa, by opisać rozpacz, którą czuła, coś czarnego i ciężkiego przygniatającego ją do ziemi. -

Takim, jakbym straciła coś... coś, czego nigdy nie zdołam odnaleźć.

- To już minęło. Nie powinnaś w ogóle o tym myśleć.

- Masz rację, spróbuję. - Annetta czuła ciepło jej małego, szczupłego ciała. - To pewnie z powodu tej leguminy, którą jadłyśmy na kolację. Coś takiego może nie tylko wywołać niestrawność, ale też złe sny.

- Oddałam swoją *suorze* Caterinie. Wiesz, jak lubi słodczyce.

- A ja połowę swojej kotu *suory* Margaretty, chociaż i tak jest wystarczająco gruby. - Annetta uśmiechnęła się. - Możesz mnie jeszcze głaskać - dodała i przeciągnęła się na cienkim materacu.

Jej oczy zaczęły się powoli oswajać z mrokiem. Annetta zaczęła się przyglądać znajomym kształtom. Jej cela składała się tak naprawdę z dwóch pomieszczeń i była największa w całym klasztorze, pomijając pokoje przeoryszy. Dostała ją dzięki wniesionemu wianu. Jej ściany pobielono wapnem, na suficie widać było ciemne krokwie, ale poza tym w niczym nie przypominała zwykłej celi. Pod ścianą stały dwie malowane *cassoni*, w których trzymała ubrania, w rogu pokoju kredens skrywający zapas własnych naczyń, a także przekąski i wino. Jej wróbel spał w swojej klatce na oknie.

- Czy... tam było inaczej niż tutaj? - zapytała z wahaniem Eufemia.

Annetta zamyśliła się na chwilę. Od powrotu do Wenecji udawało jej się w ogóle nie mówić na ten temat. Na początku nie robiła tego specjalnie. Doznała szoku po powrocie do klasztoru, dokąd przecież sama chciała wrócić, i potrzebowała czasu oraz skupienia, by oswoić się ze swoim nowym-starym życiem. Później jednak zaczęła zdawać sobie sprawę z tego, że może z powodzeniem wykorzystywać atmosferę tajemniczości, która otaczała harem. Jednak właśnie w takich chwilach, gdy była wyczerpana z powodu złego snu i miała przy sobie bratnią duszę, pragnęła zwierzyć się z tego, co ją gnębiło.

- Wiesz, tam w haremie - odezwała się w końcu, co zdziwiło ją samą - miałam kogoś, kto bardzo cię przypominał.

- Kto to był?

- Och! - westchnęła głęboko. - Pewna Angielka. Nazywali ją Kaja, ale tak naprawdę miała inne imię.

Nagle od strony klatek, gdzie niektóre z sióstr trzymały swoje kury, dobiegł do nich jakiś hałas.

- Wiesz, to dziwne, kiedy byłam taką jak ty nowicjuską i mieszkałam obok kuchni, wydawało mi się, że siostry z chóru są takie wspaniałe... A teraz! - Annetta uśmiechnęła się w mroku. - Teraz przez te kury mam wrażenie, że mieszkam w stodole.

- Cii! - Eufemia położyła palec na jej ustach. - Bo cię usłyszy stara *suora* Virginia.

- Virginia? Coś ty! Czasami mam wrażenie, że w ogóle nas tutaj nie pilnują.

- Mówiłaś kiedyś, że... tam było mniej swobody.

- O tak, i zdecydowanie więcej różnego rodzaju nakazów. Przy sułtanie nie można się było nawet bez pozwolenia odezwać. Tak samo przy jego matce. A w dodatku wszędzie roiło się od strażników.

- Rzezańców?

- Tak, eunuchów. Zarówno czarnych, jak i białych. - Annetta doskonale wiedziała, jak bardzo Eufemia chciałaby się czegoś o nich dowiedzieć.

- Czarni rzezańcy! - rzuciła podekscytowana nowicjuszka. - Jacy oni są?

- Mężczyźni bez *coglioni*? - Annetta skrzywiła się niechętnie. - Grubi i z wielkimi brzuchami. Fe! Poza tym tak dziwnie mówili - dodała falsetem. - Ale podobali się niektórym dziewczynom. Zdarzało się, że nawet się w nich zakochiwały, a jedna wyszła za mąż za eunucha po tym, jak opuściła harem.

- Opuściła? Ale przecież wszystkie byłyście niewolnicami.

- To prawda, ale wciąż zdarzało się, że jakieś dziewczyny wychodziły z haremu. Wypuszczano je, jeśli nie wywiązywały się zbyt sumiennie z pracy i było jasne, że nie zainteresują sułtana. A ja to co? Przecież stamtąd nie uciekłam. - Annetta ponownie się uśmiechnęła. - To prawda, że byłyśmy niewolnicami, w dodatku chrześcijankami, które z różnych powodów trafiły do haremu. Mnie i Kaję sprzedali tam korsarze, którzy zaatakowali nasz statek na Adriatyku. Płynęłyśmy wraz z zakonnice do siostrzanego klasztoru w Raguzie. Ale pewnie już o tym słyszałaś? - Eufemia skinęła głową i objęła ją mocniej. - Wiózł nas angielski statek handlowy, którego kapitan zgodził się nas tam zawieźć po drodze do Konstantynopola. Tureccy korsarze wrzucili inne siostry do morza. Statek uderzył w skały i zaczął tonać, więc nawet gdyby chcieli, nie mogli zabrać nas wszystkich. Załoga i kapitan już nie żyli - ciągnęła beznamiętnie. - Wzięli jednak mnie i Kaję i w końcu sprzedano nas do Domu Szczęśliwości.

- Być niewolnicą wśród barbarzyńców! O Boże, jaki to straszny los! Już chyba lepiej utonąć?! - dodała niepewnie Eufemia, a przez jej pobożne słowa w dalszym ciągu przebijało podniecenie.

- Lepiej utonąć? Co za bzdury! Było mi tam lepiej niż tutaj, gdy byłam nowicjuską.

- *Suora!*

- To prawda. Nawet chórzystki, mimo przywilejów, nie mają tu tego, co kobiety w haremie! Niektóre z niewolnic same chciały tam trafić. To było lepsze niż praca w polu.

- Więc jak stamtąd uciekłaś?

- Nie musiałam, głupia. Kiedy Sahfije umarła, uwolniono wszystkie jej służące.

- Sahfije?

- Matka sułtana.

- Rozumiem. I co potem?

- Niektóre kobiety zdecydowały, że zostaną w haremie, inne dostały posag i wydano je za mąż. Niewolnice z Domu Szczęśliwości cieszą się dużym powodzeniem, bo mają kontakty z dworem i potrafią zadbać o mężczyzn...

- Ależ *suora!* - Eufemia zachichotała, a mrok ukrył jej rumieniec. - A ty nie chciałaś męża?

- Oszalałaś! - mruknęła niechętnie Annetta. - Miałam obsługiwać jakiegoś grubego paszę? Kiedy byłam młoda, moja matka chciała mnie sprzedać takiemu grubemu staruchowi. Ten lubieżnik szczególnie upodobał sobie młode dziewice... - Poczula, jak Eufemia zadrzała z przerażenia, więc dodała z satysfakcją: - Miałam wtedy zaledwie dziesięć lat, mniej nawet niż ty teraz. Wstrętny stary cap! Przysięgłam sobie wówczas, że nie chcę mieć do czynienia z mężczyznami.

- I co zrobiłaś?

- Co zrobiłam? Ha! Ugryzłam go tak mocno, że bez wątpienia od tamtego czasu nie tknął już żadnej młodej *culo*. - Poczula, jak Eufemia drży od tłumionego śmiechu. - Powiedziałam kiedyś Kai, że zrobiłabym to samo z sułtanem. *Madonna!* Pamiętam, jak się na mnie złościła, kiedy to powiedziałam. Twierdziła, że zginiemy kiedyś z powodu mojego niewyparzonego języka... - Annetta nagle urwała.

Eufemia czekała, aż podejmie opowieść, a kiedy to nie nastąpiło, trąciła ją lekko.

- I co się z nią stało? Z tą Kają?

Annetta jeszcze przez jakiś czas leżała w milczeniu, a potem rzekła niechętnie:

- Nie chcę o niej mówić, rozumiesz?

Eufemia nie miała pojęcia, co takiego powiedziała, że Annetta poczuła się urażona. Przyjaciółka leżała bez ruchu, więc wydawało jej się, że znowu zasnęła, ale Annetta nie spała. Leżała tylko i patrzyła w ciemność.

Co stało się z Kają? Nie było dnia ani godziny, by się nad tym nie zastanawiała. W końcu oddała wszystko, nawet najcenniejszą rzecz, jaką miała, by ocalić przyjaciółkę.

Pojedyncza łza spłynęła jej po policzku. Pozostało tylko jedno pytanie, obawiała się jednak, że nigdy nie pozna na nie odpowiedzi: czy brylant matki sułtana wystarczył, żeby ocalić Celię Lamprey?

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Annetta i Eufemia wciąż leżały w jednym łóżku, kiedy usłyszały hałas.

Nasłuchiwały przez chwilę.

- Co to takiego? - szepnęła w końcu Eufemia.

- Cii! Nie wiem.

- Posłuchaj, znowu to samo.

Z końca korytarza dormitorium dobiegło do nich coś jakby westchnienie.

- *Madonna!* To *suora* Virginia albo nawet Purificación! Nie mogą mnie tutaj znaleźć... szybko, pomóż mi wejść do skrzyni! - Eufemia wyskoczyła z łóżka, ale Annetta położyła palec na ustach i pokręciła głową.

Podniosła kódrę i nakazała Eufemii gestem, by się pod nią schowała, sama zaś wyszła na ciemny korytarz. Świece wypaliły się już niemal całkowicie. Pozostały tylko ogarki, które co jakiś czas skwierczały, jakby miały wydać za moment ostatnie tchnienie. Na końcu korytarza dostrzegła klatki z kurami i poczuła znajomy kwaśny zapach. Pomyślała, że to może któraś z kur wydawała te dziwne dźwięki, i już chciała wrócić do swego pokoju, kiedy znowu coś usłyszała. Tym razem nie było to westchnienie, ale raczej chrząknięcie.

Przeszła bosą bez najmniejszego hałasu do końca korytarza, zaglądając po drodze do cel kolejnych sióstr. Widziała ostrzyżone głowy, które leżały na wypełnionych sianem poduszkach. Z pokoju *suory* Virginii dochodził niezbyt mocny zapach kwaśnego wina. Nic tu nie wzbudzało podejrzeń.

Annetta nie miała pojęcia, skąd więc brał się jej niepokój. Być może sprawił to jej sen, ale odnosiła wrażenie, że cisza panująca w dormitorium jest jakaś nienaturalna. Było tu zbyt cicho i za spokojnie. Wszystkie zakonnice spały w tej samej pozycji - prawidłowej pozycji, narzuconej przez władze, ale przecież normalnie trudno to było osiągnąć. A dzisiaj wszystkie wyglądały jak marmurowe posągi z nagrobków, a nie żywe kobiety. Jakby w ogóle się nie poruszyły od wczorajszego wieczoru. Przecież *suora* Virginia zawsze chrapała, młodsze zakonnice żartowały sobie, naśladując ją między sobą, a teraz w jej celi panował spokój. Annetta wróciła cichutko do swoich drzwi i znowu zaczęła nasłuchiwać, ale tym razem bez rezultatu.

Już chciała wrócić do łóżka, kiedy usłyszała ten dźwięk po raz trzeci. Nie, nie myliła się - to było westchnienie, potem chrząknięcie i znowu westchnienie. I teraz dopiero zrozumiała, że dźwięk nie dobiega z dormitorium, ale małej, nieco oddalonej od pozostałych celi. To

pomieszczenie przeznaczone dla rzadkich w zakonie gości znajdowało się na półpiętrze, przy podęście schodów. Annetta zeszła na paluszkach i ostrożnie zajrzała do wnętrza.

Niewielką celę pobielono wapnem. Nie było w niej żadnych ozdób, a na ścianie wisiał jedynie prosty drewniany krzyż. Jej większą część zajmowało wąskie łóżko. To na nim leżała z twarzą ukrytą w poduszce jakaś kobieta, a z jej ust co jakiś czas wyrzywały się westchnienia.

Nagie, blade pośladki trzymała uniesione w powietrzu, a za nią stał nagi od pasa w dół mężczyzna z twarzą ukrytą w cieniu. Miał wysunięte do przodu biodra i trzymał kobietę za uda tak, że ciało wydawało się przechodzić mu przez palce niczym masło. Nie widziała jego twarzy, ale domyślała się, że nic nie zdołaloby go w tej chwili oderwać od kobiety. Kiedy zwiększył tempo, kobiece westchnienia też się nasiliły. Nie były to jednak odgłosy bólu, ale nieklamanej rozkoszy. Mężczyzna przez jakiś czas patrzył w dół, jakby na siebie, ale potem odrzucił głowę, a z ust wyrwał mu się krótki, głuchy okrzyk.

Annetta cofnęła się i oparła plecami o ścianę. Czy to możliwe, że kobieta, która parzyła się w tej celi niczym zwierzę, była jedną z zakonnice? *Santissima Madonna!* Zakryła twarz dłonią, czując, że za chwilę wybuchnie śmiechem. A kimże innym? Sama nie wiedziała, co myśleć. Scena, którą widziała, była oczywiście... skandaliczna. Czekala, aż ogarnie ją nabożny gniew, ale ten, o dziwo, nie chciał się pojawić. W dodatku była raczej zaintrygowana niż zszokowana. Annetta rzadko sama podporządkowywała się różnego rodzaju nakazom i nie lubiła pouczenia. Poza tym nurtowało ją to, która z zakonnice była tak nieostrożna, a jednocześnie tak zdesperowana, by wpuścić mężczyznę w mury klasztoru. Annetta nie na darmo spędziła cztery lata na służbie u matki sultana, by wątpić w to, że informacja o tym może okazać się użyteczna.

Stała ukryta za drzwiami, wsłuchując się w szepty, które dobiegały z wnętrza celi. Kobieta szeptała, ale mężczyzna mówił nieco głośniejszym głosem. Annetta starała się rozróżnić słowa, lecz nie zdołała. Ze zdziwieniem stwierdziła jednak, że mężczyzna przemawia czule do kochanki i że ją pociesza. A potem drzwi otworzyły się bez ostrzeżenia i mężczyzna zbiegł cicho po schodach.

Zauważył ją? Nie, niemożliwe. Było jeszcze dość ciemno, a nie mógł przecież przypuszczać, że ktoś kryje się za drzwiami. Annetta się zawahała. Serce biło jej tak głośno, że niemal słyszała je w panującej w klasztorze ciszy. W dormitorium wciąż nikt się nie poruszył, nikt nie wstał z łóżka. Annetta wiedziała, że może bez trudu ustalić tożsamość wszetecznej zakonnicy. Ale co z jej kochankiem? Musiała działać szybko, jeśli chciała poznać jego tożsamość. Zbiegła więc pośpiesznie za nim po schodach.

Na dole korytarz rozwidlał się i musiała zdecydować, dokąd iść dalej - do kuchni i refektarza czy też dwóch większych pomieszczeń i bramy głównej. Po chwili ruszyła w stronę bramy, gdyż była to najprostsza i najłatwiejsza droga ucieczki. Tym łatwiejsza, jeśli udało mu się

przekupić furtiankę, by nie zamykała furty na klucz. Annetta dotarła tam, czując, że złapała ją kółka. Zauważyła też od razu, że nikt nie otwierał znajdującej się w bramie metalowej furty. Sprawdziła jeszcze i okazało się, że jest mocno zamknięta.

Nie zostało jej już wiele czasu. Pobiegła w drugą stronę, domyślając się, jak udało mu się dostać na teren klasztoru. Oczywiście przez ogród, jak temu poprzedniemu. Dlaczego wcześniej o tym nie pomyślała? Zatrzymała się dopiero w kuchni i zauważyła, że drzwi do tego pomieszczenia są oczywiście otwarte.

Wybiegła w mrok.

Tyle że już zaczynało świtać. Niebo zrobiło się jaśniejsze i widziała wyraźnie szereg czarnych sylwetek topoli, które okalały klasztor. Zadrżała, czując na skórze powiew chłodnego powietrza.

Pachniało wilgotną ziemią i gorzkimi ziołami. Gdzieś na drzewie słowik zaczął poranną serenadę.

Annetta nigdy dotąd nie była o świcie w ogrodzie. Dzwon na primę dzwonił zwykle bardzo wcześnie, ale po modłach wiele sióstr wracało z powrotem do łóżka (wystarczył byle pretekst, a siostra Virginia pozwalała na to bez najmniejszych oporów: „*Suora*, boli mnie głowa” albo „*Suora*, jestem niedysponowana”). W nocy było chłodniej i krople rosy pojawiły się na liściach i kwiatach, zamieniając klasztorny ogród w prawdziwie czarodziejskie miejsce.

Zaczęła iść, rozglądając się dookoła, jakby widziała to wszystko po raz pierwszy. Nie zwracała uwagi na to, że jest boso, od ziemi wieje chłodem, a rąbek jej koszuli nocnej już zdążył się zamoczyć. Sunęła niczym duch. Minęła alejkę połączonych konarami lip, przycięte żywopłoty, grządki z ziołami i znalazła się nad stawem, gdzie siostry hodowały karpie.

Niewielkie kłaczkę mgły unosiły się nad ciemnozieloną wodą. Na środku stawu znajdowała się fontanna w kształcie chłopca trzymającego odwróconą amforę. Figurkę pokrywał mech. Wypływająca z amfory woda wpadała z bulgotem do stawu.

Było już niemal widno. Niebo, które przeglądało się w wodach odległej zatoki, wydawało się pozbawione wszelkich kolorów. W ogrodzie zaczynał się ruch, zaczęły śpiewać ptaki, pojawiły się pierwsze owady. Annetta usiadła na ławeczce. Co ona wyczynia? Dlaczego znów biega po ogrodzie? Wyglądało to tak, jakby coś ją opętało. Pochyliła się, by zobaczyć karpie, które trwały w bezruchu między wodorostami. Jednak w tafli wody dostrzegła coś innego - twarz mężczyzny stojącego tuż za nią.

Zerwała się tak gwałtownie, że niemal wpadła do wody.

- Znowu ty?!

Wyciągnęła dłoń, żeby się od niego odgradzić, on jednak złapał ją za nadgarstek i przyciągnął do siebie. Drugą dłonią zakrył jej usta.

- Znowu? - powtórzył wprost do jej ucha. - Czyżbyśmy się już wcześniej spotkali, suora?

Chciała odpowiedzieć: Nie, oczywiście, że nie, ale i tak cię znam. To ty jesteś *monarchino*, mężczyzna z lunetą, ten sam, który zakradł się wcześniej do ogrodu. Annetta próbowała się wyswobodzić, ale mężczyzna trzymał ją mocno. Chciała go ugryźć, lecz nie pozwolił jej otworzyć ust. Siłowali się przez chwilę w milczeniu, a potem rzucił ją na kępę miękkich traw. Annetta poczuła w ustach metaliczny smak krwi.

- Dlaczego to zrobiłeś?! Przez ciebie ugryzłam się w język! - Popatrzyła na niego, a potem w bok. Nie, nie miała najmniejszych wątpliwości. To był ten sam mężczyzna. Ta sama bezczelna mina, te same rozczochrane kędziory... Jego porządny, choć nie najbogatszy strój, a także zatknięte za pas noże wskazywały, że pracuje dla jakiegoś arystokraty albo bogatego kupca z Wenecji.

- Pomóż mi przynajmniej wstać - burknęła.

Jednak Carew wcale nie miał zamiaru tego zrobić. Stał, patrząc na ciemnowłosą kobietę w mokrej i pobrudzonej koszuli nocnej, najwyraźniej nie przejmując się tym, że powinien jak najszybciej stąd uciec.

- Nie mam zamiaru - rzucił, patrząc na nią twardo. - Dlaczego miałbym pomagać komuś, kto mnie śledzi?

Annetta splunęła w jego stronę i z satysfakcją zauważyła, że różowawa plwocina wylądowała na jego bucie.

Carew popatrzył na nią spokojnie - nie wyglądał na zagniewanego czy rozbawionego tym, co się stało. Pokręcił tylko głową, jakby chciał upomnieć niegrzeczne dziecko, i cmoknął z wyraźną dezaprobatą.

- Ale zaraz, przecież jednak się znamy. To ty szukałaś mnie poprzednio w ogrodzie! Strasznie lubisz wtrącać się w sprawy innych, *suora*, zamiast zająć się modlitwą. Cóóó... zdaje się, że masz na mnie ochotę, tak jak tamta... - Rozejrzał się uważnie po ogrodzie. - Tak jak sądziłem, nikogo. Możesz wstać, jeśli chcesz.

Wyciągnął dłoń w jej stronę, ale Annetta cofnęła się przestraszona.

- Zostaw mnie, *stronzo*. Nie waż się mnie tknąć!

- Chodź. - Ponownie złapał ją za nadgarstek i uniósł z ziemi niczym piórko. Annetta poczuła, że nagle znalazła się w jego ramionach. Przez mokrą koszulę nocną poczuła jego mocne ciało.

- Jeśli chcesz, spełnię teraz twe najskrytsze pragnienia.

- Nie! - W oczach Annetty zapłonął gniew.

- Czyż nie o to ci chodzi? - Zaczął się kołysać, tak by poczuła ruch jego bioder. - Wiem, że właśnie dlatego mnie śledziłaś. - Był tak blisko, że czuła na szyi jego oddech, jego usta otarły się o delikatną skórę tuż pod jej uchem.

- Nie!

Znieruchomiał na chwilę, jakby się nad czymś zastanawiał.

- Dobrze, tym razem ci daruję - powiedział, ale jej jeszcze nie puścił. - Chcę jednak, żebyś mi coś obiecała.

- Co takiego?

- Masz milczeć na temat tego, co widziałaś.

Annetta szybko zastanowiła się nad tym, jakie ma wyjście. Wolałaby łamanie kołem niż obiecywanie mu czegokolwiek. Wkrótce jednak odezwała się jej praktyczna natura i skinęła głową. Mogła mu obiecać, co tylko chciał, a jak tylko stąd odejdzie, opowie wszystkim, dosłownie wszystkim, co działo się w malutkiej celi.

- Dobrze, obiecuję, że nic o tym nie powiem. - Gdy tylko te słowa wydostały się z jej ust, zrozumiała, że wpadła w pułapkę.

- Aa! Więc jednak coś widziałaś!

Stronzo! Wyczuła nagłą zmianę w jego tonie. Czy możliwe, że się uśmiechał, nie... śmiał się z niej w najlepsze?!

- Mylisz się, nic nie widziałam. Nic godnego uwagi...

- Ależ widziałaś. Opowiedz teraz o tym.

- Co takiego?! - oburzyła się.

- Chyba powiedziałem jasno. Opisz to, co widziałaś.

- Nie mam zamiaru.

- Co ci się najbardziej podobało? Czy całowanie... czy może coś innego? Ta mała była bardzo chętna, ale tak to już zwykle jest z zakonnkami.

- *Stronzo, stronzo, stronzo!*

- A cóż to za język? - Carew aż zanosił się od śmiechu. - Cóż, założę się, że nie byłaś całe życie zakonnką. W jakim rynsztoku cię znalazły, co? - Odsunął od siebie Annetę i spojrzał na nią z obrzydzeniem.

W tej chwili ktoś zaczął pociągać niezbyt wprawnie za sznur klasztornej dzwony. Dźwięk rozchodził się kręgami dookoła.

- Cóż, chyba nigdy nie poznam odpowiedzi na to pytanie - rzucił wesoło.

I zniknął tak nagle, jak się pojawił. Skrył się za żywopłotem i pobiegł w stronę odległego zakątka ogrodu.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Annetta miała przemarznięte stopy, mokrą i pokrytą ziemią oraz liśćmi koszulę nocną i potargane włosy. Wróciła więc do siebie jak najszybciej.

Dźwięk dzwonu przyprawił ją o dreszcze - nie było to zwykle wezwanie na modlitwę. Ktoś musiał zauważyć jej nieobecność. Annetta poczuła ucisk w żołądku. Spojrzała na wiszące nad klasztornym murem słońce i doszła do wniosku, że nie tylko nie była na prymie, ale zapewne również na tercji. W przeszłości zawsze udawało jej się wymigać od udziału w tych lub tamtych modlitwach porannych, ale teraz uznała, że może mieć kłopoty. Ciekawe, jak wytłumaczy innym siostronom swoją obecność w ogrodzie i to w dodatku w takim stroju?!

Kiedy jednak w końcu zakradła się przez kuchnię do budynku, stwierdziła, że w klasztorze panuje totalny chaos. Zakonnice w przekrzywionych welonach biegały tam i z powrotem, jak gdyby goniło je stado szerszeni. Kiedy dotarła do schodów, prowadzących do dormitorium młodszych sióstr, zobaczyła *suorę* Purificación, zmierzającą w jej stronę. Annetta zauważyła, że przynajmniej ona była kompletnie odziana. Instynkt podpowiadał jej, że powinna uciekać, ale było za późno. Za nią szły już inne, nie do końca ubrane siostry. Znalazła się w pułapce.

Ku jej bezbrzeżnemu zdumieniu zastępczyni przeoryszy minęła ją bez słowa. Popatrzyła na nią, ale sprawiała takie wrażenie, jakby jej nie widziała. Nic też nie powiedziała i przeszła dalej, postukując srebrną laską.

W dormitorium zastała Ursię, która starała się upiąć porządnie swój welon.

- Co się dzieje?

- Jak to, nie wiesz? Zaspałyśmy. - Ursia ziewnęła potężnie. - Nie widzisz, jak jest późno? Możesz mi pomóc? W dodatku zrobiłam się jakaś niezręczna, jakbym miała zdrętwiałe ręce.

- Zaspałyście? Wszystkie?

- Na to wygląda. Zresztą kto to mówi, przecież wciąż jesteś w koszuli nocnej. Nie słyszysz dzwonu? - Ursia usiadła ciężko na łóżku. - Och, tak bardzo chce mi się spać. Nie wiem, co się ze mną dzieje.

Annetta pomogła jej, a następnie pobiegła szybko do własnego pokoju. Cała drżąca ściągnęła koszulę nocną i włożyła suchą. Z jednej ze skrzyń wyjęła szal, a na koniec sobolowe futro, jedną z najcenniejszych rzeczy, jaką wniosła w wianie do zakonu. Wskoczyła do łóżka i przykryła się nim szczelnie. Leżała zaledwie parę minut, kiedy coś przyszło jej do głowy. Znowu wstała i opierając się plecami o ścianę, przesunęła jedną z ciężkich *cassoni* pod drzwi. Wróciła drżąca do łóżka, chciała w końcu pomyśleć.

Mimo futra wciąż było jej zimno.

Kim jest mężczyzna, którego spotkała w ogrodzie? Nie miała wątpliwości, że to ten sam, którego widziała przez lunetę. On też zostawił swój sandał w ogrodzie.

Monarchino, jak powiedziała *suora Purificaci6n*. Anetta udawała przed nią, że nie zna tego słowa, ale nie była to do końca prawda. Oczywiście zdarzało jej się słyszeć, jak inne zakonnice rozmawiały o takich mężczyznach. Opowiadano o nich najróżniejsze historie. Zapewne takie, jak to określiła *suora Purificaci6n*, obcowanie cielesne z zakonnicami wydawało im się bardziej podniecające. A było oczywiste, że w tym mieście zakonnice - powiadano, że niemal połowa Wenecjanek znajduje się za klasztornymi murami - zawsze znajdują się jakieś gotowe podjąć ryzyko.

Cielesne obcowanie! C6ż, kimkolwiek jest ten nieznajomy, z pewnością osiągnął to, o co mu chodziło. Miała jeszcze przed oczami obie te postaci jakby w ruchomym obrazie. Ten dziwny układ - wypięte niczym dwa półksiężyce pośladki kobiety zwrócone w stronę kochanka. Niezwykle natężenie emocji i głowę mężczyzny uniesioną w ekstazie. Wciąż słyszała okrzyk, który wyrwał mu się z ust.

Musiała przyznać, choć z niechęcią, że było w tym coś pięknego.

Jednak nie to najbardziej ją niepokoiło. Chciała go śledzić, ale tak naprawdę to on odnalazł ją i mógł z nią zrobić, co chciał. Pamiętała jeszcze wyraz jego twarzy, którą ujrzała w stawie. A także to, jak mocno trzymał ją za nadgarstki. Uczucia związane z tym wspomnieniem były tak silne, że aż łzy pojawiły się w jej oczach.

Dlaczego nie walczyła bardziej zaciekle?

Czy to by coś dało?

W którymś momencie musiała zasnąć, bo kiedy ponownie otworzyła oczy, s6ł6nce stało juź wysoko na niebie. Chyba juź dochodziło południe.

- *Suora! Suora...* - usłyszała nieco kł6tliwy, starczy g6s siostry Virginii, a potem uderzenie drzwi w skrzynię. - Co się dzieje? Czy jesteś niedysponowana? Masz natychmiast otworzyć! Natychmiast!

Jednak Anetta nie chciała tego jeszcze zrobić i kiedy przez jakiś czas się nie odzywała, stara zakonnica w końcu poddała się i pokuśtykała gdzie indziej. Leżała na ł6żku i patrzyła w sufit. Nie mogłaby wstać, nawet gdyby chciała. Potrzebowała wi6cej czasu do namysłu, by m6c ogarnąć to wszystko, czego była świadkiem. Zastanawiała się, czy to, że poszła za intruzem, a nawet z nim rozmawiała - chociaż nie z własnej woli - i nie wszczeła alarmu, nie świadczyło przeciwko niej?

To prawdziwy cud, że wszystko tutaj było rano w takim nieładzie i nikt nie zwr6cił na nią uwagi. A może jednak nie... *Suora Purificaci6n* popatrzyła na nią, ale wyglądała tak, jakby wciąż

spała, podobnie Ursia, ale być może inne siostry zauważyły jej mokrą i brudną koszulę nocną. Co najmniej jedna z nich musiała domyślić się tego, co się z nią działo - kochanka *monarchino*.

Ktoś jeszcze mocniej zaczął dobijać się do jej drzwi.

- *Suora Annetta?* - Rozpoznała hiszpański akcent i głos *suory Purificación*. - *Suora Virginia* mówiła, że się źle czujesz.

Annetta leżała w łóżku, zastanawiając się, co teraz zrobić.

- Martwimy się o ciebie, *suora* - dołączyła do niej przymilnie siostra Virginia.

Martwicie się? O, nie! Jesteście starymi plotkarkami, które lubią wtrącać się w cudze sprawy. Nie mam zamiaru was słuchać. Annetta obróciła się na bok i przykryła głowę sobolowym futrem. Nie miała zamiaru w ogóle się odzywać.

Nagle otoczyła ją ciemność, a futro zaczęło łaskotać w nos, ale przynajmniej było jej teraz ciepło. Ponownie usłyszała uderzenia drzwi o skrzynię, lecz było jej wszystko jedno. Zupełnie się tym nie przejmowała.

Przestała zwracać uwagę na hałasy i znowu zaczęła myśleć o intruzie. Dlaczego nie mogła po prostu o nim zapomnieć? Jego dotyk powodował, że cierpła jej skóra. Zauważyła, że jest bardzo szczupły, na jego ciele nie było nawet drobiny tłuszczu. Nagle przyszło jej do głowy, że spędziła całe życie wśród kobiet. Nie była przyzwyczajona do mężczyzn. Ich widok i dotyk, zwłaszcza dotyk, działał na nią odurzająco...

Tak jak wyznała Eufemii, nie miała zamiaru wiązać się z żadnym mężczyzną. Pamiętała jeszcze klienta matki, tego starca z potężnym brzuchem. Pamiętała odór jego ciała... A fe! Żadna pomada nie mogła ukryć tego, że śmierdzi jak cap i psują mu się zęby. Pamiętała jego drżące ręce i krótki oddech oraz to, jak szczypał jej piersi, próbując zmusić do uległości. Nawet teraz myśl o nim przyprawiała ją o mdłości.

Jednak dzisiejsze doświadczenie było inne. Najbardziej zaś dziwiło ją to, że wcale nie bała się nieznajomego. Nawet kiedy trzymał ją wbrew jej woli, była na niego zła, ale nie żywiła żadnych obaw. Jego oddech był przyjemny, a ciało wydawało się jakby stworzone do tego, by je tulić.

A jednak, jednak... było w tym coś niepokojącego. Przecież śmiał się z niej tak, jakby była kimś naprawdę mało znaczącym. I czy rzeczywiście popatrzył na nią z obrzydzeniem? Annetta poczuła, jak podkurcza palce u nóg ze zdenerwowania. Po prostu nią gardził. Poczuła narastającą wściekłość. To ona powinna nim gardzić! Przecież jest zwykłym *monarchino*, w dodatku, sądząc po stroju, czyimś służącym i - biorąc pod uwagę akcent - cudzoziemcem.

Jej umysł, który otworzył się odrobinę, znowu zamknął się niczym pułapka.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Pracownia Prospera Mendozy znajdowała się na ostatnim piętrze siedmiopiętrowego budynku w getcie żydowskim. Był to mały pokój, niewiele większy od kabiny na statku. Paul zwykle chodził do Mendozy w towarzystwie Carew, ale ten gdzieś zniknął po pamiętnej nocy w *palazzo* Constanzy. Dlatego teraz szedł do niego, ukrywając w kieszeni rubin, który wygrał w karty.

Chociaż od zachodu słońca minęły już dwie godziny i getto zamknięto na noc, strażnicy dobrze go znali, a kilka monet zapewniło mu swobodę ruchów. W końcu wspiał się po schodach i zapukał w umówiony sposób - cztery szybkie uderzenia i dwa wolniejsze - a potem pchnął drzwi.

Mimo późnej pory Prospero wciąż pracował. Siedział przy stole z długą, sięgającą niemal do kolan brodą przerzuconą przez ramię i jubilerską lupą przy oku, przez którą wpatrywał się w trzymany w dłoni klejnot.

- Czym mogę ci służyć, Angliku?

- Witaj, przyjacielu...

- Przyjacielu? Od kiedy to jestem twoim przyjacielem? - Prospero odmierzył złoty drut ze szpuli i przeciął go nożycami. - Przychodzisz tu tak jak inni, by kupić lub sprzedać klejnoty. Czyż nie tak? Nie jesteś moim przyjacielem. - Spojrzał na Paula, a w jego oczach pojawiły się isierki. - I nikt nie powinien myśleć inaczej.

- Jeśli tak uważasz. - Paul popatrzył na malutkiego staruszka, który ze swoją długą brodą i paciorkowatymi oczami wyglądał jak jakieś nieziemskie stworzenie.

- Cóż zatem mi przyniosłeś? - zapytał już łaskawszym tonem Prospero.

Pindar wyjął z kieszeni rubin i położył go przed jubilerem.

- Dobrze, przyjrzę mu się później, jeśli chcesz. - Wskazał brodą zasłonę, która wisiała w przejściu do drugiego pomieszczenia. - Jest już późno, a on tam na ciebie czeka.

Paul przeszedł do drugiego pokoju. Znajdował się w nim mężczyzna, który stał przy oknie, odwrócony do niego plecami. Był niski, okrągły i miał na głowie żółty turban. Paul przyjrzał się jego wschodniemu strojowi, a potem niezwykłemu nosowi, który przypominał dwa połączone tulipany.

- Cóż, Ambrose?

- No, jesteś już Pindar. Zwykle nie każesz mi czekać. Mężczyźni spojrzeli na siebie z przeciwległych końców pokoju.

- Ale masz opuchliznę - odezwał się w końcu tamten. - Złamałeś nos?

- Nie, jest tylko spuchnięty. - Paul dotknął wciąż bolącej części twarzy.

- Świetnie odegrałeś swoją rolę. - Ambrose przyjrzał się uważnie jego ziemistej cerze i podkrążonym oczom. - Może nawet trochę za dobrze, jak na mój gust.

- Mógłbym powiedzieć to samo o tobie.

- Jesteś dla mnie zbyt uprzejmy.

W pokoju zapanowała niezręczna cisza.

- Zakładam więc, że przynoszę wstyd szacownej kompanii?

- Tyle mogłem wymyślić w tej sytuacji - rzekł sucho Ambrose. - Muszę jednak wyznać, że jestem pełen podziwu dla twojego służącego. Ta scena wymagała sporo inwencji...

- Aż za dużo - mruknął z goryczą Paul. - Jak zwykle posuwa się za daleko. Mam go już dosyć.

- Ach, więc jednak nie wie, jak się naprawdę sprawy mają. - Ambrose spojrzał na niego ponuro.

- Nie ma pojęcia, że zbierasz informacje dla Kompanii Lewantu. I że znam cię tak długo jak Parvisha.

- A o innych sprawach...?

- Też nic nie wie.

- Jesteś tego pewny?

- To prawda, że dotarły do niego wiadomości o najnowszych kłopotach Kompanii Lewantu. Ale o tobie nic nie wie. Uważa, że jesteś jednym z kupców Parvisha oraz kimś, kto dostarcza mu eksponaty do gabinetu osobliwości. Nie domyśla się także, że miałem się tu z tobą spotkać w tajnych sprawach kompanii. Inaczej przecież nie udałoby mu się ta jego głupia sztuczka.

- Czy ja wiem? A może udałoby się aż za dobrze...

- Nie, nie, na pewno uważał, że mnie zaskoczy. Znam jego gierki.

- Ale jesteś na niego zły, bardzo zły... - Czuł na sobie uważny wzrok Jonesa. - Dlaczego?

- Jeszcze pytasz? Wysłał wiadomość, że będę u Constanzy, chociaż wiedział, że to może być...

- Tak? - zaniepokoił się Jones.

- ...bardzo długa noc.

- Tak się to teraz nazywa? Długie noce? Dawniej mówiło się o całonocnym pijaństwie.

- Przecież wiesz, że nie o to mi chodzi. Carew to podstępny gad!

- Ależ Paul, przecież on uważa, że jesteś na krawędzi bankructwa - zauważył Ambrose. - I to przez własną głupotę! Skąd ma wiedzieć, że... jak to ująć?

- Rozszerzam działalność.

- Więc tak to mamy nazywać! - Ambrose skierował na niego swój ponury wzrok.

Paul puścił to mimo uszu.

- Powiedzmy, że postanowiłem nieco mniej uwagi poświęcać udziałom w naszej kompanii - rzekł, dobierając starannie słowa - i znaleźć w obecnej sytuacji pewniejszą lokatę... A dokładnie, kamienie szlachetne.

- Rozumiem. W każdym razie tę część twego planu. - Ambrose wyjął dużą jedwabną chustkę i wytarł nią czoło. - Ale jeśli, jak na razie, żaden z kupców w Wenecji nie zorientował się, co robisz, jak możesz oczekiwać tego od Carew?

- Wcale tego od niego nie oczekuję. Chcę tylko, żeby nie wtykał nosa w nie swoje sprawy. - Paul zrobił taką minę, jakby chciał udusić służącego. - Wyślę go najbliższym statkiem do Londynu. Najlepiej na galerze, jeśli uda mi się jakąś znaleźć.

- Jesteś dlań zbyt surowy.

- Constanza też tak twierdzi. Ale oboje się mylicie. Jeśli miałem jakieś kłopoty, to właśnie przez niego. Wydaje mu się, że ma wyłączność na... - Paul nagle urwał. - Ale jest dla mnie niczym! Zwykłym służącym! I nie on jest tutaj od myślenia.

- Dobrze, dajmy sobie teraz z nim spokój. - Ambrose przesunął turban na tył głowy i ponownie wytarł czoło. Następnie skrzywił się znacząco. - Więc jestem tylko jednym z kupców Parvisha? Dobrze sobie! Muszę ci powiedzieć, że z powodu jego gabinetu przeżywałem trudniejsze chwile, niż kiedy zbierałem informacje dla szacownej kompanii, pomijając to zdarzenie, kiedy nasi przeciwnicy wycięli dziurę w komnacie pałacu doży, ale to inna historia... I obawiam się, że przy tym przedsięwzięciu może być jeszcze gorzej.

- Daj spokój, Ambrose. - Pindar zauważył, że jego towarzysz jest za bardzo podekscytowany. - Nie wydaje ci się, że zbyt wybiegamy w przyszłość? Usiądźmy i zapomnijmy na chwilę o tym, co nas różni. Jakie wieści przywiozłeś z Anglii?

- Obawiam się, że niezbyt pomyślne. Wiesz już, że holenderskie statki odnoszą coraz większe sukcesy na nowej trasie. - Ambrose wyjął ze swego bagażu zwój papieru, na którym wyrysowano mapę. - Tutaj kupują przyprawy - wskazał wyspy znajdujące się w prawym rogu mapy - i zamiast przetransportować je na kontynent, by przewieźć drogą lądową - zaznaczył drogę z Indii do portu w cieśninie Ormuz, w górę zatoki aż do Basry, a potem przez pustynie Persji - karawanami do Aleppo, Wenecji i Konstantynopola, gdzie my prowadzimy interesy, oni - jego palec zatoczył znacznie większy krąg wokół Afryki - opływają coś, co z przyjemnością nazywają Buena Esperanza - Przylądek Dobrej Nadziei. Chociaż niewiele w tym nadziei dla nas. Bo, co prawda, ta trasa jest dziesięć razy dłuższa, to okazała się też dziesięć razy bezpieczniejsza niż dawna droga do Lewantu. A wiemy przecież, jak to wpłynęło na nasze ceny.

- Czy Parvish przysłał mi dane?

- Tak. - Ambrose ponownie sięgnął do swego bagażu i podał mu kolejny zwój papieru. Włożył też barwione na zielono binokle, które same trzymały się na jego wielkim nosie, i przyjrzał się przez nie danym. - Zaraz, zaraz... o, już widzę. W Aleppo płacono ostatnio szylinga za funt pieprzu, na wschodzie tyle samo można kupić za dwa i pół pensa.

- Mogę spojrzeć? - Paul wziął dokument z jego ręki. - To samo dotyczy goździków. Ostatnio kupowaliśmy je po cztery szylingi za funt w Aleppo, ale na wschodzie kosztują tylko dziewięć pensów. - Przebiegł wzrokiem do końca listy. - Cynamon, gałka muszkatołowa... Wszędzie to samo.

- Po prostu nas rozgromili. - Ambrose zmarszczył czoło.

- Cóż, trudno zaprzeczyć. - Paul zwrócił mu pergamin. - Ceny są nawet niższe, niż przypuszczałem.

- A wkrótce inni też zaczną z nami rywalizować. Czytałeś list Parvisha na temat naszej Kompanii Wschodnioindyjskiej? Zostawiłem go wtedy w pokoju, hm... tej damy.

- Tak, czytałem. - Pindar skinął głową.

- Jeśli nasi kupcy zyskają choćby połowę tego, co Holendrzy... - Ambrose zawiesił głos.

- To jak wożenie sów do Aten - mruknął Paul i podszedł niespokojnie do okna. W domu naprzeciwko widać było migające światełka.

- Sów do Aten? - zdziwił się Ambrose.

- To greckie powiedzenie. W czasach starożytnych w Atenach było pełno sów. My mówimy o wożeniu drew do lasu.

- Właśnie jadę do Aten - rzucił ponuro Ambrose. - Dam ci znać, czy są tam teraz jakieś sowy.

- Do Aten? - zdziwił się Pindar.

- Chodzi o gabinet osobliwości Parvisha. Podobno na tamtejszym rynku pojawiła się jakaś syrena i mam ją dla niego kupić.

- Myślałem, że ma już syrenę.

- Nie, tylko jej woreczek - powiedział z przekąsem Ambrose. - Przecież wiesz, to tak jak parę wodorostów... Wszyscy mają coś w tym rodzaju. Moi szpiegowie mówią mi jednak, że ta syrena jest prawdziwa.

- No proszę! A ty im wierzysz? Nie wydaje ci się, że to będzie głowa małpy osadzona na rybim tułowi albo inne tego rodzaju monstrum? - Paul popatrzył na niego drwiąco. - Skąd się o tym dowiedziałeś?

- Doskonale wiesz, że nigdy nie ujawniam swoich źródeł. Mam całą siatkę informatorów i wystarczy, że wiesz, iż nasz przyjaciel Prospero jest jednym z nich... - Ambrose, który pakował

właśnie dokumenty, spojrział na niego surowo znad okularów. - I dlaczego właśnie ty to kwestionujesz? Może powiesz, kto przywiózł Parvishowi krokodyla z Egiptu, co? Albo całą kolekcję dziwnych ptasich dziobów ze Wschodu? Nie mówiąc już o prawdziwym rogu jednorożca. Podobno czymś takim mogą się pochwalić jedynie Medyceusze.

- Ależ Ambrose. - Paul doszedł do wniosku, że jego towarzysz znowu jest za bardzo podkorygowany. - Daj spokój, przecież wcale w ciebie nie wątpię. Obaj doskonale wiemy, że tylko ty możesz odnaleźć syrenę. Stworzyłeś dla Parvisha najwspanialszy *Wunderkammer* w całej Anglii. To oczywiste.

- W Anglii? Najlepszy w Europie!

- Tak, w Europie - przyznał pojednawczo Paul. - Ale powiedz, jak miewa się Parvish?

- A jak może się miewać? Jest już stary. - Jones poprawił turban.

- Niemożliwe! Ale jak się miewa? - powtórzył z naciskiem.

- Przecież mówię, że jest stary. Tak jak ja. A na tym świecie pojawia się za dużo nowości. Najpierw nowy król, teraz nowe szlaki handlowe. I co dalej? Wcale nam się to wszystko nie podoba. Wolimy stare życie i stare szlaki. W dodatku zaczynam mieć powoli dosyć ciągłych podróży...

- Słyszę to już od dwudziestu lat. - Paul się zaśmiał. - W każdym razie, od kiedy cię poznałem.

- Jednak teraz naprawdę mam tego dosyć. Za dużo żalonych statków, które ledwie unoszą się na wodzie. Za dużo żalonych kupców... - Położył dłoń na ramieniu Paula. - Parvish bardzo by się przejął, gdyby cię w tej chwili zobaczył. A jeśli chcesz wiedzieć, co myślę, choć zdaję sobie sprawę z tego, że wcale ci na tym nie zależy, to uważam, że właśnie dlatego jesteś zły na tego swojego Carew. Bo wiesz, że wcale nie udajesz, chociaż bardzo chciałbyś, żebym tak myślał. Carew pokazuje ci twoje odbicie w lustrze, a ono wcale ci się nie podoba...

- Wiem, co robię!

- Na pewno? - Ambrose wskazał niewielkie okno tuż obok. Paul spojrział w nie i zobaczył własne oblicze: tuż nad nosem powstał wielki siniak, a oczy miał czerwone i podkrążone. Mimo nocy spędzonej u Constanzy wyglądał na wyczerpanego, jego i tak jasna karnacja była tak blada, jakby w ogóle nie spał.

- Sprytny, taktowny, zawsze służy radą - rzekł surowo Ambrose. - Tak właśnie opisywali cię nasi ludzie. I dlatego wysłano cię do Konstantynopola. - Chwycił go zadziwiająco mocno za ramię. - Widzę jednak, że coś się z tobą dzieje. Co takiego, Paul? Czy przyjrzałeś się temu, co ostatnio robisz? Tylko mi nie mów, że to specjalnie...

- Wiem, co robię. - Paul próbował uwolnić ramię, ale nie było to łatwe. - Zresztą podobnie jak Parvish. Jeśli Kompania Wschodnioindyjska odniesie sukces, zacznie kupować te same przyprawy co my. A jeśli skorzysta z trasy Holendrów, nasze zyski polecą na łeb, na szyję. Ustaliliśmy więc, że sprzedamy wszystkie akcje kompanii... i zainwestujemy pieniądze, tak by móc się zorientować w ogólnej sytuacji.

- Tak, wspominałeś już o klejnotach. Bardzo to sprytne. Małe, łatwo je przewieźć i na pewno nie tracą na wartości, tak jak pieprz czy goździki. Zawsze miałeś dobre pomysły. Ale ten hazard...

- Nie rozumiem, o co ci chodzi.

Paul wyjął z kieszeni lśniący przedmiot wielkości zegarka, przeciągnął palcem po jego połaczanym wieku, na którym wygrawerowano dwa splecione ze sobą minogi.

- Doskonale rozumiesz - mruknął Ambrose. - Czy Parvish wie o tych twoich grach? - Rysy mu się nagle wyostrzyły. -

I co? Odebrało ci mowę? Moim zdaniem uzależniłeś się od hazardu, Paul. Wpadłeś w nałóg.

- Nałóg? Przesadzasz. - Paul zaczął podnosić wieczko kompendium, ale zaraz je zamknął.

- Wcale nie. Nie możesz już nad tym zapanować. Nie możesz przestać.

- To potwarz!

- Więc czemu bawisz się swoim kompendium? Zawsze to robiłeś, nawet jako chłopak. Parvish mówił, że dzięki temu mógł stwierdzić, iż coś jest nie tak... Mogę zobaczyć? - Ambrose wyjął przedmiot z jego dłoni i spojrzał na niego wprawnym okiem. - Co za tandeta! Humphrey Cole przewraca się w grobie... A gdzie twoje stare kompendium?

- Oddałem je. - Paul spojrzał mu obojętnie w oczy. - Zaprzyjaźnionej osobie.

- Zaprzyjaźnionej osobie? - Jones spojrzał na rycinę. - Zapewne komuś z Lampreyów.* No cóż...

* Lamprey to w języku angielskim minóg morski (przyp. tłum.).

Zwrócił Pindarowi kompendium i usiadł ciężko. Zdjął turban, który rzucił gniewnie w zdobiony boazerią, zakurzony kąt niewielkiego pokoju.

- Posłuchaj - zaczął łagodniej, drapiąc się w łysinę - wiem, ile straciłeś. I wiem, że to nie żarty - dodał z westchnieniem.

- Nie jesteś chyba na tyle głupi, żeby wierzyć Carew? - Paul poczuł, że zaczęły mu się pocić dłonie.

- A ty na tyle, by sądzić, że opierałbym się na opinii jednego służącego! - burknął Ambrose.
- Pamiętaj, że mój zawód polega na zbieraniu różnych rzeczy: rogów jednorożców, syren, informacji. Po to tu przyjechałem.

- Po to, żeby zbierać informacje na mój temat? - Paul zaczął się śmiać, ale zaraz poczuł ból zeber. - Parvish przysłał cię po to, żebyś mnie szpiegował? - Potarł delikatnie klatkę piersiową. - To chyba jakiś senny koszmar.

Kiedy jednak spojrzął na niego, stało się jasne, że jeśli nawet, to Ambrose jest ze wszechmiar rzeczywisty.

- No dobrze, więc kim są twoi informatorzy?

- Mówiłem już, że nie zdradzam swoich źródeł. - Jones popatrzył na niego surowo. - Przyjechałem tu między innymi po to, żebyś przestał wydawać pieniądze na hazard. Czy to swoje, czy Parvisha, czy też kogokolwiek innego... Jeśli, jak twierdzisz, nie wpadłeś w nałóg, powinno to być łatwe, prawda? - Paul nagle odniósł wrażenie, że niewielki Ambrose wypełnia sobą całą przestrzeń. - Jasne? - warknął.

Paul przez chwilę się wahał, a potem skinął głową.

- Przysięgasz, że przestaniesz grać?

- Przysięgam.

W tym momencie do pokoju zajrzał zdenerwowany Prospero.

- Przepraszam, że przeszkadzam, panowie, ale zdaje się, że macie gościa - zaczął. - Ten młody człowiek nie chciał nawet słyszeć... - Zanim zdołał skończyć, do pokoju wepchnął się Carew.

- Aa, więc Constanza miała rację! Szukam cię wszędzie... - Urwał na widok Jonesa.

Obaj mężczyźni spojrzeli na siebie w milczeniu.

- No cóż... - Carew rozejrzał się dookoła - bardzo tu przyjemnie...

- Nie przejmuj się, Prospero - odezwał się Paul. - Właśnie skończyliśmy z panem Jonesem.

- Idźcie już. Mam kilka pilnych spraw do Prospera - rzucił Ambrose i sięgnął po swój turban. - Chciałbym cię jeszcze zapytać o parę rzeczy - zwrócił się do Pindara - ale to może poczekać.

Kiedy znaleźli się w pracowni, Prospero podał Paulowi jego rubin.

- Ładny, ale niezbyt wartościowy. - Określił cenę w dukatach.

- Tylko tyle?

- Przykro mi, Angliku, ale ostatnio na rynku pojawiło się bardzo dużo kamieni szlachetnych. Rubiny są teraz niewiele warte.

- Dlaczego?

- Z powodu jakiejś damy, która je wyprzedaje. Podobno mieszka w klasztorze.

- Zakonnicy?

- Możliwe, chociaż trudno powiedzieć. - Prospero wzruszył ramionami. - Zresztą co ja tam wiem o waszych zakonach. Dlaczego jakaś religijna osoba miałaby się w ogóle interesować klejnotami?

- To może być bogata wdowa, która szuka schronienia w klasztorze, albo nowicjuszka, której wianem są te klejnoty - Paul zaczął głośno myśleć, a potem coś mu wpadło do głowy. - A może to ona też chce sprzedać ten wielki brylant, o którym wszyscy mówią? Słyszałeś o błękitnym brylancie sułtana?

- Brylancie sułtana? Jasne! Gdybyś mi go przyniósł, Angliku, mógłbyś liczyć na znacznie więcej. - Oczy jubilera załśniły pożądaniem. - Nieźle bym zapłacił choćby za to, by móc go potrzymać. Powiadają, że waży ponad sto karatów. Wiesz, co to znaczy? - Zacisnął pięść. - Że jest niemal tej wielkości. W dodatku ten kolor... Błękitny, czyli jest to najszlachetniejszy, przezroczysty brylant, ale z odcieniem niebieskiego. Brylant w kolorze księżycowej poświaty, Angliku. - Westchnął głęboko. - Ale to nie dlatego tyle o nim mówią. W ciągu ostatnich paru lat na rynku pojawiło się kilka dużych kamieni szlachetnych. Chodzi też o to, jak go oszlifowano. Podobno jego szlif ma dwa razy więcej faset niż jakikolwiek znany brylant. Co to musi być za blask! Jakie światło! Jaki geniusz mógł coś takiego stworzyć?! - Prospero pokręcił głową. - Niestety, nic na ten temat nie wiadomo.

- Więc jak sądzisz, skąd pochodzi ten brylant?

- Sam kamień? Prawie na pewno z Indii, z wielkiej kopalni w Golkondzie. Niektórzy mówili, że osadzono go w oku jednego z tamtejszych bożków. - Jubiler wzruszył ramionami. - Jednak te wielkie klejnoty to znikają, to się znów pojawiają, często zmieniają nazwy, więc tak naprawdę trudno powiedzieć. - Bezradnie rozłożył ręce.

- Czyli to wszystko plotki?

- Nie, Angliku! - Chociaż nikogo nie było w pobliżu, Prospero zaczął mówić ciszej. - Od dawna wiadomo, że brylanty mają właściwości mistyczne. Jednak ten sułtana jest... inny. Podobno nie ma drugiego takiego na świecie. - Jubiler zniżył głos do szeptu, jakby bał się tego, co miał powiedzieć. - Słyszałem, że jeśli ktoś ofiaruje go z własnej woli, to daje prawdziwą ochronę temu, kto go nosi, że dobremu człowiekowi przynosi samo dobro. Ale ze złymi jest odwrotnie. Podobno jest na nim jakiś tajemniczy napis w języku Mogołów. - Zauważył, że Paul patrzy na niego sceptycznie. - Ee! - Wykonał gest, jakby chciał go odepchnąć. - Nigdy mnie nie słuchasz, Angliku. Sam nie wiem, po co tracę czas.

- Więc dużo mi za niego zapłacisz?

Prospero nie miał jednak ochoty na żarty.

- Nie, Angliku. Nie chcę tego brylantu. Nigdy! - rzucił gwałtownie. - Niewielu kupców zdecyduje się go dotknąć. Tego rodzaju klejnoty najlepiej obchodzić szerokim łukiem.

- Dlaczego?

Prospero poruszył się niespokojnie.

- Ten brylant wędruje. - Spuścił wzrok.

- Co takiego?

- Przecież powiedziałem - wędruje. Nie ma co pytać dlaczego czy próbować temu zapobiec.

- Zrzucił niecierpliwym gestem na ramię swoją długą brodę. - Nie rozumiesz, co do ciebie mówię?! - Teraz niemal na niego krzyczał. - Takiego magicznego klejnotu nie można, ot tak sobie, sprzedawać i kupować. Nic dobrego nie czeka tego, który zdecyduje się to zrobić...

Prospero chciał już przejść do pokoju, w którym czekał na niego Ambrose Jones, ale zatrzymał się w progu.

- Jeśli naprawdę cię to interesuje, sprzedał go mężczyzna, a nie kobieta. Ktoś, kto przywiózł go z Konstantynopola.

- I co się z nim stało?

- Nikt nie wie, dokąd pojechał. Przywiózł klejnot do getta, żebyśmy go wycenili. Ale taki brylant... - Prospero wzruszył ramionami. - Nikt nie miał tyle pieniędzy, by go kupić, nawet gdyby się na to zdecydował. Nie sędzę, żeby się tego spodziewał. W końcu ktoś, kogo znam, zaproponował mu, że przechowa kamień. Nie można bezpiecznie nosić przy sobie czegoś takiego... Obiecał też przekazać do Antwerpii i Amsterdamu wieści o tym, że klejnot jest na sprzedaż. W końcu zawsze znajdzie się jakiś głupiec, który się na to zdecyduje. Po wiedział, że się zastanowi, ale...

- Nie wrócił?

- Podobno przegrał ten klejnot w karty, niech go piekło pochłonie. - Prospero splunął na podłogę. - Widzisz, mówiłem ci, że ten klejnot wędruje. I nie można go powstrzymać.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Kiedy Pindar i jego służący opuścili pracownię Prospera, dochodziła dwunasta. Księżyc świecił jasno. Paul ze względów bezpieczeństwa nie przyplął tu gondolą, więc teraz musieli iść wzdłuż bocznych kanałów, by uniknąć straży. W końcu Paul odezwał się pierwszy.

- Zapewne nie ma sensu pytać cię, gdzie byłeś przez ostatnie dwa dni? - rzucił jadowicie, choć jednocześnie starał się mówić cicho, by nie przyciągnąć niczyjej uwagi. - Nie, nawet nie chcę wiedzieć. Basta, Carew! Od tej pory sam sobie jesteś panem. Nie obchodzi mnie to, co robisz.

- Dobrze, niech będzie - mruknął John. - Więc pewnie nie powiesz mi, o czym rozmawiałeś z Jonesem?

- Jasne, to nie twoja sprawa. - A potem dodał, przecząc sobie: - Przecież właśnie o to ci chodziło. Żebyśmy się poznali. Udało się.

Carew nie zwrócił uwagi na kpiący ton.

- Kim jest ten Jones? - Kiedy Paul nie odpowiedział, dodał: - Założę się, że znałeś go wcześniej. I że wcale nie zbiera rzeczy do gabinetu osobliwości Parvisha.

- Wręcz przeciwnie, zbiera dla niego wszystko, co się da. Jest szpiegiem Kompanii Lewantu, ty głupku! - Zatrzymał się, żeby złapać oddech. - Rozumiesz, co zrobiłeś? Oczerniłeś mnie przed całą...

- Nie o to mi chodziło - wtrącił Carew. - Chciałem po prostu, żebyś się obudził!

- ...przed całą szacowną kompanią! Wszyscy będą mnie teraz uważnie obserwować.

- Czy nie widzisz, że to już się stało? Przecież wszyscy wiedzą o tym szaleństwie, o twojej melancholii - Carew niemal krzyczał, a jego głos odbijał się od ścian wąskiej *calle*. - Coś się z tobą stało...

- Cicho, głupcze! - Pindar złapał go za ramię i wciągnął w głąb bramy. - Ja mam prawo do przekraczania granicy getta o tej porze, ale ty nie. A jeśli nas złapią, to nie zawaham się wydać cię strażnikom.

Po chwili dotarli do niewielkiego mostu przy końcu przejścia. Paul z trudem oddychał, a każdy oddech wywoływał ból w klatce piersiowej. Oparł się o mur, by trochę odpocząć i dojść do siebie. Po drodze musieli gdzieś źle skręcić i teraz dotarło do niego, że zgubili się w labiryncie wąskich *calle*.

Przed sobą mieli wąski kanał, który prowadził w dwóch różnych kierunkach. Gdyby skręcili w lewo, znaleźliby się w płataninie uliczek Canareggio, po prawej zaś mieli kolejne przejście i

niewielki szerszy kanał. Księżyc wisiał nisko nad dwoma kupieckimi domami i odbijał się od powierzchni wody. W łukowatym oknie od strony przejścia paliła się świeca.

Czy można sobie wyobrazić coś piękniejszego i jednocześnie bardziej melancholijnego? Paul spędził tutaj z przerwami niemal połowę swego życia, ale dopiero teraz uświadomił sobie, jak bardzo nienawidzi tego miasta. Co go opętało, żeby tu wrócić? Czy to dlatego, że Celia też tu kiedyś mieszkała? Poznali się właśnie w Wenecji i tu się w sobie zakochali, a potem zaręczyli. Potem on pojechał do Konstantynopola w interesach, a statek, który miał ją tam dowieźć, rozbił się na skałach. Tak im się przynajmniej wówczas wydawało. Carew twierdził potem, że widział ją w haremie sułtana, że jednak przeżyła, ale nigdy nie udało im się do niej dotrzeć, a on... wciąż o tym wszystkim myślał.

Być może Carew miał rację. Wiedział, że nie jest już sobą. Stracił Celię na zawsze, ale miał wrażenie, że jej duch unosi się gdzieś wśród ulic Serenissimy. Kiedy chodził tutejszymi ulicami, nie mógł pozbyć się wrażenia, że za chwilę zobaczy ją gdzieś za rogiem. Wciąż o tym myślał. Parę razy wydawało mu się, że ją widział: z jasną cerą i płomiennymi włosami, pochyloną za oknem nad książką czy robótką albo też przepływającą gondolą. Ale potem ta kobieta wstawała lub coś mówiła i dopiero wówczas do niego docierało, że to nie Celia. I że już nigdy nie odnajdzie ukochanej. Wokół była tylko wilgoć i zgnilizna. I nic więcej.

Nagle dostrzegł jakiś ruch w przejściu po drugiej stronie mostu.

- Widziałeś? - usłyszał szept tuż koło ucha. - Tam, po lewej stronie.

Zatem Carew też to dostrzegł. Skinął głową, a następnie przybliżył usta do ucha służącego. Właśnie miał się odezwać, gdy ciemna postać w kapturze zaczęła się do nich zbliżać. Kiedy znalazła się na środku mostu, dobiegło do nich ciche pytanie:

- Paul Pindar?

Paul nakazał Carew gestem, by pozostał w podcieniu, sam zaś zbliżył się do mostu.

- A kto chce wiedzieć? - rzucił.

Instynktownie zacisnął dłoń na rękojeści puginału, ale nieznajomy wyciągnął przed siebie dłoń, by pokazać, że jest nieuzbrojony.

- Nie poznajesz mnie, Paul?

Mężczyzna zdjął kaptur i wtedy rzeczywiście Pindar dostrzegł coś znajomego w widocznych w świetle księżyca rysach.

- To ja, Francesco.

- Francesco? - powtórzył ze zdziwieniem Pindar. - Na Boga, to rzeczywiście ty!

Natychmiast podszedł do przyjaciela, by go uściskać.

- Tak dawno cię nie widziałem - powiedział wzruszony. - Ile to już lat?

- Zbyt wiele, stanowczo zbyt wiele.

- Tak. - Paul spojrział na twarz przyjaciela z niekłamaną radością. - Francesco Contarmi! Dziesięć, a może nawet więcej.

- Dziesięć, piętnaście, nawet nie ma co liczyć - rzekł tamten z uśmiechem.

Przez chwilę stali, patrząc na siebie.

- Niewiele się zmieniłeś.

- Ty też.

Doskonale wiedzieli, że to kłamstwa. Paul miał posiniaczoną twarz i ślady siwizny we włosach, z kolei piękna niegdyś twarz Francesca stała się wychudzona, a koszulę miał tak wytartą i wybrudzoną, jakby od miesięcy jej nie zmieniał. Stali jednak, uśmiechając się do siebie.

- Słyszałem, że wyjechałeś z Wenecji. - Francesco klapnął przyjaciela po ramieniu.

- To prawda. Przez parę lat mieszkałem w Konstantynopolu. Oddelegowała mnie tam Kompania Lewantu z posłaniem do sułtana. Wiesz, chodziło o prawa handlowe...

- Jasne, przecież jesteś wspaniałym kupcem. - W głosie Francesca pojawił się lekki odcień ironii. Kiedy się uśmiechnął, Paul zobaczył poczerniałe kikuty jego dolnych zębów. - Wcale mnie to nie dziwi. Zawsze byłeś przeznaczony do wielkich celów. I zawsze miałeś szczęście...

- Szczęście? - Paul uśmiechnął się gorzko. - Szczęście to złudzenie.

- Słyszałem o Tomie Lampreyu i jego córce. - Przyjaciel skinął ze współczuciem głową. - Bardzo mi przykro.

- Wielkie dzięki - rzucił Paul - ale to było tak dawno. Powiedz lepiej, co u ciebie? - spytał, chcąc zmienić temat.

- U mnie? Ja też wyjeżdżałem. - Francesco zaśmiał się, co zabrzmiało jak suchy kaszel. - Pewnie słyszałeś...

- Tak, słyszałem.

O co chodziło? - gorączkowo usiłował sobie przypomnieć. Jakaś grę, kobietę... Zdaje się, że kogoś zabił i musiał uciekać.

Francesco zauważył jego ściągnięte brwi i wzruszył ramionami.

- Poszło o jakąś ladacznicę, nic wielkiego - mruknął, ale w jego oczach czaił się jakiś cień. - Z jej powodu spędziłem cztery lata na wygnaniu, a teraz nie mogę sobie nawet przypomnieć, jak się nazywała. Jak tamta, pamiętasz, ta, u której byliśmy...

Na chwilę zapanowała między nimi pełna skrepowania cisza.

- Constanza?

- Ależ tak, Constanza! Jak mogłem zapomnieć?

- Zapomniałeś imienia Constanzy?

Czy to możliwe? - zastanawiał się Paul. Przecież tak bardzo kiedyś rywalizowali o jej względy, że ucierpiała na tym ich przyjaźń.

- Wciąż ją widzisz?

- Od czasu do czasu.

- Pewnie się zestarzała. Nie ma nic gorszego od starej kurwy, prawda?

Kiedy Pindar nie odpowiedział, Francesco tylko wzruszył ramionami.

- Cóż... było, minęło. Przejdziesz się ze mną?

Wziął go pod ramię i ruszyli wzdłuż kanałów. Przejścia wokół były wyludnione, w nocnej ciszy słyhać było tylko odgłosy ich rozmowy. Księżyc odbijał się w wodzie, która kolorem i konsystencją przypominała olej skalny.

- Dokąd wybrałeś się o tej porze?

- Jeszcze pytasz? - zaśmiał się Francesco. - A gdzie można iść?

- Nie chcę już grać, Francesco, jeśli o to ci chodzi. - Paul zdziwił się, że jego głos zabrzmiał tak przekonująco.

- Nie chcesz grać? - Przyjaciel spojrzał na niego z ukosa. - Słyszałem co innego... - Urwał, chociaż minę miał taką, jakby mógł jeszcze wiele powiedzieć.

- Tak, właśnie.

- Od kiedy?

Chwila ciszy.

- Od dzisiaj.

- Od dzisiaj? - Francesco zaśmiał się. - Więc stąd te siniaki? - Kiedy Pindar nie odpowiedział, znowu się zaśmiał. - Dobrze, nie musisz mi mówić, jeśli nie chcesz. Wiem, jak to bywa. - Znajdował się na tyle blisko, że Paul wyczuł od niego wino, a także odór niemytego od wielu dni ciała. - Więc może się przynajmniej napijemy?

- Przestałem też pić. - Na myśl o tym, co działo się poprzedniej nocy, aż ścisnął mu się żołądek. Jednak Francesco sprawiał takie wrażenie, jakby go nie słyszał.

- Znam tu w pobliżu przyjemne miejsce. Mój znajomy, niejaki Cavaliere, zaczął tu prowadzić *ridotto*. Znasz go może?

- Nie, chyba nie.

Francesco zauważył, że przyjaciel się waha.

- To bardzo przyzwoite miejsce, nie takie jak niektóre z tych nowych *casini* - pospieszył z zapewnieniami. - Przychodzą tam tylko zaufani i... wypłacalni klienci. No, chodź. - Francesco pociągnął go za ramię. - Poręczę za ciebie. Winien ci to jestem po tych wszystkich latach.

Paul myślał w tej chwili tylko o dwóch rzeczach. Po pierwsze o tym, ile z tego wszystkiego dotarło do Carew, czającego się gdzieś z tyłu w *passagio*. A po drugie o tym, jak pozbyć się Francesca. Wyczuwał w nim coś dziwnego, gorączkowego, niemal piekielnego, czego nie potrafił jeszcze nazwać. Carew to pestka, pomyślał. Znacznie trudniej będzie uporać się z dawnym przyjacielem. Przynajmniej Ambrose'owi, że skończy z graniem, ale mógł się przynajmniej napić trochę wina, a następnie pożegnać z Franceskiem.

- Dobrze, przyjacielu - powiedział niemal wesoło. - Jeden kieliszek za dawne czasy.

Jeden kieliszek w tym nowym *ridotto*. Przecież to nic złego, pomyślał.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Ridotto znajdowało się nad składem winnym w Cale dell'Asrologo, tuż za Canale Grande.

Jako młody kupiec, reprezentujący Parvisha w Wenecji, Paul bywał w wielu takich miejscach. Otwierano je tylko na jakiś czas nad różnego rodzaju gospodami lub składami win, by ulżyć tym graczom, którzy nosili zdecydowanie za ciężkie sakiewki. Nie zdziwił się więc, kiedy przyjaciel zaprowadził go na tyły pustego składu, skąd wiodły na górę wąskie schody.

Francesco zaczął wchodzić po nich pierwszy, za nim Paul, a na końcu Carew. Na górze znajdowała się duża, zupełnie pusta izba. Ściany obito tu tanią boazerią. Na jej końcu dostrzegli jeden stopień i drzwiczki. Były one jednak tak małe, jakby prowadziły co najwyżej do jakiejś spizarki lub składziku. Jednak kiedy Francesco do nich zapukał, otworzyły się bezszelestnie, a następnie weszli we trzech do czegoś w rodzaju niewielkiej poczekalni, długiej zaledwie na kilkanaście kroków. Na jej końcu znajdowały się tym razem większe drzwi. Paul od razu domyślił się, że muszą prowadzić do sąsiedniego domu.

Kiedy tak stali, Francesco spojrzał na Pindara i wskazał Carew.

- Czy twój służący umie trzymać język za zębami? Paul skinął głową.

- Tak, mogę za niego ręczyć. Ale co to za miejsce, Francesco? Gdzie nas przyprowadziłeś?

Zza solidnych drzwi nie dochodziły żadne dźwięki. Panowała tu taka cisza, że Paul pomyślał nawet sobie, że to wcale nie jest *ridotto*. Tkwili tu z Carew niczym szczury w pułapce. Poczul, że jego serce zaczyna bić mocniej. Nagle uświadomił sobie, że są zupełnie sami w tym dziwnym miejscu.

Ale kiedy zaczął się zastanawiać, dlaczego zgodził się tu przyjść, usłyszał głos Francesca przy swoim uchu.

- Pytasz, co to za miejsce. Założę się, że jeszcze nigdy w życiu nie byłeś w takim *ridotto*.

Jednocześnie kolejne drzwi otworzyły się bez najmniejszego szelestu, tyle że tym razem z wnętrza buchnęło światło wielu świec.

Stali na progu *piano nobile* jakiegoś wielkiego domu lub *palazzo*. Ściany zdobiły malowane panele, a okna szczelnie zakrywały zasłony z najlepszego, zakończonego frędzlami aksamitu. Na suficie wisiał ogromny żyrandol z włókien z najdroższego szkła z Murano. Ale najdziwniejsze było to, że w tym cichym miejscu znajdowało się mnóstwo ludzi.

Kobiety i mężczyźni, niektórzy w maskach, stali w grupach lub przechadzali się w milczeniu między stolikami. Paul zauważył, że mężczyźni to przede wszystkim młodzi arystokraci i kupcy, a kobiety to wyłącznie kurtyzany, które cudzoziemskim zwyczajem malowały sobie karminem wargi oraz policzki.

Mimo że w pokoju było duszno, wszystkie ubrane były w bogate, modne stroje ze sztywnego brokatu w żywych kolorach. Ich suknie miały marszczone staniki z dużym dekoltem, tak że odsłaniały ich piersi aż po sutki, a kołnierze niewiarygodnie wysokie, zrobione z wykrochmalonej koronki *point de Venise*, tak delikatnej, że niemal przezroczystej, sterzące w górę niczym pawie ogony. Czesaly się z przedziałkiem, a włosy upinały w dwa dziwne rogi po obu stronach głowy. Paul rozpoznał wśród nich przyjaciółkę Constanzy, która na jego widok ucałowała swój wachlarz i posłała mu ze śmiechem ten pocałunek.

Przy pokrytych aksamitem stolikach siedziało po kilku zamaskowanych mężczyzn, a u szczytu każdego znajdował się rozdający karty. Obok stały dwie świece, leżało parę talii kart, a także dwie kupki dukatów: jedna złotych, druga srebrnych. Paul zauważył, że widzowie przystają na chwilę za plecami graczy, a potem przechodzą dalej. Co jakiś czas dało się słyszeć szept, zduszone kasznięcie czy brzęk szkła, bądź szelest sunących po podłodze kobiecych sukien, ale poza tym nic nie mąciło ciszy, co jeszcze bardziej podkreślało nierzeczywisty charakter całej tej sceny.

Po chwili pojawił się służący z winem. Paul wziął kieliszek i przeszedł dalej za Francesco. Niekiedy ścisk był tak wielki, że musieli przeciskać się między gośćmi, żeby iść dalej. Przy każdym stoliku grano w coś innego: w *primero* czy *bessano*, a sądząc z nagromadzonego na nich złota, stawki były bardzo wysokie.

Zwłaszcza gra, która toczyła się na środku pokoju, przyciągała prawdziwe tłumy i chociaż Francesco szedł dalej, Paul zatrzymał się tam na chwilę. Przy stoliku siedziało czterech mężczyzn, ale obserwatorzy patrzyli tylko na jednego z nich. Pod maską widać było uśmiech, a jego modny strój i szczupła budowa ciała wskazywały, że ma nie więcej niż osiemnaście, dziewiętnaście lat. Podniecenie widoczne w oczach patrzących wskazywało, że gra toczy się o wyjątkowo wysoką

stawkę, ale mimo to młodzieniec zachowywał się nonszalancko, z wystudiowaną, można powiedzieć, swobodą, jakby chodziło tu o kolorowe paciorki, a nie prawdziwe pieniądze.

Paul wbił w niego wzrok. Nawet nie zauważył, kiedy wypił swoje wino i służący podał mu kolejny kieliszek. Przynależał, że nie będzie grał, i zamierzał dotrzymać słowa, ale zrobiło mu się przykro, gdy Francesco pociągnął go za ramię, kierując w stronę czegoś, co wyglądało jak dodatkowy pokój na końcu *piano mobile*.

Jednak drzwi nie prowadziły do kolejnego pomieszczenia, ale do przedpokoju, na którego końcu zobaczył ciężką kotarę z czarnego, wyszywanego złotymi nićmi aksamitu. Paul chciał przejść dalej za Franceskiem, gdy wtem poczuł czyjaś dłoń na ramieniu.

- *Signor* Pindar?

- A kto chce wiedzieć?

Kiedy się obrócił, zobaczył smagłego mężczyznę ze śladami po ospie albo jakimiś innymi bliznami na obu policzkach.

- *Cavaliere* Memmo, do usług. - Mężczyzna uśmiechnął się, ale jego oczy pozostały zimne. Memmo?

Paul zmarszczył brwi. Słyszał już gdzieś to nazwisko.

- *Cavaliere*. - Memmo skłonił mu się lekko.

- Miło mi cię gościć, panie. - Zaprosił go szerokim gestem do wnętrza. - Proszę, możesz zająć miejsce przy stoliku.

- Dziękuję, ale nie gram w gry hazardowe.

- Słyszałem co innego, *signor*.

- Przykro mi więc, że źle cię poinformowano, *cavaliere*. - Paul nagle przypomniał sobie, skąd zna jego nazwisko. Ależ tak, Memmo! To Constanza wspomniała o kimś, kto nazywa się Zuanne Memmo. Teraz był tego pewny.

- Jak uważasz, panie. - *Cavaliere* rozłożył ręce, ukazując wnętrza dłoni, co miało wskazywać, że jest mu wszystko jedno. Następnie skinął głową w stronę czarnej kotary. - Powinieneś jednak wiedzieć, że w tym miejscu toczą się... - szukał odpowiednich słów - nasze najciekawsze gry. Zresztą nieważne... Napijesz się jeszcze wina?

Znajdował się tu stolik z pełnymi wina karafkami. Memmo wziął jedną z nich, a Paul wyciągnął w jego stronę pusty kieliszek. Wiedział, że nie powinien zdradzać zbyt dużego zainteresowania tym, co dzieje się w sąsiednim pomieszczeniu.

- O co toczy się gra?

- O to, by wziąć udział w kolejnej grze. - Memmo ponownie się uśmiechnął, lecz i tym razem jego oczy pozostały zimne niczym stal. - Muszę jednak uważać na to, co mówię, bo jeszcze obudzę w tobie chęć do gry, *signor*... - Odstawił karafkę na miejsce.

- Tak jak mówiłem, nie będę już grał - powiedział Paul, czując, że słowa więzną mu w gardle. Poczuł, że opanowuje go jakiś dziwny niepokój. - Jednak chciałbym wiedzieć, co jest główną nagrodą. Czyżby rzeczywiście chodziło o błękitny brylant sułtana?

Memmo wciąż stał odwrócony do niego plecami. Na moment zawahał się i obrócił w jego stronę.

- Błękitny brylant sułtana?

- Słyszałem, że stanowi główną wygraną w jednej z gier...

- A mogę wiedzieć, skąd pochodzi ta wiadomość?

Szklany korek brzęknął lekko o szyjkę karafki. Czy powinien powiedzieć mu o Constanzy? Jakiś szósty zmysł podpowiadał Paulowi, że nie powinien tego robić.

- Wydaje mi się, że mówią już o tym wszyscy kupcy z Rialto - odrzekł najłżejszym tonem, na jaki mógł się w tej sytuacji zdobyć. - Pewien jubiler powiedział mi, że ten, kto przywiózł go do Wenecji, przegrał klejnot w karty, zanim zdołał znaleźć nabywcę. Zakładam więc, że mogło to być tutaj.

Paul miał wrażenie, że Memmo niemal niedostrzegalnie skinął głową w stronę Francesca. Nie mógł tego jednak stwierdzić na pewno, gdyż jednocześnie pojawił się służący i szepnął coś do ucha gospodarza.

- Przepraszam, panowie, zaraz się wami zajmę.

Do niewielkiego przedpokoju wszedł gracz w masce. Memmo odsłonił kurtynę i wprowadził go do kolejnego pomieszczenia. Następnie zaprosił ich gestem do środka. Paul już miał się tam skierować za Franceskiem, kiedy usłyszał lekkie pokaszanie. O dziwo, zobaczył stojącego w drzwiach Carew.

- Co ty tu robisz? - rzucił zniecierpliwiony Paul.

- Czekam na ciebie, panie - odparł dwornie Carew. - Żeby móc cię bezpiecznie odprowadzić do domu.

Paul zwrócił się ponownie do Francesca, kompletnie zapominając o pragnieniu umknięcia z *ridotto* i wyrwania się przyjacielowi.

- Czy to prawda z tym brylantem?

- Tak. Zresztą sam się przekonaj. - Francesco, rozparty niedbale w fotelu, sączył szklaneczkę wina.

- Słyszałem, że przywiózł go ktoś z Konstantynopola. - Nagle przypomniał sobie to wszystko, czego dowiedział się od Prospera. Magiczny klejnot sułtana. Sto karatów księżycowej poświaty.

- Nie mam pojęcia. Nie wyglądał na Turka. Możliwe, że był to jakiś zbiegły niewolnik. Chociaż, zaraz... zdaje się, że coś mówiono na ten temat... - Francesco zawiesił głos.

- Co takiego?

- ...że służył kiedyś u matki sułtana.

- Matki sułtana? Masz na myśli starą władczynię? - Paul myślał gorączkowo. - Tę, która zmarła w zeszłym roku?

- Tak mi się zdaje. Pamiętałem nawet jej imię...

- Sahfije?

- Właśnie, Sahfije - powtórzył Francesco.

- Widziałeś może ten brylant? - Paul przeciągnął nerwowo palcami po włosach.

- Tak. - Francesco rzucił spojrzenie w stronę pomieszczenia za kotarą. - Tak, widziałem.

Paul również popatrzył w tamtym kierunku.

- Chcesz powiedzieć, że tam jest?

Myśl o tym, że klejnot znajduje się tak blisko i że można go wygrać w karty, wprawiała go w coraz większe podniecenie. Ale nie, nie powinien nawet o tym myśleć... Przecież dał słowo! Paul miał wrażenie, że ktoś ściska go za gardło.

- Więc jest tam? - powtórzył pytanie.

- Tak. - Francesco skinął głową.

Paul sam nie wiedział, dlaczego rozmawiają szeptem. Znowu usłyszał pokasływanie dobiegające od strony drzwi. Do licha, czyżby Carew wciąż na niego czekał? Była to jedna z największych zagadek jego życia - dlaczego ten służący zawsze znajdował się tam, gdzie nie powinien? Paul postanowił go jednak zignorować i znowu zwrócił się do dawnego przyjaciela.

- Jak sądzisz, czy *cavaliere* pozwoli mi go obejrzeć? - Nagle poczuł, że musi zobaczyć ten klejnot.

- To będzie gra o najwyższą stawkę. - Twarz Francesca była szara ze zmęczenia. - Obawiam się, że nie rozumiesz, co to znaczy. Wielu ludzi straci prawdziwe fortuny... Władze miasta usilnie starają się zamknąć to *ridotto* i gdyby dowiedziały się o tym, Zuanne trafiłby do więzienia albo musiałby uciekać z Wenecji...

Paulowi zaszumiało w uszach.

- A jeśli zdecyduję się na grę? - Było mu wszystko jedno, czy Carew go słyszy. - Czy wtedy pozwoli mi zerknąć na brylant?

Francesco potrząsnął głową.

- Nie sędzę, żeby pozwolił ci wziąć udział w tej grze.

- Dlaczego? - Pindar poczuł, że poca mu się dłonie, a serce zaczęło mu mocniej bić.

- Nie wygłupiaj się! Wszyscy wiedzą, ile ostatnio przegrałeś.

Paul czuł, że trawi go dziwna gorączka. Złapał Francesca za ramię, ale ten odtrącił jego dłoń.

- Idź do domu, póki jeszcze możesz. Twój służący wciąż na ciebie czeka.

Carew zbliżył się do swojego pana na sygnał jego przyjaciela i próbował podprowadzić go w stronę drzwi. Jednak wypite wino dało o sobie znać i Paul odepchnął go pijackim gestem.

- Proszę, Francesco! Porozmawiaj z nim w moim imieniu. - Ponownie złapał go za ramię.

- A pójdziesz do domu, jeśli pokażę ci brylant?

- Tak.

Przyjaciel popatrzył nań z powątpiewaniem.

- Przyrzekasz?

- Słowo honoru.

- Naprawdę?

- Na rany Chrystusa. Co jeszcze mam powiedzieć?

- Więc chodź.

Francesco ponownie odsłonił czarny aksamit i po chwili obaj znaleźli się po jego drugiej stronie. Paul słyszał za sobą ciche kroki Carew, ale było mu wszystko jedno. Omiótł wzrokiem ośmiokątną izbę. Nie było tu okien, więc gracze nie mogli się zorientować, czy jest dzień, czy też noc. Zamiast okien zamontowano lustra, które zwielokrotniały światło zamontowanych na ścianach świeczników. Miało się wrażenie, że jest to zupełnie odosobnione miejsce, przypominające łono matki albo wnętrze drogocennej szkatułki.

Na środku stał pojedynczy stół, przy którym siedziało troje graczy: dwóch mężczyzn i kobieta. Czwarty, który chyba spał, leżał przykryty płaszczem na podłodze. Stolik zrobiono z tak ciemnego drewna, że było niemal czarne, ale jednocześnie inkrustowano go bogato macicą perłową. Tak samo prezentowały się ustawione dokoła krzesła.

Zuanne Memmo stał tyłem do graczy. Obrócił się, kiedy usłyszał, że wchodzi do pokoju i zamiast okazać niechęć, czego Paul się spodziewał, kiwnął głową na znak przyzwolenia. Stojący obok niego ludzie w maskach obserwowali grę. W przeciwieństwie do poprzedniego pomieszczenia, gdzie panowała niemal całkowita cisza, tutaj dało się słyszeć fragmenty przyciszonych rozmów.

- Patrz - Francesco szepnął mu do ucha. - Patrz na Memma.

Cavaliere wyjął z szafki spory, zdobiony brokatem woreczek, przypominający kobietę saską, otworzył go, a następnie wytrząsnął z niego na rozpostartą rękę okrągły przedmiot.

- Więc to prawda - szepnął jeden z zamaskowanych mężczyzn.

- A coś myślał? Oto błękitny brylant sułtana...!

Memmo ujął klejnot w palce i uniósł, by wszyscy go zobaczyli. Gracze przerwali grę i w pokoju zapanowała głucha cisza. Kamień lśnił w blasku świec białym i błękitnym światłem, które jakby biło z jego wnętrza. Tajemniczy, piękny i rzadki, pomyślał Paul. Niczym promień pochodzący z innego świata.

Mężczyzna w masce wyciągnął szyję, by przyjrzeć się bliżej klejnotowi.

- Zaraz, tu jest coś napisane...

- Tak, powiedziano mi, że to inskrypcja w języku Mogołów.

- Co oznacza?

- Któż to może wiedzieć? - Memmo uśmiechnął się lekko. - Nie spotkałem jeszcze gracza, który znałby ten język.

Miał zamiar schować brylant do woreczka, ale Paul go powstrzymał.

- Może ja spróbuję - zaproponował.

I znowu miał ten dziwny szum w uszach. Memmo spojrzał na niego tak, jakby nie zrozumiał jego słów.

- Spróbuję to przeczytać - wyjaśnił.

Cavaliere wahał się przez chwilę, ale potem podał mu klejnot bez większych oporów.

- Ależ proszę, *signor*. To doprawdy szczególna okoliczność. Nie wiedziałem, że mamy tu uczzonego.

Paul zaczął oglądać brylant. Poczł mrowienie w koniuszkach palców, jakby klejnot był żywy. Wielkością doskonale pasował do jego dłoni, jakby stworzono ją właśnie po to, by mógł go w niej trzymać. Uniósł go do światła i patrzył, jak gorzeje zimnym wewnętrznym ogniem. Widział teraz, jak misternie wykonano jego fasety i że jedna z nich jest większa od pozostałych. Właśnie na niej dostrzegł inskrypcję, o której wcześniej słyszał od Prospera.

Powoli rozszyfrowywał kolejne litery, czując jak włoski jeżą mu się na szyi.

- I co tam jest napisane?

- *A'az ma yutlab*.

- Co to znaczy?

- Pragnienie mego serca - wyjaśnił.

Ten, który posiada ten kamień, spełni pragnienie swego serca.

W tym momencie Paul poczuł, że niezależnie od wszystkiego musi mieć ten klejnot.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Z powodu tego, że zamknęła się w swoim pokoju, Annetta miała odbyć rozmowę nie ze *suorą* Virginią czy *suorą* Purificación, która chętnie zajmowała się utrzymywaniem dyscypliny w klasztorze, ale z samą wielbłą przeoryszą, *suorą* Bonifacją.

Annetta rozmawiała z nią tylko raz od swego powrotu do klasztoru - *suora* Bonifacia powitała ją oficjalnie. Później widziała ją parokrotnie na różnych uroczystościach, kiedy to przeorysza musiała wziąć udział w modlitwach. Była tak stara i tak często chorowała - jak mawiali niektórzy: również na umyśle - że rzadko opuszczała swój pokój. Młodsze zakonnice uważały, że w bardzo niewielkim stopniu zajmuje się sprawami klasztoru. Wciąż jednak cieszyła się olbrzymim szacunkiem, chociaż Annetta odkryła, że wiązało się to raczej z wielkością jej wiana oraz tym, iż czterech jej kuzynów było dożami, niż jakimiś specjalnymi przymiotami ducha.

Prywatne pokoje przeoryszy znajdowały się w samym końcu budynku, daleko od skrzydła, w którym była cela Annetty. Kiedy zastukała do drzwi, wpuściła ją kobieta, która, ku jej zaskoczeniu, nie nosiła habitu ani nawet stroju nowicjuszki, ale suknię i fartuszek zwykłej służącej. Pokój był przestronny, a sięgające podłogi okna wychodziły na ogród. W kącie znajdował się duży kominek, w którym, mimo pory roku, palił się ogień.

- Wejdz, *suora*.

Annetta zauważyła przeoryszę dopiero wtedy, kiedy usłyszała jej głos. Malutka, przygarbiona, siedziała na końcu pokoju przy jednym z otwartych okien. Służąca pomagała jej zapewne przy toalecie, bo choć staruszka była ubrana, to jeszcze bez welonu, a włosy opadały jej luźno na ramiona. Annetta zdziwiła się, że nie są one zgolone tuż przy skórze, jak nakazywały obowiązujące w zakonie reguły. Jednak *suora* Bonifacia miała srebrne włosy, które sięgały jej aż do połowy pleców.

- Podejdz tu i usiądz obok - powiedziała przeorysza. - Nie bój się.

Najwyraźniej nie przeszkadzało jej to, że Annetta widzi ją w takim stanie, gdyż poklepała zachęcająco stojące naprzeciwko niej krzesło. Annetta podeszła więc do niej, skłoniła się z szacunkiem i usiadła, jak jej polecono. Służąca zaś stanęła za przeoryszą i zaczęła czesać jej włosy.

Annetta rozejrzała się dookoła. Pokój wyglądał jak salonik arystokratki. Na ścianach wisiały gobeliny oraz zasłony z adamaszku i aksamitu, a nad kominkiem obraz ze zwiastowaniem, na którym anielskie skrzydła zdobiła złota folia. Na stole obok kominka leżało sporo oprawionych w skórę książek ze złoconymi tłoczeniami, kilka piór i zwojów pergaminu, a także pieczęcie zakonne

oraz potrzebny do nich lak. Po obu stronach pokoju stały *cassoni*, większe i piękniejsze niż te Annetty, z bogatymi okuciami, malowane w sceny myśliwskie.

- Widzę, że patrzysz na moje *cassoni*. - Chociaż przeorysza powiedziała to poważnym tonem, Annetta odniosła wrażenie, że dostrzegła w jej oczach coś w rodzaju rozbawienia. Mimo podeszłego wieku przełożonej jej głos brzmiał jasno i czysto, a jednocześnie władczo, tak jakby nigdy nie miała powodów, by wątpić w swoje przywódcze zdolności. - Słyszałam, że masz podobne. Czy to prawda?

Annetta była przygotowana na zaciekłą obronę, lecz to pytanie zupełnie ją rozbroiło. Schyliła więc głowę i powiedziała tylko z pokorą:

- Tak, wielebna matko.

- Zdaje się, że *suora* Purificación bardzo się denerwuje z ich powodu.

Annetta nie miała pojęcia, do czego może prowadzić taka uwaga, więc tylko powtórzyła:

- Tak, wielebna matko.

Przygotowana była na wykład na temat dumy oraz nieposłuszeństwa, a ku jej zaskoczeniu przeorysza w ogóle nie nawiązywała do tego, co się stało. Co jakiś czas wyglądała tylko przez okno.

- Popatrz, jaki piękny widok - odezwała się w którymś momencie. - Przez prześwitę między topolami możesz stąd zobaczyć wody zatoki.

Annetta spojrzała z przyjemnością we wskazanym kierunku, zastanawiając się, czy *suora* Bonifacia wie, że ona również ma pokój z widokiem. Ale jej okno wychodziło na południe, na wyspę, a także warzywniak i herbarium, a okno przeoryszy na ładniejszy ogród botaniczny z ułożonymi w geometryczne wzory rabatkami. Po prawej stronie dostrzegła też fragment dróżki, przy której rosły połączone konarami lipy, a także alejki z wysokim żywopłotem i grotę z fontanną oraz staw z karpami, w którego wodach zobaczyła odbicie *monarchino*. Na to wspomnienie serce zabiło jej szybciej.

- Czy wiesz, jak długo tu siedzę? - Przeorysza wskazała poskręcaną niczym dębowa gałąź dłonią w stronę okna.

Czyżby miała odpowiedzieć na to pytanie? Annetta nie była tego pewna, a kiedy popatrzyła na przeoryszę, ta uśmiechnęła się do niej.

- Sześćdziesiąt lat! - Zaśmiała się cicho. - Jestem tu już sześćdziesiąt lat. Byłam tu przed wszystkimi innymi, może z wyjątkiem Virginii i Margaretty, ale one trafiły do zakonu, gdy miały osiem lat. Wyobraź sobie - całe życie spędzone w tych murach. Bez męża, bez dzieci, tylko z tym ogrodem. - W tym momencie do ogrodu weszła *suora* Annunciata wraz z pomocnicami, które niosły kosze, motyki i szpadle. *Suora* Bonifacia westchnęła na ich widok.

- Kiedy przyjechałam, nic tu nie było. Zaczynałam od początku. Mój brat, który jest hrabią, przywiózł nam pierwsze rośliny. Nawet wówczas nasi kupcy odwiedzali dalekie kraje, a jeden z nich dał mu różne sadzonki i nasiona. Brat widział już ogród botaniczny w Padwie i uznał, że możemy tu mieć podobny. Rzadkie rośliny pochodzą z różnych części świata: z basenów Adriatyku i Morza Czarnego, z terenów imperium osmańskiego, z Syrii, Grecji, Aleksandrii, Trypolisu, Tunisu, a nawet z Nowego Świata. Szachownica cesarska, widzisz, pamiętam! To była pierwsza roślina w tym ogrodzie. Wciąż mamy jej sadzonki... Potem pojawiły się inne i nasz zakon stał się znany w Wenecji i nie tylko. Nadzorowałam więc ten ogród od samego początku. - Przeorysza ponownie westchnęła. - *A suora Purificaciòn* uważa, że powinnam przejmować się jedną dziewczyną i jej *cassoni!* Naprawdę, są teraz jak dzieci. Wymyślają sobie różne problemy. - Uśmiechnęła się lekko na tę myśl.

Przez jakiś czas w pokoju panowała cisza. Słyszeć było tylko trzask płonących drzew i cichy, miarowy odgłos czesania. Kiedy Annetta w końcu uniosła wzrok, odniosła wrażenie, że *suora* Bonifacia zasnęła. Miała twarz obróconą do słońca i zamknięte oczy. Siedziała tak długo bez ruchu, że Annetta zaczęła się zastanawiać, co ma dalej robić. Już chciała wstać i cichutko wyjść, ale przeorysza otworzyła oczy.

- *Basta, Giovanna.*

Z długimi, opadającymi na plecy włosami wyglądała bardziej na wróżkę czy wieszczkę niż zakonnicę.

- *Si, contessa.*

Służąca wycofała się cicho i zostały same.

- Chciałabym cię o coś spytać, *suora.*

Annetta poczuła ucisk w piersi. Czy to możliwe, że ktoś być może nawet sama przeorysza - widział ją wczoraj rano w ogrodzie?

- Tak, wielbna matko?

- Czy umieszczono cię tutaj wbrew twojej woli? - Annetta poczuła na sobie jej wzrok. - Wiem, że to się ma już nie zdarzać, ale... - Wzruszyła ramionami. - Cóż, tylko ty znasz odpowiedź na to pytanie. Odpowiedz szczerze, *suora.* Giovanna już nas nie słyszy, a możesz uznać ten pokój za swój konfesjonał.

- Trafiłam tu jako dziecko. Nie znałam żadnego innego miejsca - odparła niepewna tego, co na jej temat może pamiętać przeorysza. - Ale za drugim razem, matko wielbna... Tak, sama chciałam wrócić do klasztoru.

- Naprawdę? - Stara zakonnica uniosła brwi i Annetta po raz pierwszy zwróciła uwagę na to, jak gładkie ma czoło i jędrne policzki. Jednak, tak jak poprzednio, szybko straciła zainteresowanie podwładną.

- W dawnych czasach było nas tu bardzo dużo. Większość tych zakonnicek, które znałam, już nie żyje. Ja zresztą również niedługo pójdę w ich ślady. Sześćdziesiąt lat wyglądać śmierci to chyba dosyć długo, prawda? - Znowu uśmiechnęła się do rozmówczyni. - Zabrakło dla nas odpowiednich kandydatów na mężów. Ci, którzy się znaleźli, byli zbyt nisko urodzeni albo nie piastowali odpowiednich urzędów, a nasze rodziny wolały pogrzebać nas za życia, niż wydać nieodpowiednio za męża. Zamknęły nas więc w klasztorze i wyrzuciły klucz. - Dostrzegła minę Annetty i parsknęła śmiechem. - Nie patrz na mnie z takim zgorszeniem, *suora*. Jestem u schyłku życia i mogę mówić, co myślę. Niezależnie od tego, co uważa stara Puri, jak ją nazywacie.

W tym momencie Annetta nie zdołała powstrzymać śmiechu.

- Giovanna wszystko mi mówi - szepnęła przeorysza.

Odchyliła się na oparcie krzesła i Annetta zauważyła, że jest już zmęczona rozmową. Ponownie zamknęła oczy i obróciła twarz do słońca.

- Czy mam już iść, wielbna matko?

- Mm? Tak chyba będzie najlepiej - mruknęła przeorysza, nie otwierając oczu. - Czy możesz po drodze zawołać tu Giovannę?

Kiedy Annetta podeszła do drzwi, odwróciła się, by mimo wszystko jej się ukłonić, i zobaczyła, że przeorysza jednak ją obserwuje. Siedziała wyprostowana z opadającymi na ramiona włosami. Świejące z tyłu słońce sprawiało, że wyglądała w tej chwili bardzo młodo.

- Jeszcze jedno, *suora*.

- Tak?

- Powiem *suorze* Purificación, że będziesz pracować w ogrodzie ze *suorą* Annunciatą. Na pewno znajdzie tam dla ciebie jakieś użyteczne zajęcie.

Annetta popatrzyła na nią z konsternacją, nie wierząc własnym uszom.

- Wielbna matko?!

- Słyszałaś, co powiedziałam.

- Ale...

- Życie duchowe w chórze, które dla siebie wybrałaś, nie zawsze dobrze nam... służy. - Umilkła na chwilę. - Może ujmę to inaczej - nie warto siedzieć sześćdziesiąt lat w jednym pokoju i tylko wyglądać przez okno. Musisz mi zaufać...

- Nie sądziłam, że...

- To wszystko, *suora*. - W głosie przeoryszy pojawił się chłodny ton. - Uważam, że to najlepszy sposób, by zadowolić wszystkich zaangażowanych w tę sprawę. W końcu jestem tu jeszcze przeoryszą. Tak się przynajmniej mówi.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

- Jak ci się spodobała nasza wielebna przeorysza?

Suora Annunciata była pogodna, pełna energii, miała rumiane, okrągłe policzki i była opalona, w przeciwieństwie do innych sióstr. Wydawała się też nie zauważać nadąsanej miny Annetty, która posłusznie zgłosiła się rano do pracy w ogrodzie.

- Z pewnością cieszy się dobrym zdrowiem - odparła Annetta wymijająco. - Oczywiście jak na swój wiek...

- Tak, to prawda, że jest już bardzo stara i... - Siostra Annunciata popukała się znacząco w głowę. - Rozumiesz?

- Nie, *suora*, moim zdaniem miewa się całkiem dobrze, I wcale nie jest taka głupia, jak tu niektórzy sądzą - mruknęła jeszcze pod nosem.

- Tak, właśnie tego można się spodziewać w tym wieku. - Annunciata ponownie pokiwała głową.

- Nie, *suora*, mówiłam przecież, że... - zaczęła Annetta, ale *suora* Annunciata ruszyła dziarsko do przodu, najwyraźniej zadowolona, że ma nową pomocnicę.

- Zdaje się, że byłaś tu u nas dawniej jako *conversa*. - Starsza zakonnica obróciła się w jej stronę i uśmiechnęła się, ukazując dwa przednie nieco za duże zęby. - Wiesz zatem, co należy robić w ogrodzie, prawda?

- Tak, *suora* - potwierdziła lodowatym tonem Annetta. Musiała, tak jak wszystkie nowicjuszki, pracować kiedyś w ogrodzie i najchętniej by o tym zapomniała. Jednak *suora* Annunciata nie zwracała uwagi na to, w jakim Annetta jest nastroju.

- To świetnie, doskonale! Chodźmy dalej...

Dotarli do ogródka warzywnego, gdzie przy ścianie leżał stos dyń i melonów.

- Chwileczkę, *suora*, coś mi się stało. - Annetta po raz pierwszy uniosła suknię i ukazała delikatne, wyszywane pantofelki.

- Hm, tak... - Annunciata popatrzyła krytycznie na atłasowe buciki, koronkowy kołnierzyk oraz aksamitną sakiewkę, którą Annetta zawsze nosiła przytroczoną do paska. - To na nic, na nic. Widzę, że musimy ci znaleźć odpowiedni strój do pracy.

- Nie, tak jest w porządku. - Annetta, unosząc suknię, przeszła po bruku. Mogła włożyć zwykłe buty, ale chciała, żeby stało się jasne, że zupełnie nie pasuje do tego miejsca i tej pracy.

- Cóż, może dzisiaj damy sobie spokój z warzywniakiem - powiedziała w końcu Annunciata. - *Suora Veronica* jest w tej chwili w herbarium i na pewno znajdzie ci tam jakieś zajęcie. Chodźmy jej poszukać, dobrze?

Pracę w herbarium zawsze uważano w zakonie za coś wyjątkowego. I chociaż Annetta doskonale wiedziała, gdzie znajduje się niski budynek na końcu kuchennego podwórka, w którym suszyło się i selekcjonowało różnego rodzaju zioła, to jednak była tam zaledwie parę razy w życiu. Podłogę herbarium stanowiła po prostu ubita ziemia, w środku było chłodno i unosił się tam przyjemny zapach lawendy, rozmarynu, rumianku i ruty.

W pomieszczeniu znajdowało się już kilka innych zakonnice, zajętych sortowaniem ziół i ich kwiatostanów. Kobiety wieszały część ich na belkach u powały, a część układały na półkach na papierowych podkładach. Inne uważnie dzieliły już wysuszone zioła na części kwiatowe i łodygi, pozostałe wyluskiwały nasiona, były też takie, które zbierały wyłącznie wysuszone pączki, płatki czy korzenie określonych roślin. W końcu były tam też zakonnice, które pakowały zioła do torebek, skrzynek czy słoików, a następnie sporządzały na nie odpowiednie etykiety, tak by można je było sprzedać bezpośrednio zielarzom albo aptekom z Veneto.

Annetta szła za *suorą* Annunciatą, która co jakiś czas zatrzymywała się, by uszczknąć kawałek listka lub pączek, rozetrzeć go między palcami i powąchać, sprawdzając jego jakość. Niekiedy kiwała głową z wyraźną satysfakcją, to znowu kręciła nią i kazała zabrać roślinę do dalszego suszenia,

Zakonnice pracowały chętnie i wydajnie. Mimo że większość stanowiły *conversy*, można było znaleźć wśród nich kilka chórzystek, chociaż one też, podobnie jak tamte, nosiły ciężkie habity i drewniane saboty. Pracowały w milczeniu i takim skupieniu, że działało to niczym balsam na skołataną nerwy Annetty. Różniło się to bardzo od tego, co działo się w klasztorze, od pełnej napięcia atmosfery oraz nieprzyjemnych uwag *suory* Purificación i innych arystokratek. A jednak istniała możliwość, że któraś z tych zakonnice w ogrodniczych kapeluszach z szerokim rondem miała tu tajemnego kochanka, mężczyznę, którego widziała w ogrodzie, którego oddech poczuła na szyi i we włosach. Myśl o nim nawet teraz wywoływała w niej tak silne emocje, że nagle robiło jej się słabo.

- No proszę, *suora*. - Twarz *suory* Annunciaty rozjaśniła się na widok jej miny. - Wygląda na to, że mimo wszystko polubisz tę pracę...

Annetta, która w ogóle nie miała zamiaru poświęcać się jakiegokolwiek pracy, oderwała wzrok od suszących się u powały ziół.

- Nie jestem tutaj z własnej woli, ale na polecenie wielebnej matki - odparła, niezadowolona, że się zdradziła.

Jednak *suora* Annunciata nie przejęła się tą uwagą.

- Cóż, wszystkie jesteśmy tu przede wszystkim z woli Boga, więc należy się jej poddać - stwierdziła. - *Suora* Veronica nie jest tutaj wyjątkiem. Idź do niej, moja droga. Powiedz, że cię przysłałam. - Annunciata pchnęła ją delikatnie do przodu.

Pokój *suory* Veroniki przylegał do herbarium, ale był od niego oddzielony niewielkim przedsionkiem. Annetta weszła do środka i znalazła się w wielkim pomieszczeniu, które mogło być kiedyś stajnią. Po jego jednej stronie znajdowała się drewniana klatka schodowa, a miniaturowe schodki prowadziły na antresolę. Po jej trzech bokach stały półki z książkami, czwarty zajmowało wielkie okno, które, jeśli dobrze oceniła kierunki świata i natężenie słońca, wychodziło bezpośrednio na zatokę. Na środku pomieszczenia stał dziwny drewniany przedmiot, przypominający kazalnicę. W powietrzu unosił się ostry zapach, którego nie potrafiła rozpoznać.

Na początku wydawało jej się, że nikogo tu nie ma, ale potem zauważyła niewielką postać, siedzącą za kazalnicą. *Suora* Veronica miała końską twarz i rzymski nos, nie była specjalnie stara, ani też zbyt młoda. Na nosie miała binokle, w jednej dłoni trzymała coś, co wyglądało jak pióro, w drugiej zaś - dziwną szklaną kulę. Zakonnica wpatrywała się tak intensywnie w coś, co miała przed sobą, że Annetta sądziła, iż w ogóle jej nie dostrzegła. Po chwili jednak usłyszała:

- Tak, o co chodzi?

- Przepraszam, że przeszkadzam. Przysłała mnie *suora* Annunciata.

- Annunciata? Po co?

Veronica zanurzyła pióro w jednym z paru stojących przed nią kałamarzy, a następnie zaczęła kreślić kolejne znaki na papierze.

- Mam pracować w ogrodzie. Tak nakazała wielebna matka - dodała, bo poczuła się dziwnie w jej towarzystwie.

- Bonifacia? Ale to przecież nie jest ogród... - zauważyła *suora* Veronica tak nieobecny tonem, jakby znajdowała się gdzieś bardzo daleko. Po chwili powróciła do pisania i Annetta odniosła wrażenie, że w ogóle o niej zapomniała. Kiedy w końcu uniosła głowę, najwyraźniej zdziwiła się, widząc przed sobą młodą zakonnice. - Przepraszam, ale źle trafiłaś. To nie jest ogród - powtórzyła spokojnie. Miała niski, przyjemny głos, ale dziwnie suchy, jakby w jej ustach brakowało wilgoci.

Annetta rozejrzała się dookoła i musiała jej przyznać rację. Pokój wyglądał bardziej na bibliotekę czy *scriptorium* niż zwykły ogród lub nawet herbarium, ale mimo niechęci do pracy

Annetta zaciekała się tym, co *suora* Veronica robiła w tym niezwykłym, wypełnionym książkami pomieszczeniu,

- *Suora* Annunciata uznała, że mogę być tu użyteczna - powiedziała niepewnie.

Zakonnica w końcu odłożyła pióro i popatrzyła znad okularów na Annetę.

- Wiem, kim jesteś. Byłaś kiedyś nowicjuską, a teraz masz złożyć śluby. To ty przeżyłaś katastrofę statku i trafiłaś na tereny imperium osmańskiego.

Annetta zwykle unikała tego tematu, teraz jednak zaskoczyła ją bezpośredniość *suory* Veroniki, więc tylko skinęła głową.

- Tak - odrzekła. - Czy mogę zobaczyć, co robisz, *suora*?

- Proszę. Wiele roślin, które maluję, pochodzi z terenów imperium.

Kiedy Annetta podeszła do kazalnicy, zauważyła, że zakonnica w istocie nie pisała, ale malowała. To, co wydawało się piórem, było cienkim pędzelkiem. Na pulpicie przed Veronicą leżały dwie kartki jednakowej wielkości, a na nich zakonnica namalowała po dwa kwiaty. Ich długie, wrzecionowate łodygi zajmowały większą część kartek. U góry znajdowały się po dwa jakby nabrziałe od deszczu kwiaty, które przypominały turbany. Lśniły w słońcu pięknymi czystymi barwami: purpurą, cynobrem, magentą, a także jaskrawym różem, który przechodził w łagodną, koralową barwę.

Pierwszy kwiat, na który zwróciła uwagę, był niemal całkowicie okrągły i przypominał misę, a rozchylone u góry płatki ukazywały fragment słupka. Drugi wyglądał jak mandolina i miał bardzo delikatne płatki. Veronica namalowała go tak, jakby zerwano go o świcie, tak że wciąż miał lekko zwinięte płatki.

- Jakie piękne! - wykrzyknęła zadziwiona Annetta.

Suora Veronica zrobiła zadowoloną minę.

- Poznajesz je?

- Oczywiście. - Annetta skinęła głową. - W ogrodach sułtana było dużo tego rodzaju kwiatów, ale nie wiem, jak się nazywają.

- To szachownice cesarskie - wyjaśniła zakonnica, której pochlebiło tak duże zainteresowanie. - I rzeczywiście, tak jak inne najpiękniejsze kwiaty w naszym ogrodzie, pochodzą z terenów imperium osmańskiego.

- Mówiła mi o nich *suora* Bonifacia - przypomniała sobie Annetta. - To jej brat przywiózł cebulki tych kwiatów do Wenecji.

- Tak, to był początek ogrodu. Ale od tego czasu nasi kupcy przywozili inne kwiaty, w tym, jak mówiłam, najpiękniejsze od Turków: hiacynty, anemony, tulipany... Ale niektóre pochodzą też z Indii lub Chin, a także wysp Nowego Świata, gdzie uprawia się rośliny na przyprawę. - Veronica

wytarła dłonie szmatką. - Mamy rośliny ze wszystkich zakątków świata. Na początku stanowiły jedynie ciekawostkę, ale teraz wiele osób chciałoby je mieć. Wielu bogaczy pragnie założyć ogrody, które świadczyłyby o ich zamożności, a jednocześnie stanowiły miejsce odpoczynku. Inni po prostu uwielbiają ich piękno, tak jak hrabia, brat przeorowsy, który zachwycił się ogrodami botanicznymi w Pizie i Padwie.

Annetta raz jeszcze spojrzała na obrazki.

- Ten mi się najbardziej podoba - powiedziała, wskazując czwarty z kwiatów. - Wydaje mi się, że był różowy i biały, a przy samej łodydze zielonkawosrebrny.

- Wszystkie są cenne, ale najbardziej te różnobarwne. - Wskazała białoczerwone prążki. - Popatrz przez to. - Podała Annetcie szklaną kulę, którą przez cały czas trzymała w lewej ręce. - Lepiej przez to widać. Używają tego nasze koronczarki.

Annetta popatrzyła przez kulę i obrazek nagle stał się większy.

- Och, proszę! Mrówki! - wykrzyknęła. Na łodydze białoróżowego kwiatu zauważyła teraz dwie malutkie mrówki.

Przesunęła szklaną kulę nad inne obrazki, zastanawiając się, co jeszcze zdoła dostrzec. Na jednym odkryła dwie połyskujące krople rosy tuż nad pojedynczym liściem. Na innym malutkie, skrzydlate owady z mieniącymi się w słońcu skrzydłami i kawałek wystającej zza łodygi gąsienicy.

- Są tak rzeczywiste, że chciałoby się je wziąć do ręki - powiedziała z radością. - Ale czy to nie są kwiaty wiosenne, *suora*?

- Masz rację, namalowałam je dawno temu, na zlecenie pewnego kupca, ładnych parę lat temu. Ale teraz jego przedstawiciel przyjechał do Wenecji i zamówił jeszcze jeden obraz. Mam je niedługo mu przekazać, ale chciałam ponownie wszystkie przejrzeć i popracować nad nimi.

Suora Veronica zdjęła okulary i zaczęła rozcierać nos. Wyglądała bez nich znacznie młodziej, chociaż miała przekrwione oczy.

- Naprawdę, *suora*, wykonujesz tu prawdziwie bożą pracę - stwierdziła Annetta. Miał to być komplement, ale starsza zakonnica drgnęła, jak ukłuta szpilką.

- Wszystkie robimy to, co umiemy. - Włożyła z powrotem okulary. - A ja uważam, że rzeczywiście robię to wszystko na chwałę Boga, niezależnie od tego, co mówi się w klasztorze...

- Ależ ja nie chciałam...

- Niektóre z nas pracują w ogrodzie, inne w herbarium, a ja... maluję rośliny. - Popatrzyła twardo na Annettę. - To wcale nie jest próżność, niezależnie od tego, co ktoś na ten temat mówi!

- Ale kto? Kto, *suora*? - spytała zdezorientowana Annetta. Jednak Veronica jej nie słuchała.

- Mówię ci, że to jest prawdziwie boża praca. I nie pozwolę, by ktoś twierdził co innego!

- Ależ tak, oczywiście - zapewniła ją Annetta, ale Veronica nie dała się tak łatwo uspokoić.

Na pulpicie przed nią znajdowały się szklane naczynia z różnego rodzaju barwnikami potrzebnymi do zrobienia farb. Veronica sięgnęła po jedno z nich, ale była na tyle wzburzona, że upuściła je na kamienną podłogę. Zmielony cynober rozsypał się, tworząc coś w rodzaju wielkiej krwawej plamy.

- Popatrz, co narobiłaś! - Pchnęła Annettę w stronę wyjścia. - No, idź już sobie! Idź!

- Ale... mam ci przecież pomagać, *suora*.

- Nikt mi nie może pomóc. - Veronica pochyliła się i zaczęła zbierać kawałki szkła.

- Pozwól, że ja pozbieram. - Annetta również przykucnęła. - Skaleczysz się, jeśli nie będziesz uważać.

- Nie, ja to zrobię. - *Suora* Veronica przysiadła na kolanach i przeciągnęła dłonią po włosach. - Idź na górę. - Wskazała miniaturowe schody. - Mój gość ma tu zaraz być. Daj znać, jak będzie się zbliżał, a ja spróbuję to sprzątnąć.

Annetta weszła kręconymi schodami na antresolę. Mimo że zakonnice nie mogły mieć swoich książek w pokojach, tutaj było ich pełno. Annetta nie widziała nigdy aż tylu woluminów w jednym miejscu. Niektóre były bardzo stare, inne wyglądały tak, jakby dopiero niedawno oprawiono je w cielejącą skórę, a tłoczenia na ich grzbietach lśniły czystym złotem.

Przechodząc, czytała kolejne tytuły: *De Historia Stripium*, *Der Gart der Gesundheit*, *Herbarum vivae eicones*. Annetta zastanawiała się, skąd te cudzoziemskie książki mogły się wziąć w klasztorze. Być może przywozili je ci kupcy, którzy zamawiali obrazy u *suory* Veroniki. Czy są cenne? Annetta nie miała pojęcia. Chociaż umiała czytać, nie przepadała za książkami, zresztą te, z którymi zwykle miała do czynienia, napisano po łacinie, której do końca nie rozumiała.

Poniżej zauważyła Veronicę, klęczącą w czerwonym proszku. Kiedy zakonnica zaczęła go zbierać, jej dłonie, a także rękawy habitu zabarwiły się krwście. Annetta popatrzyła na nią z namysłem, zastanawiając się, co mógł oznaczać jej wybuch. Wchodząc tutaj, Anetta widziała, jak bardzo *suora* Veronica była pochłonięta pracą, nic dziwnego, że się rozzłościła na myśl, iż ktoś mógłby jej w tym przeszkodzić. Chociaż z drugiej strony było to dziwne zajęcie dla zakonnicy. W haremie, który pod wieloma względami przypominał klasztor, kobiety miały bardziej ograniczoną swobodę ruchów, ale za to olbrzymią swobodę ducha. Tu jednak było inaczej. Pomyślała o *suorze* Purificación i *suorze* Bonifacii, o nieznannej zakonnicy i jej kochanku, o *suorze* Annunciacie zajmującej się ogrodem i teraz o *suorze* Veronice i jej obrazkach. Pojawiały się tu różnego rodzaju naciski i pułapki, których nawet Annetta, obdarzona naturalnym zmysłem orientowania się w tego rodzaju sytuacjach, nie potrafiła tak naprawdę zrozumieć.

W tym momencie usłyszała znajomy okrzyk gondoliera.

Natychmiast przypomniała sobie, że ma wyglądać gościa, i podeszła do okna.

Słońce świeciło tak mocno, że w pierwszej chwili musiała zamknąć oczy. Woda w zatoce była jasnozielona, przed sobą miała ogród i kopułę kościoła San Giorgio Maggiore, a jeszcze dalej zasnutą mgiełką drżącego powietrza pozostała część Wenecji. Na wodzie dostrzegła najrozmaitsze statki i łodzie; niektóre płynęły dalej, a inne w stronę klasztoru.

Wśród tych ostatnich dostrzegła niewielką łódź z dwójką pasażerów. Jeden był mały, pękaty, z żółtym turbanem na głowie, a drugi...

Annetta wytrzeszczyła oczy. *Santa Madonna!* Czy to możliwe? Przez chwilę nie mogła uwierzyć własnym oczom. Znowu on?! O nie!

Okazało się jednak, że wszystko jest możliwe. Mężczyzna miał kręcone, sięgające do ramion włosy, oczy zimne niczym dwa kamienie i jakże znajomą sylwetkę. Siedział, opierając się jedną nogą o burtę - dokładnie tak, jak wtedy, kiedy zobaczyła go po raz pierwszy przez lunetę.

To znowu był ten intruz.

TLR

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Rano po wizycie w *ridotto* Carew wybrał się ponownie do klasztoru. Tyle że tym razem z zupełnie innymi oczekiwaniami, w towarzystwie Ambrose'a Jonesa.

Jasnozielone wody laguny lśniły tak, że aż bolały oczy, John spoglądał więc na mury klasztorne spod półprzymkniętych powiek. Widział przybliżające się wierzchołki topoli i cyprysów z ogrodu, a także połączone korony lip. Mógł w tej chwili łatwo wyobrazić sobie słynny ogród botaniczny, który miał okazję tak dobrze poznać w ciągu ostatnich tygodni, że poruszałyby się w nim z zawiązanymi oczami.

Carew drgnął niespokojnie na swoim miejscu z tyłu łodzi. Powinien przynajmniej uśmiechać się na myśl o przygodach na terenie klasztoru, a jednak jakoś wcale nie było mu do śmiechu. Teraz, kiedy już było po wszystkim, myślał bez przyjemności o siostrze, którą uwiódł. Była mu oczywiście wdzięczna i może aż nazbyt posłuszna. Na jego żądanie zrobili to bezpośrednio pod nosem młodszych zakonnic, praktycznie w ich dormitorium, a jednak nawet ten fakt, który dodawał całej przygodzie pikanterii, nie wydawał mu się szczególnie istotny. Miał wrażenie, że potrzebuje czegoś innego... Co to może znaczyć? Że jest zmęczony? Zniechęcony? Carew popatrzył ponuro w głąbię. A kogo to może obchodzić? Nie powinien się tym w ogóle przejmować. Musi wykonać swoje zadanie i pomóc Jonesowi, tak jak obiecał, dowiedzieć się czegoś o zakonnicy, która była w haremie. A potem będzie już wolny - od Pindara, Jonesa, Zuanne Memmo, a nawet Constanzy. Stanie się po prostu wolnym człowiekiem.

Nagle poczuł, że ma ochotę wrócić do domu.

Dopiero po chwili zorientował się, że siedzący nieco dalej z przodu Ambrose chce mu coś powiedzieć.

- Tak, słucham?

- Chodź bliżej, John. - Jones skinął na niego. - I uważaj, żeby nas nie wywrócić - dodał szybko, kiedy Carew wstał gwałtownie.

Ale zręczny niczym kot służący już siedział przy nim.

- Słucham pana?

- Przede wszystkim siedź spokojnie. - Jones sprawdził jeszcze pudełka, w których trzymał kupione dla Parvisha rzeczy.

Carew popatrzył na niego bez entuzjazmu. Zaczął nawet żałować decyzji, że zgodził się mu towarzyszyć w czasie tej wizyty. Ambrose w swoich orientalnych szatach i żółtym turbanie wyglądał niczym olbrzymie pisklę, które się właśnie wykluło. Jego nos wydawał się z bliska

jeszcze większy i z pewnością mógł stanowić ozdobę gabinetu osobliwości. Carew przyglądał się mężczyźnie przez jakiś czas, a następnie spojrzął w stronę otoczonej różową mgiełką Wenecji.

- Pewnie zastanawiasz się, dlaczego wziąłem cię ze sobą - odezwał się Jones.

Carew westchnął w duchu. Wcale nie miał w tej chwili ochoty na śledztwo.

- Trudno mi powiedzieć.

- Dziwne, że cię to nie ciekawi - rzekł z namysłem kupiec. - No proszę, może spróbujesz zgadnąć?

- Słyszałem, że w tym klasztorze jest zakonnica, która potrafi malować. - John unikał jego wzroku.

- To prawda, siostra Veronica. Potrafi w niezwykle sposób rysować i malować rośliny, do prawdy niezwykle... - Jones zatarł dłonie w charakterystyczny sposób, kiedy mówił o swoich skarbach. - Znam ją od bardzo dawna. Teraz wszyscy zamawiają jej obrazki, ale ja oczywiście byłem pierwszy.

- Jest więc twoją informatorką? - Carew nie zamierzał owijać niczego w bawełnę. A potem pomyślał: Powinna przecież coś wiedzieć na temat zakonu i tego, co się dzieje w Wenecji.

Jones przyjął spokojnie jego słowa.

- Trudno by cię posądzić o subtelność, co, John?

- Lata praktyki - rzucił Carew. - Muszę jakoś nadążyć za moim panem.

Spojrzął przez ramię Ambrose'a na skrawek ziemi nazywany Giudecca, gdzie wielmożowie wybudowali sobie letnie rezydencje z ogrodami i sadami ciągnącymi się aż do wody, a także na piaszczysty kawałek plaży, gdzie jacyś chłopcy łowili kraby. Dobry Boże, wiedział, że nie powinien tu przyjeżdżać, ale w tej chwili nie mógł już zawrócić.

- Za twoim panem, powiadasz? - Jones zasłonił dłonią oczy. - Chciałbym za moment wrócić do tego tematu, ale najpierw...

- Sądziś więc, że ta malarka może wiedzieć coś na temat zakonnicy z haremu? - przerwał mu Carew.

- Bardzo możliwe. - Ambrose ulokował się wygodniej na poduszkach. - Jeśli ktokolwiek wie coś o niej i jej klejnotach, to z pewnością siostra Veronica. Wciąż ma gości i słyszy o wszystkim, co dzieje się w zatoce. Nie wiem jednak, czy ta tajemnicza dama w ogóle istnieje, wbrew temu, co uważa Paul...

- Kto? Ta zakonnica z haremu?

- Właśnie.

- Ale przecież Prospero powiedział...

- Och, ci jubilerzy! - Jones machnął ręką, którą wcześniej zasłaniał oczy. - Wciąż wymyślają jakieś historie. Wcale bym się nie zdziwił, gdyby się okazało, że ktoś ukradł te klejnoty, a potem zaczął rozpuszczać plotki. W Rialto wciąż krążą jakieś opowieści, ale rzadko które są prawdziwe. - Spojrzał na swego rozmówcę. - Tobie chyba nie muszę tego mówić.

- Sam nie wiem - mruknął Carew.

Nie pamiętał, czy Jones słyszał to, co Prospero opowiedział Pindarowi. Jednak pamiętał niezwykle dokładnie scenę, która parę godzin później rozegrała się w *ridotto* Zuanne Memmo. Błękitny brylant sułtana rzeczywiście istnieje! Ciekawe, czy Jones, który potrafił uzyskać informacje ze wszystkich możliwych źródeł, dowiedział się o tej ich wizycie? Carew postanowił to sprawdzić.

- A czy błękitny brylant sułtana to też wymysł z Rialto? - spytał, obserwując dokładnie interlokutora.

- Niemal na pewno - odparł stanowczo Jones. - Wiem, że Pindar myśli inaczej. Coś go opętało. Ale nawet gdyby ten klejnot istniał, wolałbym, by twój pan nie wmawiał sobie, że ów klejnot ma jakiś, nawet bardzo odległy związek z Celią Lamprey. - Teraz z kolei Jones spojrzał uważnie na Johna, starając się ocenić jego reakcję.

Carew zamyślił się na chwilę.

- Więc wiesz wszystko na ten temat, tak, panie?

- Czy wiem o Celi Lamprey? - Jones zaśmiał się na widok jego miny. - Znałem ją, gdy była jeszcze dzieckiem. Znałem też jej ojca, Panie świeć nad jego duszą. Wszyscy kupcy w Londynie słyszeli o katastrofie jego statku. Na *Celii* było wiele towarów i stracili wtedy masę pieniędzy. Jednak Pindar nie powinien się łudzić, że ta zakonnica może być Celią Lamprey. - Jones spojrzał na niego twardo. - Podobno ją widziałeś. Czy to prawda, John?

- Tak, to prawda - odparł Carew, ale zaraz dodał: - Tak mi się przynajmniej wydaje.

- Nie masz więc pewności?

- Nie, jestem pewny, że to była ona. - Znowu się zawahał. - Przynajmniej wtedy... byłem.

- Kiedy to było?

- Cztery lata temu. Tak cztery - powtórzył - chociaż wydaje się, że dawniej. - Popatrzył dalej, na wody zatoki, jakby szukając gdzieś za horyzontem uciekających wspomnień. - Byłem tam wtedy z Tomem Dallamem.

- Tym organmistrzem?

- Tym samym. - Carew skinął głową.

Tom Dallam!

Dawno o nim nie myślał. Teraz przypomniał sobie jednak wspólną wyprawę do haremu. Dallam naprawiał tam organy będące prezentem dla sułtana. Działo się to na niewielkim, wyłożonym marmurem dziedzińcu, ale zaprzyjaźnieni strażnicy dali im znać, że mogą podejść do muru okalającego wewnętrzny ogród haremu. Carew pamiętał jak dziś, że kiedy spojrzął przez zakratowane okienko, zobaczył około trzydziestu konkubin Wielkiego Turka. Zapatrzył się wtedy na bawiące się piłką dziewczęta i strażnicy zaczęli aż tupać, żeby wrócili z Tomem na swoje miejsce.

- Ale ja przez dłuższy czas nie mogłem się ruszyć... - Carew ponownie się zawahał. - Patrzyłem na dziewczynę, która tak bardzo różniła się od pozostałych.

John niemal miał ją w tej chwili przed sobą. Siedziała nieco dalej, ubrana w bardzo drogi strój. Nosiła też klejnoty, w tym naszyjnik z pereł. Miała bardzo jasną karnację i piękne złote włosy o lekko rudym odcieniu. Tom Dallam ciągnął go za ramię i mówił, że muszą już iść. Jednak Carew stał jakby wrośnięty w ziemię, ponieważ dopiero wtedy zdał sobie sprawę z tego, kim jest ta nieznajoma. Przetarł teraz oczy, przypominając sobie to, co wówczas powiedział: „Na miłość boską, Tom, to Celia. Celia Lamprey”.

- Wiedziałem, że to ona. Wszędzie bym ją rozpoznał...

- Bardzo dobrze, ale moim zdaniem jedna dziewczyna w spodniach przypomina wszystkie inne dziewczyny w spodniach. Łatwo się pomylić. - Ambrose zachichotał. - Mieliście z tym niezły galimatias! Zaginiona narzeczona Paula w kurniku sułtana! - Wyglądał na wielce rozbawionego tą uwagą. - A nie przyszło ci do głowy, że może byłoby lepiej, gdybyś zachował tę informację dla siebie? Zresztą nieważne. - Westchnął głęboko. - Co się stało, to się nie odstanie.

Jones nagle spoważniał i wyprostował się.

- Wziąłem cię ze sobą jeszcze z jednego powodu i teraz widzę, że dobrze wybrałem - podjął. - Słyszałem też, że znasz to miejsce. - Skinął głową w stronę klasztornych murów.

- Znam to miejsce? - Carew zacisnął pięść, aż usłyszał trzask knykcii. - Nie rozumiem...

- Och, wiem o twoich miłosnych podbojach, jeśli można to tak nazwać. Ale nie obawiaj się, nie ma to dla mnie najmniejszego znaczenia. Zresztą to szaleństwo trzymać za murami aż tyle kobiet. Katolicy, heretycy, czegoż się można po nich spodziewać? Jesteś zbyt młody, ale ja pamiętam likwidację zakonów za czasów Henryka VIII, moim zdaniem jak najbardziej uzasadnioną... Oczywiście, gdybyś był moim służącym, kazałbym cię wychłostać - dodał z pełną zadowolenia miną. - Na szczęście, nie muszę się tobą przejmować. Powiedz zatem, dlaczego on tego nie robi? - Ambrose zanurzył palce w wodzie.

- Dlaczego nie każe mnie wychłostać?

Jones uśmiechnął się do niego łagodnie.

- Jesteś bystry, prawda?

Carew spojrział na rozmówcę, a potem gdzieś w bok. Rozmowa przybrała niespodziewany obrót, który nie bardzo mu się podobał.

- Służący, który nie służy - zaczął wyliczać Jones. - Kucharz, który nie gotuje... A to dopiero początek. - Popatrzył twardo na Carew. - Nie mówiąc już o tym, że zamykanie tyłu kobiet w jednym miejscu jest wbrew naturze. To nie-na-tu-ra-l-ne! No co tam, język ci kołkiem stanął? - spytał zniecierpliwiony na koniec.

Nawet gdyby John chciał zwierzyć się z czegoś Ambrose'owi - a wcale nie miał takiego zamiaru - to w tej chwili nic by nie powiedział, choćby pod groźbą piekielnego ognia.

- Nie, panie, ale cóż mam powiedzieć? - Carew mówił wolno, patrząc w oczy rozmówcy. - Zresztą pewnie i tak już wiesz, co o mnie myśleć.

Ale Jones stracił nagle zainteresowanie tym tematem.

- Nieważne. I tak się w końcu wszystkiego dowiem. Zawsze się dowiaduję... - Zdjął turban i potarł nim w zamyśleniu olbrzymi nos. - Chodzi o to, że twój pan popadł w niebezpieczną melancholię. A my musimy go z niej wyrwać, nim jeszcze bardziej sobie zaszkodzi.

Znajdowali się już blisko wyspy i Ambrose wciągnął głęboko powietrze do płuc.

- Powiadają, że w tym roku znowu będzie tu zaraza. Jest na to dostatecznie gorąco. No, ale ty wyjedziesz przed nastaniem lata, prawda, John? Tak przynajmniej słyszałem.

- Zaokrętuje się na pierwszy statek, który będzie płynął do Anglii. - Carew mógł mu udzielić przynajmniej tej informacji.

- Podjąłeś już więc decyzję? Kończysz służbę u Pindara? - Kiedy Carew nie odpowiadał, Jones pokiwał głową. - Być może nie mówił ci o pewnych sprawach, ale tak naprawdę, to on sam nie orientuje się w całej sytuacji.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

W końcu dotarli na wyspę. Gondolier przybił, zgodnie z instrukcjami, nie do głównej bramy, ale do skrawka lądu, gdzie znajdowała się przylegająca do ogrodu *riva d'acqua*, skąd mogli przejść przez ogród bezpośrednio do pracowni siostry Veroniki.

Carew uważał, że nikt nie korzysta z tego miejsca do cumowania i dlatego zawsze czuł się swobodnie, przechodząc przez nie do ogrodu, teraz jednak zrozumiał, że właśnie tędy przybywają klienci *suory* Veroniki. Mogli w ten sposób przejść do niej, nie naruszając spokoju innych zakonnice. Carew często widywał od zewnątrz tę pracownię, która wydawała się o wiele starsza od pozostałej części klasztoru i przypominała stajnię, teraz jednak znalazł się po raz pierwszy w chłodnym, wypełnionym książkami wnętrzu. Było tu bardzo jasno, gdyż przez duże okno wpadało światło od strony zatoki.

Wyszła do nich zakonnica, która trzymała w dłoni poplamioną na czerwono szmatkę.

- Witaj, *suoro* Veronica - zaczął Ambrose. - Mam nadzieję, że się nie skaleczyłaś?

- Nie, *signor*. To tylko jeden z moich barwników. - Ponownie wytarła dłonie, a następnie otrzepała poplamiony habit. Bez większego skutku. - Ale proszę, proszę, *signor* Jones. Obrazki są już gotowe. - Poprowadziła go w stronę stojącego na środku pomieszczenia pulpitu.

Carew usiadł przy drzwiach i obserwował *suorę* od tyłu. Zastanawiał się, dlaczego tak bardzo interesują go zakonnice. Te młode i troszkę starsze, chude i nieco grubsze, wszystkie wydawały mu się pociągające, a on nie miał pojęcia, skąd się to bierze. Pomimo wcześniejszego znudzenia teraz znowu zainteresował się *suorą* Veronicą, którą nawet mimo najlepszych chęci trudno by było uznać za szczególnie pociągającą.

Carew patrzył na zakonnice, zastanawiając się, jaka jest tak naprawdę. Jones uważał ją za genialną malarzkę, ale cóż, niewiele w niej mogło poruszyć wyobraźnię. Nie była stara, ale też i nie młoda. Była szczupła, chyba aż za bardzo, i miała wyraźnie inteligentną, ale zdecydowanie zbyt pociągłą twarz, oraz mocną, końską szczękę.

Te rozważania przerwał nagły ból klatki piersiowej. Kiedy zerknął w górę, zobaczył najpierw nogę Jonesa, a potem jego samego.

- Nie siedź tak beczynnie - burknął Ambrose. - Nie zabawię tu długo, a ty może zrobisz coś pożytecznego.

Carew wstał wolno, rozcierając zebra.

- Poczekam więc przy łódce, panie - powiedział, kłaniając się Jonesowi z przesadnym szacunkiem.

- Może rozejrzeć się po ogrodzie - odezwała się z wnętrza pomieszczenia *suora* Veronica.

W tym momencie rozdzwonił się srebrzyście klasztorny dzwon.

- Nie wiem, pani. Nie chciałbym, żeby zaszło coś niewłaściwego... - Posłał Carew znaczące spojrzenie.

- Nic złego się nie stanie - zapewniła go *suora* Veronica. - To był dzwon na *pranzo* i wszystkie siostry będą w refektarzu. - Zrobiła minę, jakby coś sobie przypomniała. - Hej, *suora*, gdzie jesteś? - zawołała w górę, a potem pokręciła głową. - Dziwne, jeszcze przed chwilą tu była... O, jest! Dlaczego się tam chowasz?! Chodź na dół! - wciąż zwracała się do jakiejś niewidocznej osoby. - Powinnaś iść teraz do refektarza. No chodź, nie wstydź się.

Suora Veronica obróciła się do Carew i wskazała zakonnicę, która schodziła z antresoli po kręconych schodkach.

- Możesz już iść, młodzieńcze. Tylko niczego nie zrywaj. - Pogroziła mu palcem. - *Suora* Annetta wskaże ci drogę.

Carew wyszedł za drugą zakonnicą. Po tym, jak grzebała się niczym mucha w smole na schodach, nie spodziewał się, że tak szybko dopadnie drzwi. Nawet nie zdążył się jej przyjrzeć. Teraz spieszył za nią ogrodową alejką.

- Chwileczkę, sestro!

Ona jednak jeszcze bardziej przyspieszyła. Szła ze spuszczoną głową i dłońmi w rękawach sukni.

- Zapewniam, że nie gryzę! - zawołał i ruszył za nią niemal biegiem.

Kobieta wydawała się bardzo zdenerwowana. Być może już od dłuższego czasu nie widziała mężczyzny.

- Jak się nazywasz? Benadetta?

Obejrzała się przez ramię, ale się nie zatrzymała.

- To nie po bożemu, sestro Benadetto, tak traktować gościa zakonu!

Carew obserwował ją od tyłu i stwierdził, że jest z pewnością znacznie młodsza od malarki. Była też szczupła, z wąską talią, która później rozszerzała się obiecująco. Szła jakimś dziwnym, falującym krokiem, którego nie widział u innych kobiet. Był też pewien, że niespecjalnie się umartwiała...

Ta myśl dodała mu wigoru. Zmęczenie i znudzenie, które czuł w gondoli, zupełnie zniknęły. Myśl o tym, by zrezygnować z niebezpiecznych eskapad, rozproszyła się niczym mgła nad zatoką. Carew patrzył na zakonnicę, czując, jak krew zaczyna mu żywiej płynąć w żyłach.

Minęli herbarium i znaleźli się w ogrodzie botanicznym okolonym przez żywopłot przycięty w różne geometryczne wzory. Młoda zakonnica obróciła się nagle i zasłoniła twarz ręką przed palącym południowym słońcem.

- To właśnie jest ogród - powiedziała nieoczekiwanie ciepłym i niskim głosem. - Na koniec *pranzo* znowu odezwie się dzwon, a wtedy powinienes stąd odejść, niezależnie od tego, co ci powiedziała *suora* Veronica.

Ton, jakim to powiedziała, wskazywał, że malarka nie zawsze stosuje się do panujących w zakonie reguł. Narastało w nim też przekonanie, że źle zrobił, przyjeżdżając tutaj. Nie przejmował się tym jednak. W końcu przybył tu jako służący Jonesa, więc w razie czego tamten będzie ponosił za wszystko odpowiedzialność. Carew stał więc, czekając na dalszy ciąg. Większość zakonnicek, z którymi się stykał, tylko szukała pretekstu, by móc porozmawiać z kimś obcym, zwłaszcza mężczyzną. Jednak ta była inna, ale kiedy chciała przejść obok niego, Carew zastąpił jej drogę.

- Proszę, zostań jeszcze chwilę - rzekł przymilnie, decydując się na zmianę taktyki. - Może mi powiesz... powiesz... - Rozejrzał się dokoła, jakby szukając natchnienia. - Jak nazywają się te rośliny?

- Jak nazywają się te rośliny? - powtórzyła zdecydowanie mniej przyjemnym tonem. - Nie próbuj na mnie swoich sztuczek!

Zdziwiła go tak nagła zmiana, ale też szybko doszedł do siebie. Jednocześnie wygrzebał coś z zakątków swojej pamięci.

- Chwileczkę, sestro! Czy myśmy już wcześniej nie rozmawiali?

Kiedy nie odpowiedziała, Carew wyciągnął rękę, by złapać dłoń, za którą skrywała twarz. Jednak ona ponownie odwróciła się do niego tyłem.

- I pamiętaj, że masz tu niczego nie ruszać - powiedziała pospiesznie, jakby przed chwilą biegła i teraz nie mogła tchu złapać.

- Hej!

Carew stał, przyglądając się jej uważnie. Dopiero teraz dostrzegł to, co powinien zauważyć znacznie wcześniej. Ta dziewczyna się go bała! Przypomniał sobie dzikiego królika, którego kiedyś zdybał w szopie. Zwierzątko siedziało przed nim całkiem spokojnie i dopiero gdy zwrócił uwagę na jego wznoszącą się i opadającą klatkę piersiową, zrozumiał, że jest przerażone.

Carew rozejrzał się dookoła. Po jednej stronie miał ogród i mur, a za nim wody laguny, po drugiej - zabudowania klasztoru. Przebiegł wzrokiem po oknach, chcąc sprawdzić, czy nikt ich nie podgląda, ale o ile mógł się zorientować, byli w tej chwili bezpieczni.

Dziewczyna zrobiła chyba to samo, bo zaraz powiedziała:

- Matka przełożona ma swoje pokoje tu, na górze... Nie próbuj mnie więc dotykać, *capito?* - I znowu wyrzuciła te słowa z siebie tak, jakby mówienie sprawiało jej trudność.

Carew wiedział już, skąd ją zna.

- Spotkaliśmy się tu wcześniej, prawda? - Nawet dla niego wydało się to przedziwnym zrzędzeniem losu. - To ty biegałaś po ogrodzie w samej koszuli nocnej.

To ciebie niemal udusiłem, dodał w duchu. To ciebie chciałem uwieść zaraz po spotkaniu. Nic dziwnego, że tak się mnie...

Stała ze spuszczonej głową, a on w dalszym ciągu nie widział jej twarzy. A potem zerknęła w stronę północnego skrzydła klasztoru, jakby spodziewała się kogoś tam zobaczyć. Czy możliwe, że mówiła prawdę na temat przeoryszy?

Stała obrócona do niego profilem i zauważył kosmyk ciemnych włosów, który wymknął się spod jej welonu. Dostrzegł piękny nosek z nieco rozszerzonymi nozdrzami, a także pieprzyk na prawym policzku. Carew zapragnął nagle, żeby została z nim jeszcze choćby parę minut. Nie chciał, żeby poszła. Miał wrażenie, że chce jej coś powiedzieć, ale nie mógł znaleźć odpowiednich słów, by to wyrazić.

Słońce świeciło niemiłosiernie. Czuł uderzenia jego promieni na szyi, ramionach, gołej głowie... Było bardzo gorąco i w tym skwarze cały ogród migotał kolorami. Barwy kwiatów stapały się ze sobą w drżącym powietrzu, tworząc nierzeczywistą atmosferę. Panowała tu cisza typowa dla tak gorących miejsc, jakby ogród wstrzymywał oddech w skwarze południa. Carew usiłował przypomnieć sobie wygląd tej dziewczyny, ale bez skutku. Pamiętał tylko, że wydawała się mała i krucha w jego ramionach.

A potem zakonnica nagle obróciła się w jego stronę i spojrzeli sobie w oczy.

- Benadetto... - Carew usłyszał własny głos.

Ona jednak potrząsnęła głową.

- Nie - rzekła cierpko. - Annetto! Mam na imię Annetta!

John chyba po raz pierwszy w życiu zapomniał języka w gębie. A potem stał niczym głupek, kiedy ona przeszła obok z uniesioną głową. Tak blisko, że łatwo mógł ją przytrzymać. Odniósł wręcz wrażenie - a może mu się tylko wydawało? - że ich ręce zetknęły się na chwilę, a ona dotknęła palcami wnętrza jego dłoni.

Carew patrzył za odchodzącą postacią. I znowu szła w ten dziwny, falujący sposób. Miał wrażenie, że już kiedyś coś takiego widział, ale z pewnością nie w czasie ostatnich lat, spędzonych w Wenecji. Ale teraz ten chód wydał mu się dziwnie znajomy, zwłaszcza tutaj, w tym ogrodzie. Nie miał jednak pojęcia dlaczego.

Nie zastanawiał się nad tym zbyt długo, gdyż w następnej chwili zauważył, że Annetta coś zgubiła. Schylił się, gdy tylko zobaczył kolorowy lśniący przedmiot na ziemi, i po chwili miał w dłoni wyszywaną różową sakiewkę. Dokładnie taką, w jakiej Zuanne Memmo trzymał wielki błękitny brylant sułtana!

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Kobiety podróżowały w spiekocie przez całe lato, wciąż kierując się na północ. Zatrzymywały się w wioskach i osadach, gdzie pokazywały swoje sztuczki w czasie targów i różnego rodzaju dni świątecznych. Jak to miały w zwyczaju, jechały w nocy, by zaoszczędzić sobie i zwierzętom niewygód związanych z gorącem. Parę razy, kiedy zboczyły w stronę morza, proponowano im transport łodziami, które zabierały również wozy i konie. Maryam zżymała się trochę na koszty, ale po upale, który panował na lądzie - można było bez trudu usmażyć jajko na skałach - morze i lekka bryza wydawały się prawdziwym rajem.

Kiedy zaś pojawiały się na placach i rynkach, prezentowały się naprawdę wspaniale w swoich kolorowych strojach, z towarzyszeniem kakofonii dźwięków wygrywanych na cymbałach, bębnie, tamburynach i fujarkach. Ilkai, która dysponowała bardziej donośnym głosem niż sama Maryam, wykrzykiwała niczym herold: „Najwspanialsza trupa akrobatek z Salonik! Kobiety o światowej sławie, które występowały przed paszami, wezyrami, a nawet samym wielkim sułtanem! Jedyne, niepowtarzalne widowisko!”.

Za nią podążało sześć innych kobiet w dopasowanych kubrakach i szerokich u góry, ale zwężających się ku dołowi spodniach. Dalej szła Maryam - siłaczka z Salonik - z czerwoną opaską na głowie i szerokim pasem, mocno ściągającym jej bezkształtną kamizelkę. Czasami Maryam niosła na ramionach dwie córki Eleny - Nanę i Leyę, ale zwykle dziewczynki szły na rękach albo poruszały się wraz z innymi powyginane i zasupłane tak, że przypominały kraby, a Maryam ciągnęła wózek, na którym znajdowały się różne dziwne przedmioty: garnki, patelnie, kłody drewna, kule armatnie - wszystko potrzebne jej do występu. Za nimi szła Elena ze smutną, pobieloną kredą twarzą, w sukni zrobionej z wielu warstw pasków materiałów o najrozmaitszych kolorach. Cały jej strój był usiany cekinami i kobieta lśniła niczym lodowa tafla.

Wieśniacy zwykle witali je serdecznie, gdyż cudzoziemskie stroje i sztuczki kazały im zapomnieć o wrodzonej nieufności wobec obcych. Jednak zdarzało się, że za namową księży tłum występował przeciwko akrobatkom. Ludzie bili wtedy w dzwony, rzucali w nie kamieniami i spuszczali psy z łańcuchów, tak że musiały w skwarze wędrować do następnej osady.

Jednak wbrew wszystkiemu kobieta z morza miewała się całkiem dobrze wraz ze swym syrenim dzieckiem. Maryam nazwała ją Thessalą, ale to imię jakoś do niej nie pasowało. Kobieta nie mogła się do niego przyzwyczaić, tak jak do ubrań, które jej dały, czy swego miejsca spoczynku. Inne kobiety, wciąż nieufne wobec tej kalekiej nimfy, zwykle mówiły o niej „ona”, nie używając żadnego imienia.

Kobieta nadal była osłabiona po porodzie i wciąż leżała na posłaniu, które jej przygotowały na tyle wozu. Nie zdradzała zainteresowania czymkolwiek innym poza tym miejscem. Rany na nadgarstkach i kostkach goiły się wolno, ale na szczęście nie miała gorączki, która niemal z całą pewnością by ją zabiła. Jeśli zaś chodzi o nogi, to okazało się, że złamania były stare i już się zrosły, ale nikt nie przypuszczał, by mogła jeszcze kiedyś chodzić.

Kobieta w ogóle się nie odzywała, nawet do dziecka, z którym w zasadzie nie wiedziała, jak postępować. Owijała je jedynie w pieluszki i tuliła do siebie. Wkrótce stało się jasne, że nie ma pokarmu, a jeśli nawet, to tak mało, że na pewno nie wystarczyłoby maleństwu, dlatego Maryam musiała wymienić jednego z koni od Bocellego na dojną kozę. Elena przemawiała do kobiety we wszystkich znanych jej językach: włoskim, hiszpańskim, greckim, a nawet tureckim, ale bez rezultatu. Nimfa jedynie na nią patrzyła, w ogóle nie mrugając oczami, jakby nic z tego nie rozumiała.

- Czy jest głucha? A może głuchoniema? - pytała Maryam. - Albo niedorozwinięta?

- Nie sędzę. - Elena zmarszczyła brwi. - Myślę, że może mówić i nie brakuje jej rozumu, tylko... Sama nie wiem. - Chciała powiedzieć, że kobieta przypomina przybysza z innego świata, jakieś widziadło, ale nagle poczuła się niezręcznie. - Mam wrażenie, że w ogóle jej tu nie ma...

Tej nocy nie świecił księżyc i było zbyt ciemno, by podróżować, zatem kobiety rozbiły półkolem swoje okrągłe, kolorowe namioty, podobne do tych, których używają nomadowie. Kiedy dziewczynki poszły spać, Maryam i Elena położyły się na dworze, pod gwiazdami, tak że stykały się tylko ich małe palce. Co jakiś czas dobiegały do nich odgłosy z namiotów.

- Co masz na myśli?

- Słyszałam nawet, jak mówiła... Ale było to tylko jedno słowo.

- Jakie?

- *No.*

- Tylko tyle? - Maryam wpatrywała się w ciemność. - To może być nie po włosku, tylko po francusku, hiszpańsku czy ja wiem... Trudno coś z tego wywnioskować. A na co tak zareagowała?

- Pamiętasz ten mieszek z aksamitu, który miała zaszyty w ubranie? Ten, który bez przerwy otwiera?

- Tak, oczywiście.

- Więc jedna z moich córek, Nana, skądś go wygrzebała i zaczęła się nim bawić. Kiedy ta kobieta to zobaczyła, podniosła się na jednym łokciu i krzyknęła: *No*. Nana też to słyszała. Gdyby jej tam nie było, uznałabym, że się przesłyszałam.

Przez chwilę leżały w ciszy. Gdzieś z odległych wzgórz docierało do nich szczekanie psa pasterskiego i ciche dzwonięcie.

- Skąd ona się tu wzięła?

Ileż to razy się nad tym zastanawiały.

- I jak znalazła się w tej zapowietrzonej wiosce?

- Z całą pewnością nie pochodzi ze wsi. Widziałaś jej dłonie? Poza tym ma tak jasną skórę... Założę się, że nigdy w życiu nie pracowała. W każdym razie nie wykonywała ciężkiej fizycznej pracy.

- Myślisz więc, że jest damą?

- Damą? *Panagia mou!* - rzekła ze smutkiem Elena. - Z pewnością już nie i pewnie nigdy nią nie będzie.

- Bocelli mówił, że rybacy wyłowili ją z morza.

- Myślisz, że to prawda? - Elena obróciła się w ciemności w jej stronę.

Maryam zaśmiała się szorstko.

- Moim zdaniem on nie wie nawet, czym jest prawda. Pewnie ktoś ją tutaj zostawił, kiedy okazało się, że niedługo urodzi. A Bocelli musiał ją po prostu... znaleźć - zakończyła. Ale im dłużej o tym myślała, tym mniej jej się to wydawało prawdopodobne.

- Co za straszni ludzie! Jak mogli na coś takiego pozwolić? Wyobrażasz sobie, jak się czuła, bezsilna, zdana tylko na siebie...? - Elena potrząsnęła głową. - Ale skąd się tam wziął Bocelli? I dlaczego tak bardzo chciał się jej pozbyć? Dał za to dwa konie, rozumiesz? Aż dwa konie... - Nawet po dwóch tygodniach Elenę wciąż to dziwiło. - To więcej, niż dostałyśmy od sułtana za występy w Domu Szczęśliwości!

- Tak, udało mi się uzyskać dobrą cenę. Bocelli to głupiec - powiedziała Maryam, chociaż wciąż trawił ją jakiś niepokój związany z tą sprawą.

A może jednak ta cena nie była tak dobra? Ta myśl nie po raz pierwszy przysła jej do głowy. Coś dziwnego działo się w wioskach, do których przyjeżdżały. Najpierw były to drobiazgi, na które nie zwracała szczególnej uwagi: jakaś dziwna atmosfera, powiew wiatru, unoszący się w powietrzu kurz... Jednak parę dni wcześniej znalazły tuż przed swoim obozowiskiem jedzenie: koszyk jajek, trochę owoców, kilka bochenków praśnego chleba i oliwki na gałazce. Wszystko to ułożono starannie na liściach. Maryam sama nie wiedziała, czy jest to dar, czy jakaś ofiara prześluga. Być może Bocelli wcale nie jest głupcem... Maryam sięgnęła do kieszeni swej skórzanej

kamizelki. Mocne palce natrafiły na talizman syreny, który zabrała z zapowietrzonych wioski. Wiedziała, że będzie musiała powiedzieć wszystkim to, czego dowiedziała się od Bocellego, ale... jeszcze nie teraz.

„W tym regionie uważa się, że syreny przynoszą szczęście. Takie talizmany można znaleźć niemal na całym wybrzeżu. To dziwne, że nigdy wcześniej ich nie widziałas”. Niemal czuła teraz odór cebuli. „Ale prawdziwa syrena? Nikt nie wie, co z nią zrobić. Ludzie boją się do niej podejść. Pewnie by ją już zabili, ale boją się konsekwencji”.

A czy one nie powinny się ich bać? Czy uda im się dotrzeć cało do Wenecji z tą dziwną istotą?

Elena popatrzyła na niebo. Nie było na nim księżycy, ale gwiazdy świeciły bardzo mocno, jakby chciały ją przyciągnąć. Odniosła wrażenie, że unosi się w powietrzu. Bała się tej chwili, ale wiedziała, że musi to powiedzieć.

- Maryam? - rzuciła, zamykając oczy.

- Tak.

Elena podjęła decyzję.

- Inne kobiety uważają, że ona przynosi pecha.

- Przynosi pecha?

Maryam nie wydawała się zaskoczona tą informacją.

- Nie zauważyłaś, że nie zbliżają się do niej ani jej dziecka?

- Hm - Maryam chrząknęła z namysłem.

- A jakby tego było mało, mamy coraz mniej pracy... Ludzie w tych wioskach - Elena szukała właściwych słów - są jacyś dziwni. Trudno mi to wyjaśnić, ale mam wrażenie, że się nas boją.

Zatem Elena też to zauważyła.

- To biedacy, i tyle - mruknęła. - Nie powinnam była decydować się na tę trasę. Cóż, moja wina.

- Posłuchaj, ona będzie musiała jakoś zarabiać na swoje utrzymanie. Wiem, że nie chcesz o tym rozmawiać, ale...

- No dobrze, mów, co masz powiedzieć. - Maryam rzuciła to tak ostro, że Elena aż się wzdrygnęła. Wiedziała jednak, że musi dokończyć tę rozmowę.

- Kobiety twierdzą, że jest dla nas ciężarem.

- A ty? Co uważasz? - Elena milczała. - Pamiętaj, że dostałyśmy za nią sowitą zapłatę. Sama to powiedziałaś.

- Pewnie nigdy nie będzie zdolna do pracy! Nie mamy dla niej jedzenia...

- Dla niej? Przecież je tyle, co kot napłakał.

- ...a przecież nie możemy zabić konia czy kozy - ciągnęła cierpliwie Elena. - Zastanów się nad tym.

- Nad czym? Elena spuściła oczy.

- Rozmawialiśmy już o tym...

- Mamy ją zacząć pokazywać w czasie występów? Nie, wykluczone.

- Wiem, że masz swoje powody...

- Tak, znasz je doskonale i powinnaś je rozumieć lepiej niż inni. - Westchnęła ciężko. - A jednak jesteś jeszcze gorsza od tego kundla Bocellego!

Leżały w ciszy przez parę minut, ale po jakimś czasie Maryam poczuła, że Elena włożyła swoją chudą, kościstą rękę w jej wielką, naznaczoną odciskami dłoni. Trzymała ją tak długo, aż w końcu Maryam się rozluźniła.

- To nie musi być tak... tak... - trudno jej to było powiedzieć. - Tak jak wtedy.

- Tak myślisz?

Maryam patrzyła tępo w rozgwieżdżone niebo. Nawet teraz, po tylu latach, wciąż dziwiła ją naiwność Eleny.

- Przecież wiesz, że połamali nogi tej dziewczynie. - Potrząsnęła głową, jakby chciała się pozbyć jakiejś natrętnej myśli, i cofnąwszy dłoń, przeciągnęła ją po swoich nagich przedramionach, na których wyczuła znajome blizny. Były wielkie i przypominały wloty od kul. - Nawet nie wiesz, do czego zdolni są mężczyźni.

Tej nocy Maryam nie mogła spać. Myśli kłębiły jej się w głowie niczym stado dzikich zwierząt, aż w końcu zaczęła się bać, że za chwilę zwariuje.

Jako przywódczyni trupy była przyzwyczajona do tego, że sama dźwiga ciężar wszystkich decyzji. Była też wyczulona na najmniejsze nawet oznaki wrogości: niechętnie spojrzenie lub słowo czy gest zniechęcenia... w każdej chwili gotowa była jechać dalej, jeśli uznała, że to konieczne. Od czasu kiedy siedem lat temu powstał ich zespół, musiały płacić cenę za to, że nie miały mężczyzny, który by je nadzorował. Teraz jednak miała złe przeczucia, nieporównywalne z niczym, czego doświadczyła do tej pory.

Praktycznie od chwili, kiedy opuściły Messynę, wydawało jej się, że wszędzie czają się jakieś niebezpieczeństwa. Czy tylko dlatego, że jechały przez tak nieprzyjazne, skaliste rejony? A może dlatego, że ludzie na wsi byli mniej otwarci i bardziej podejrzliwi względem obcych. Zwłaszcza takich obcych - kobiet, które radziły sobie bez mężczyzn. Maryam doskonale wiedziała, czym grozi zła ocena sytuacji. Poruszyła się niespokojnie na kocu.

Od strony ciemniejących w oddali gór wciąż dobiegało ujadanie psa pasterskiego, jednak w ich obozowisku panowała cisza. Nawet Elena w końcu zasnęła. To też było niepokojące, ponieważ

zwykle udawało im się dojść przed snem do jakiegoś porozumienia. Maryam słyszała, jak koń przeżuwa obrok z worka, a koza porusza się przy słupku, do którego ją uwiązały. Zwykle pomagało jej to zasnąć, ale tej nocy było inaczej. Wstała i zaczęła iść wolno, starając się nie zwracać uwagi na niemal stały obecnie ból stawów i drętwienie palców.

Syrena Thessala leżała wraz z dzieckiem jak zwykle z tyłu wozu. W prawej dłoni ścisnęła niczym amulet różowy mieszek. Oddychała równo. Jej dziecko leżało tak spokojnie, że Maryam założyła, iż również śpi, ale po chwili dostrzegła błysk w jego oczach. Maleństwo patrzyło w niebo.

Koń parsknął nagle i Maryam zauważyła, że dziecko obróciło główkę w stronę zwierzęcia, marszcząc przy tym brewki, jakby to był pierwszy dźwięk, jaki usłyszało. Jednocześnie pielucha zsunęła się z dolnej części jego ciała, ukazując dwie połączone i skierowane na zewnątrz stopy. Podała mu palec, a dziecko zacisnęło na niej leciutko swoją piąstkę. Serce Maryam ścisnęło się z żalu.

Czy dobrze zrobiła, przyjmując tu matkę i dziecko? Zapewne nie. Ale czy mogła odmówić w tych okolicznościach? Jednak od tego czasu jakiś kamień przygniatał jej duszę, jakby miało się zdarzyć coś wyjątkowo złego.

Czy dziecku uda się przeżyć? Zapewne nie, i może nawet będzie lepiej, jeśli odejdzie teraz z tego świata. Prawda była taka, że jako syrena maleństwo warte było majątek. Wiedziała to Elena, jak również inne kobiety z trupy.

Siłaczka pochyliła się pod rozgwieżdżonym niebem i spojrzała w oczy dziecka. Ktoś słabszy mógłby się zacząć modlić do Boga lub Maryi, by wzięli je opiekę. Jednak Maryam nie wierzyła w modlitwę. Bóg, tak jak inni mężczyźni, miał dla nich mało litości i jeśli zwracał na nie uwagę, to tylko po to, by je doświadczać.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Kiedy Maryam w końcu położyła się i zasnęła, znowu przyśnił jej się ten sen.

Miała wtedy piętnaście lat i prowadzono ją do zagrody niedźwiedzi. Za palisadą słyszała wściekle ujadanie psów...

Dwa lata wcześniej, kiedy osiągnęła wagę i rozmiary prawdziwego osiłka, rodzice z ulgą sprzedali ją pierwszemu człowiekowi, który zdecydował się ją wziąć. Był to wędrowny handlarz, którego imienia nigdy nie poznała, a który twierdził początkowo, że chce się z nią ożenić, chociaż wkrótce stało się dla niej jasne, że wcale nie ma takiego zamiaru.

Kiedy już znudził się kochanką-dzieckiem o posturze olbrzyma, używał jej wszystkim, którzy byli gotowi za to zapłacić. W ten sposób zapewnił sobie wygodne życie. Przestał zajmować się sprzedażą zabawek i jarmarcznych świecidełek i kupił prostą budkę, którą rozstawiał na jarmarkach i targach.

Była lekka i łatwo można ją było złożyć i rozłożyć. W środku znajdował się materac, na którym Maryam przyjmowała klientów. Po paru latach handlarz, który coraz bardziej się starzał, zapragnął powrócić do swojej żony i dzieci, mieszkających gdzieś na Półwyspie Peloponeskim. Chciał też zostawić Maryam na pastwę losu z paroma soldami w kieszeni, ale jego ostatni klient był szefem trupy wędrownych akrobatów. Okazało się, że Maryam ma z nimi pójść i że znowu ją sprzedano.

Była wtedy znacznie wyższa i górowała nad wszystkimi mężczyznami. Miała potężną, umięśnioną pierś, ręce niczym dwa dęby i wielkie stopy, na których stała mocno na ziemi. A do tego groźny wygląd: czarne oczy i włosy i ciemny puszek nad górną wargą, jak u niedojrzałego chłopaka.

Gdy tylko szef trupy ją zobaczył, zrozumiał, że wydatek zwróci mu się z nawiązką. Musi tylko pokazywać ją gawiedzi jako wybryk natury - córkę Minotaura - a tym razem płacić będą nie tylko mężczyźni.

Następne lata były dla niej gorsze, o ile to możliwe, od poprzednich. Podobnie jak handlarz, trupa, którą stanowili członkowie rodziny Grissani z Genui, trzymała się jednej, z góry ustalonej trasy. Różnica polegała na tym, że teraz jarmarki i targi były większe, trasy do pokonania były coraz dłuższe, a zamiast budki sprawiono jej klatkę. Była to prawdziwa klatka, w której widać było ślady po zębach, a nawet zeschnięte odchody niedawno zdechłego tańczącego niedźwiedzia. Maryam musiała w niej siedzieć całymi dniami, mając krowie rogi przytroczone do głowy, a gapie

płacili po parę groszy za przyjemność podrażnienia się z nią kijem czy też rzucenia w nią kamieniem lub zgniłym owocem.

Nie miała pojęcia, jak długo wędrowali do miejsca, gdzie ludzie nie mówili po grecku czy w języku swoich osmańskich panów. Był to jakiś gardłowy dialekt, którego na początku w ogóle nie potrafiła zrozumieć. Otoczone sosnowymi lasami miasteczko było biedne i znacznie mniejsze niż te, które zwykle odwiedzali, rzadko widywało się tam kobiety, a dzieci były tak nieśmiałe, że tylko czasami wyglądały zza węgła jakiegoś domostwa i uciekały.

Trupa jak zwykle rozbiła się obozowiskiem na przedmieściach miasteczka, tuż koło wilgotnego lasu. Po południu zebrała się tam spora grupa ciekawskich, która z przyjemnością oglądała akrobatów, ale wydawało się, że widok Maryam za kratami wywołał gniew tych ludzi. Paru proponowało nawet szefowi trupy pieniądze, ale ten za każdym razem odmawiał. Nadzieja zagościła w jej sercu, a nasiliła się jeszcze, kiedy *signor* Grissani pojawił się przy klatce wcześniej niż zwykle.

- Co się dzieje? - spytała go Maryam.

- Wkrótce się dowiesz. - Odczepił klucz od pasa i otworzył drzwi klatki.

- Zapłacili ci, żebyś mnie wypuścił?

Później nie potrafiła wspominać tego pytania, nie roniąc paru łez. Jakaż była wtedy głupia i naiwna! Czy nie wiedziała, jacy naprawdę są mężczyźni?

- Wypuścił? - Grissani skupił uwagę na kluczach. Kiedy w końcu uniósł głowę, miał w oczach taki smutek, że z trudem powstrzymała się, by go nie uściskać.

- A więc jednak! Będę wolna! Och, dziękuję, dziękuję, *signore*...

Od dawna marzyła o tej chwili wybawienia. Myślała o niej, kiedy gapie drażnili się z nią, i teraz była zupełnie ogłupiała ze szczęścia.

Właśnie wtedy podbiegła do nich żona Grissaniego, twarda kobieta o umięśnionym ciele akrobatki.

- To prawda, Sergio? - Ona też wyglądała na smutną. - Przecież nie możesz pozwolić, żeby ją zabrali!

- Nic jej nie będzie - mruknął ponuro Grissani.

- Jak to? To prawda, że jest wielka, ale przecież to tylko dziecko.

Maryam pamiętała jeszcze swoje zdziwienie, widząc tę kobietę w takim stanie. *Signora* Grissani żałowała jej przecież kawałka chleba czy też łyżki wodnistej zupy...

- Poradzę sobie, proszę pani - powiedziała, czując, że robi jej się żal tej kobiety. Nie wiedziała, jak sobie poradzi, gdy będzie zupełnie wolna, ale zbytnio się tym nie przejmowała.

- Zamknij się, ty wielka idiotko! Nie mówię do ciebie! - *Signora* posłała jej jadownicę spoj-
rzenie. - Zwariowałeś, Sergio?! Słyszysz, co mówię? - Szarpnęła go za rękaw. - Te psy rozszarpia-
ją na kawałki...

- Ależ *signora*... - Słowa nagle zamarły jej w ustach. - Psy? Poczula się tak, jakby nagle
krew odpłynęła jej z głowy. Złapała się prętów klatki, żeby nie upaść.

- Jakie psy? - zapytała, ale nikt jej nie słuchał.

- Rozszarpia ją! - *Signora* zamachnęła się, chcąc uderzyć męża. - I co my wtedy zrobimy?

Maryam stała przy klatce w swoim żalonym kaftanie i skórzanych spodniach. Krowie rogi
zsuwały jej się na oczy. Dopiero teraz zrozumiała, że mężczyźni, których widziała, wcale nie życzą
jej dobrze. Poczula olbrzymie zmęczenie. Miasteczko, które miało przynieść jej wyzwolenie, stra-
ciło swój powab. Stało się nagle groźne. Patrzyła z obawą na brukowane, ciemne ulice i zaniedba-
ne, kryte gnijącą słomą domy. Tuż za nimi zobaczyła schodzącą ze zboczy porośniętych sosnami
mgłę, która poruszała się niczym duch między drzewami. Teraz pojęła, że chcą ją tu zabić.

- *Basta!* Nie mamy innego wyjścia! - Poblądły *signor* Grissani pchnął żonę, tak że upadła na
ziemię. - A ty chodź ze mną - rzucił w stronę Maryam. Zauważyła w jego dłoniach kij z metalo-
wym końcem, taki, jakiego pasterze używali do spędzania stad bydła.

- Gdzie idziemy? - spytała przerażona, ale mężczyzna nie odpowiedział. Pchnął ją tylko ki-
jem w stronę miasteczka. Widziała, jak drżą mu ręce. Nie miała pojęcia, dlaczego wówczas nie
uciekła, mogła przecież pobiec w stronę ciemnego lasu.

Dlaczego tego nie zrobiła?

Jednak przez całe swoje życie była niewolnicą i nie potrafiła tak nagle zerwać tych niewi-
działnych więzów. Chyba nawet nie przyszło jej do głowy, że mogłaby uciec. Po prostu ruszyła
pokornie we wskazanym kierunku.

Przeszła przez miasteczko na sztywnych nogach, tak przerażona, że nawet nie widziała, do-
kąd zmierza. Kobiety przyglądały jej się uważnie z sieni i zza zasłon w oknach, ale cofały się, kie-
dy obracała w ich stronę swoją wielką głowę z krowimi rogami. Przyciągały do siebie dzieci, jakby
mogła zrobić im coś złego. Czy naprawdę myślą, że jestem jakąś bestią? Widziała po ich minach,
że tak właśnie jest. Była dla nich monstrum, które zjada owce i porywa dzieci. Stworzeniem, które
mieszka w najciemniejszym sercu ich lasu i chowa się w pełnych pobielających kości jaskiniach w
niedostępnych partiach gór. Była tym monstrum, o którym dziadkowie opowiadali im przy ogniu w
długie zimowe noce. Wcześniej widzieli ją tylko w snach, a teraz spotkali na jawie.

Kiedy dotarli do zagrody niedźwiedzi, było już niemal ciemno. Mieli przed sobą palisadę z zaostrzonych kołków, przy której czekali ci sami mężczyźni o niewzruszonych twarzach. Usłyszała skowyt pierwszego psa, a potem inne zaczęły szczekać, coraz bardziej zaciekle.

Signor Grissani pchnął ją do przodu.

- Nic ci nie będzie - burknął.

Obcy mężczyźni kłębili się wokół niej. Maryam spojrzała jeszcze błagalnie na Grissaniego, ale na próżno. Wokół panował zamęt. Psy za ogrodzeniem czekały jak oszalałe i rzucały się na palisadę, mężczyźni krzyczeli. Ktoś ją popchnął, poczuła, że wcisnął jej coś twardego w dłoń. Nóż.

Maryam nie miała pojęcia, jak to się stało, że znalazła się za palisadą. Miała przed sobą trzy rozjuszone psy. Pierwszy od razu się na nią rzucił. Nie był duży, ale solidnie zbudowany, z rodzaju tych, które tresowano do walki. Zobaczyła przerażona, jak skacze z odsłoniętymi kłami, by sięgnąć jej gardła. Była jednak tak wielka, że mu się nie udało. Maryam podniosła ramię w obronnym geście i poczuła, jak kły zwierzęcia szarpią jej ciało. Uderzyła psa tak mocno, że podkulił ogon i ze skamleniem uciekł w kąt zagrody.

Zanim zdołała dojść do siebie, zaatakowały ją dwa kolejne. Próbowwała uderzyć je ręką, tak jak pierwszego, ale zamachnęła się tylko, zachwiała i wypuściła nóż z dłoni. Zanim zdołała go podnieść, ponownie zaatakował ją pierwszy z psów. Tym razem nie skoczył na nią, ale próbował gryźć jej nogi, cofając się co jakiś czas, a potem znowu atakując. Maryam cały czas słyszała wrzaski stojących za palisadą mężczyzn, ona natomiast cofała się i usiłowała kopnąć atakujące zwierzę, szczęśliwa, że ma przynajmniej na nogach ciężkie skórzane buty.

Nagle poczuła potworny ból pośladków, a potem uda. To dwa pozostałe psy zaatakowały ją od tyłu. Obróciła się w ich stronę, ale nie dawały jej spokoju. Biła je po łbach, lecz nie mogła wziąć porządnie zamachu. Zrozumiała, że nie tędy droga, i zaczęła szukać ich słabych punktów, dźgając je teraz palcami. W końcu uderzyła w coś miękkiego kciukiem, usłyszała dziwny dźwięk, a potem przeraźliwe skamlenie zwierzęcia. Pies znowu odbiegł w kąt zagrody, krwawiąc z jednego oka.

Miała teraz przed sobą tylko dwa psy, ale powoli traciła siły. Zaczęło znikać to poczucie mocy, które miała zaraz po wejściu do zagrody. Krew płynęła jej z pogryzionych pośladków i uda, a także z ramion. Natomiast zwierzęta, poczuwszy krew, wpadły w prawdziwy szał. Miotaly się wokół, wciąż na nią skacząc. Maryam zdołała odrzucić jednego psa, ale kiedy poczuł, że jego ofiara słabnie, wrócił i z nową siłą rzucił się na nią od tyłu.

Nogi się pod nią ugięły. Opadła na kolana, czując olbrzymi ból. To koniec, pomyślała. Teraz na pewno mnie zagryzą. Ta myśl przyniosła jej coś w rodzaju ulgi. Wrzeszczący mężczyźni zrozumieli, że zbliża się koniec walki. Maryam usłyszała ich okrzyki poprzez bicie własnego serca i

szum krwi w uszach. Raczej czuła, niż widziała ich pełne nienawiści twarze, napiętą na policzkach skórę, otwarte usta, krople śliny i czarne kikuty zębów.

Jej ręce i nogi zrobiły się ciężkie, jakby nie do niej należały. Musiała włożyć spory wysiłek w to, by nimi poruszać. Jednak jakoś udało jej się uderzyć mniejszego psa, gdyż zawył nagle, a potem odbiegł, kulejąc i liząc łapę.

Został jej teraz ostatni pies - największy i najgroźniejszy.

Maryam próbowała się ratować i wstać, ale przychodziło jej to z olbrzymim trudem. Zwierzę skoczyło na nią i zwała się na ziemię niczym ścięte drzewo. Leżała, chroniąc rękami głowę. Nie czuła już bólu, tylko odór bijący z otwartego pyska zwierzęcia. Pies dyszał, szykując się do ostatecznego ataku. W ustach miała metaliczny posmak krwi.

I wtedy coś wyczuła. Jakiś twardy przedmiot, tuż koło swego policzka. Nóż. Pies chwycił ją za lewe przedramię, ale jakoś zdołała wyswobodzić drugie i podnieść nóż. Jej palce zacisnęły się na rękojeści, ogarnął ją olbrzymi przypływ energii i pchnęła rozwścieczone zwierzę w szyję. Pies zwolnił uścisk i zarzęził. A potem nagle w powietrzu zapanowała całkowita cisza. Zwierzę próbowało się jeszcze podnieść, ale po chwili padło tuż obok z przebitą tchawicą. Konało w drgawkach.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

To samo powtórzyło się w następnej wiosce. Jak zwykle rozbiły obóz tuż koło oliwnego zagajnika, nieopodal małej nadmorskiej miejscowości.

Jedzenie znalazła Yoanna, siostra Ilkai, która wstała o świcie. Owoce, bochenki przaśnego chleba, pięć jaj, a także gliniane naczynie wypełnione oliwą - wszystko to leżało koło obozu. Yoanna nie traciła czasu na to, by najpierw powiadomić o wszystkim Maryam.

Tak jak poprzednio, jedzenie leżało starannie poukładane na świeżo zerwanych liściach.

Maryam wcale się to nie podobało. Ktoś musiał podkraść się do ich obozowiska jeszcze przed świtem. Bez wątplenia czuł się tu bardzo swobodnie, a one spały tak mocno, że niczego nie zauważyły. Ogarnął ją niepokój na myśl, że tak łatwo można je podejść.

Jednak Yoanna bardzo ucieszyła się z tego daru, podobnie jak jej siostra. Szybko pobiegły do innych kobiet, które zaczęły wychodzić z namiotów, początkowo senne, ale później coraz bardziej ożywione, zwłaszcza gdy zaczęły radzić nad tym, jak podzielić jedzenie. Tylko Elena, która obserwowała całą scenę zza muślinowej zasłony swego namiotu, domyśliła się, co chodzi po głowie ich przywódczyni.

Wzięła bochenek chleba, który przypadł im w udziale, pokropiła go oliwą i usiadła obok Maryam w cieniu drzewa. Było jeszcze wczesnie, a cień, jaki dawały stare drzewa oliwne, sprawiał, że panował tu przyjemny chłodek. W niewielkim mieście, które znajdowało się poniżej, rozległo się pianie koguta. Za pobielonymi rybackimi chatami połyskiwała tafla morza.

- Wyglądasz na zaniepokojoną - zauważyła łagodnym tonem Elena. - Znowu miałaś ten sen? Słyszałam, jak krzyczałaś w środku nocy.

Maryam nie odpowiedziała, a ona przełamała bochenek na pół i wręczyła go przywódczyni wraz z garścią oliwek. Następnie obróciła się w stronę morza. Jego błękit i biel chałup niemal raziły oczy. Nieco dalej, zza miasteczka, docierały do nich odgłosy dzwonek owiec, które właśnie wyprowadzano na pastwisko. A na horyzoncie zauważyły samotną łódź z wydętymi wiatrem żaglami.

- Przecież ci ludzie są biedni - zagaiła raz jeszcze Elena. - Jak sądzisz, dlaczego przynoszą nam jedzenie?

Jednak wyglądało na to, że jej pytania tylko drażnią Maryam, która wstała i bez słowa ruszyła po zboczu do miasteczka. Elena patrzyła na nią z rezygnacją. Przyzwyczaiała się już do zmiennych nastrojów przywódczyni. Poza tym pytanie nie wydawało jej się teraz tak istotne. Co za różnica, z jakich powodów dostają te dary? Czyż w tych rejonach nie kultywowano tradycji go-

ścianności? Elena była zbyt głodna, by zastanawiać się nad odpowiedzią. Z westchnieniem ugryzła pierwszy kęs chleba. Oliwa była lekko cierpka, zielonkawa - najlepsza z najlepszych, a oliwki mięsiste i słodkie. Zapowiadał się dobry dzień. Elena uśmiechnęła się na myśl o tym, a potem znowu zajęła się jedzeniem.

Czuła, że coś się zmienia, że może teraz dopisze im więcej szczęścia.

Dopiero w tym momencie dotarło do niej cichutkie dzwonienie, które nie dobiegło tym razem z miasteczka, ale z jakiegoś miejsca w pobliżu obozowiska. Rozejrzała się, myśląc, że to może jakaś koza, która oddzieliła się od stada, ale po chwili zorientowała się, że ten dźwięk nie przypomina zwykłego dzwonka - jest cichszy i delikatniejszy niż wszystko, co do tej pory słyszała.

Elena zaczęła iść między drzewami, podążając za tym dźwiękiem, ale wkrótce zdziwiła się, że wokół zrobiło się tak ciemno. Oliwkowy zagajnik stał się nagle gęstszy, jakby stanowił część jakiegoś wielkiego lasu.

Niektóre drzewa wydawały się bardzo stare, zielono-srebrne porosty przylgnęły mocno do ich grubych pni. Elena szła niezgrabnie, gdyż stopy grzęzły jej w starych liściach i połamanych gałęziach. Co jakiś czas potykała się o ukryte korzenie i płożące się rośliny. Mimo słońca w lesie panował chłód.

Z tyłu wciąż słyszała głosy kobiet w obozowisku. Kiedy się odwracała, widziała za sobą niewyraźne sylwetki. Zauważyła nawet swoje córki, Nanę i Leyę, które w kolorowych sukniach wyglądały jak żółto-czerwone motyle. Elena chciała już zawrócić, kiedy ponownie usłyszała ten dźwięk. Dzwonki odezwały się gdzieś blisko, bardzo blisko.

Ruszyła więc do przodu, trochę wbrew sobie. Drzewa stały się teraz jeszcze większe, a ich korony niemal nie przepuszczały słońca. Było nie tyle chłodno, ile wręcz zimno.

Elena zadrżała i zawahała się. Nagle usłyszała odgłos łamanej pod czyjąś stopą gałęzi i serce jej mocniej zabiło. Odwróciła się, pewna, że to Maryam albo któraś z kobiet zauważyła jej nieobecność, ale nikogo tam nie było.

Tylko czy na pewno?

Nagle kątem oka wyłowiła jakieś lśnienie. Kiedy jednak obróciła się w tamtą stronę, z trudem powstrzymała śmiech. Na miłość boską, jakaż była niemądra! Uniosła dłoń do piersi, pragnąc uspokoić serce. Okazało się, że jest to tylko promień słońca, który przebił się przez liście. Leśne pyłki tańczyły w tym świetle niczym malutkie brylanty. Ten promień w ciemnym lesie wydał jej się piękniejszy niż wszystkie inne rzeczy, które dotąd widziała.

I właśnie w tym momencie dostrzegła świątynię.

Od razu domyśliła się, jakie jest przeznaczenie tego miejsca. Była to zaledwie jedna skała na polance, ale dało się dostrzec na niej znaki poczynione ludzką ręką. Zrobiła dwa kroki w tę stronę i

popatrzyła z obawą. Dostrzegła kształty: pierwszy przypominał księżyc w nowiu, drugi dłoń, a trzeci roślinę lub kwiat z trzema łodygami. To miejsce wydało jej się bardzo stare i z pewnością zapomniane przez ludzi z miasteczka.

Elena przeżegnała się szybko.

Koło skały rósł gęsty mech i trawa, uznała więc, że musi tam być źródło. Podeszła ciekawie, ale na paluszkach, chociaż sama nie wiedziała, dlaczego stara się zachowywać tak cicho. Po chwili zobaczyła strumyczek wypływający z głębokiej szczeliny w skale. Padł nań jakiś zabłąkany promień, a wtedy woda zaśniła niczym kryształ. Wokół mchów i trawy pojawiły się małe tęcze w kolorze czerwonym, indygo, fioletowym i pomarańczowym.

Elena stała przez chwilę, patrząc na źródło z lekko otwartymi ustami. Była niczym w transie i nie zwróciła uwagi na to, że las ucichł, a ta cisza aż dzwoniła w jej uszach. Nic wokół się nie ruszało, nie słychać było śpiewu ptaków. Nie zdała sobie sprawy, że nie dochodzą już do niej głosy kobiet z obozowiska i że z miejsca, w którym się znalazła, nie mogłaby dostrzec córek.

Myślała tylko o tym, jak bardzo chce jej się pić. Usta i gardło miała wysuszone. Pomyślała, że koniecznie musi napić się tej wody. Wciąż jednak wahała się i nie podchodziła bliżej. *Panagia mou!* Tam nic nie ma, nie bądź niemądra, ganiła siebie w duchu. Podeszła do malutkiego zbiornika, który powstał u podstawy skały. Był wielkości męskiej dłoni, ale wypełniała go najczystsza, lśniąca niczym kryształ woda. Elena zanurzyła w niej złożone dłonie, a następnie podniosła je do ust. Woda była tak zimna, że aż zęby cierpły. I ten smak! - nigdy nie piła wody o takim smaku. Piła i piła, aż rozboleły ją zęby, a wargi zdrętwiały od chłodu. A potem znowu usłyszała ten dźwięk. Bez wątplenia były to te same cichutkie dzwoneczki.

Tyle że teraz dobiegały gdzieś z tyłu.

Elena spojrzała przez ramię i ponownie dostrzegła coś lśniącego. Tym razem było to niewielkie sreberko, które wisiało na sznurku na jednym z konarów. Podeszła bliżej, żeby mu się lepiej przyjrzeć. Talizman. Od razu zrozumiała, że nie powinna go dotykać, ale wbiła w niego wzrok. Przed sobą miała syrenę z rozdwojonym na końcu ogonem. To właśnie na nim wisiało kilka miniaturowych dzwoneczków.

Usłyszała dzwonienie. A potem znowu i znowu. Promień słońca przesunął się nieznacznie, a kiedy rozejrzała się wokół, dostrzegła więcej podobnych talizmanów, zawieszonych na drzewach na kolorowych sznurkach. Wszystkie przedstawiały syrenę z rozdwojonym ogonem. Niektóre z nich płynęły na plecach, inne dęły w róg. Dopiero po jakimś czasie Elena zauważyła, że obok wyraźnie kobiecych kształtów z długimi włosami pojawiają się też mężczyźni z rybimi ogonami w koronach na głowach. Wszystkie talizmany miały dzwoneczki, które odzywały się co jakiś czas, jak gdyby te postaci były żywe, gdyż w lesie w ogóle nie czuło się wiatru.

Elena była coraz bardziej niespokojna. Teraz wiedziała, że nie powinna była tu przychodzić. Ten stary las stanowił miejsce jakiegoś kultu. Przeżegnała się ponownie, a później rozejrzała trwożnie dookoła, bo wydało jej się, iż zza jednego z drzew dochodzi jakieś pokasływanie. Więc może jednak ktoś tu jest? Wiele osób... Co z nią zrobią, kiedy znajdą ją na miejscu kultu? Piła przecież wodę z ich źródła! Cisza, która najpierw niosła spokój, zaczęła ją teraz przygniatać. Czuła na sobie czyjś wzrok. Oczy, wszędzie oczy, pomyślała. Ktoś obserwował ją zza drzew i krzaków.

Rzuciła się do ucieczki.

TLR

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

- Tu będzie dobrze...
- Uważaj na głowę.
- Zabierzcie stąd dziewczynki...
- Tak, tutaj... Nie, nie, trochę dalej... Teraz dobrze.

Kiedy Elena się w końcu ocknęła, leżała w cieniu swojego namiotu.

- Co się stało? - Pobladła Maryam pochyliła się nad nią. - Czy ktoś cię napadł?

Na początku Elena nie mogła wydusić z siebie słowa. Nie pamiętała też tego, co się zdarzyło. Ale później stanęły jej przed oczami małe srebrne talizmany z syrenami, wiszące na kolorowych sznurkach w lesie. Wzdrygnęła się przerażona, przez moment znowu miała wrażenie, że ktoś ją obserwuje. Ścisnęła też mocniej dłoń Maryam.

- Mnie możesz powiedzieć. - Twarz przywódczyni, zwykle ogorzała od słońca i wiatru, wydawała się zupełnie pozbawiona barwy. - Czy ktoś cię tknął choćby palcem?

- Nie, nie, nic takiego. - Na widok jej pełnej niepokoju miny Elena zdołała się lekko uśmiechnąć. - Było tak ciemno... Po prostu się przestraszyłam.

- Poszłaś w głąb lasu? - Maryam obejrzała się nerwowo przez ramię. - Nigdy go nie lubiłam.

- Tak, nie możemy tu zostać. Musimy szybko wyjechać.

Opowiedziała Maryam o tym wszystkim, co widziała, a wtedy przywódczyni zamyśliła się głęboko. Po minucie lub dwóch sięgnęła do kieszeni swego skórzanego kubraka i wyjęła talizman, który dostała od Bocellego.

- To było coś takiego?

Elena wzięła blaszkę w swe długie palce i patrzyła na nią w milczeniu. Trzymała ją delikatnie, jakby bała się, że się skaleczy.

- Przepraszam, powinnam była powiedzieć ci o tym wcześniej. - Maryam przyglądała się jej z troską.

Elena uniosła głowę, ale wbrew obawom Maryam w jej oczach nie było gniewu, lecz tylko ciekawość.

- Co oznacza ten talizman?

- Nie jestem pewna. Bocelli niewiele mi powiedział. Jego zdaniem tutejsi mieszkańcy uważają, że syreny posiadają magiczną moc. Podobno tego rodzaju talizmany można znaleźć na całym wybrzeżu...

- W takim razie dlaczego chcieli się jej pozbyć? - Umysł Eleny jak zwykle pracował bardzo sprawnie. - Dlaczego nie zatrzymali jej dla siebie? - Ściągnęła brwi. - Bocelli zapłacił bardzo dużo... No pomyśl, aż dwa konie, tylko po to, żebyśmy zabrały ją ze sobą. To nie ma najmniejszego sensu.

Elena miała rację. To było zupełnie bez sensu. Maryam przypomniała sobie starą stajnię, gdzie po raz pierwszy zobaczyła matkę z dzieckiem. Czy zdecydowała się ją wziąć tylko dlatego, że przypomniała sobie lata spędzone w brudnej klatce Grissanich? Niewykluczone. W tej chwili zresztą to bez znaczenia, bo Maryam miała wrażenie, że ściągnęła w ten sposób na ich głowy nie-szczęście.

- Myślisz, że te dary to z powodu dziecka?

- Nie mam pojęcia. Wiem tyle, co i ty. Talizman to co innego niż prawdziwa mała syrena. Bocelli też tak uważał. W dodatku widział, że budzą one strach miejscowych. - Wyjęła talizman z palców Eleny i przytrzymała tak, że dzwoneczki rozdzwoniły się na wietrze.

- Ale skąd mogą wiedzieć, że mamy to dziecko? Przecież nikt go tutaj nie widział...

Maryam wzruszyła ramionami i pogрузzyła się w milczeniu. To patrzyła na swoje paznokcie, to znów na miasteczko.

- Maryam! - Elena powoli usiadła. - O co chodzi? Masz mi coś jeszcze do powiedzenia?

- Hm, tak. - Maryam się zawahała. - Wydaje mi się...

- Co takiego?

- Wydaje mi się, że go widziałam.

- Kogo?

- Bocellego.

- Znowu? - Elena zatrzepotała rzęsami w kolorze piasku. - Gdzie?

- W poprzedniej wiosce. Kiedy poszłam kupić chleb. Uznałam, że to jakieś majaki, ale dzisiaj też go widziałam. Na dole, w miasteczku. Właśnie wracałam, żeby ci o tym powiedzieć, ale okazało się, że leżysz nieprzytomna pod namiotem. Naprawdę chciałam ci to wszystko powiedzieć.

- Bocellego - powtórzyła zamyślona Elena. - Tajemniczego człowieka z Messyny. Ciekawe, co tutaj robi?

Umilkły na chwilę. Maryam chrząknęła lekko.

- Wydaje mi się, że nas śledzi.

- Śledzi? - Elena niemal się roześmiała. - Po co? Czego mógłby od nas chcieć?

- Nie uważam, że chodzi mu o nas.

Kobieta z morza jak zwykle leżała na wozie ze swoim syrenim dzieckiem, przykryta wraz z nim kawałkiem żagla, który fale wyrzuciły, a Maryam znalazła. Nawet oddechy nie mąciły panującej tam ciszy.

Elena podeszła do nich, mówiąc łagodnie śpiewnym głosem, jakby to były dzikie zwierzątka, które trzeba najpierw oswoić z ludźmi. Wzięła ze sobą kawałek sukna i wodę i kiedy Maryam zanosła matkę nieco dalej, by ją obmyć, ona sama zaczęła rozwijać dziecko z pieluszek.

Gdy Maryam wróciła, od razu zorientowała się, że coś jest nie w porządku.

- Co się stało? Jest chore?

Elena patrzyła na dziecko, które trzymała na kolanie.

- Nie, nie - rzekła w końcu z roztargnieniem. - Ale coś z nim jest nie w porządku. Popatrz tylko, wciąż jest takie malutkie. - Uniosła niemowlę. - I lekkie jak piórko. - Potrząsnęła smutno głową. - Boję się o nie, Maryam...

Teraz obie zaczęły przyglądać się maleństwu.

- W ogóle nie płacze - dodała cichutko Elena, tak żeby nieznajoma nie mogła jej usłyszeć.

- Dlaczego?

- Myślę... że jest zbyt słabe.

Chudziutka klatka piersiowa unosiła się gwałtownie, jakby dziecko walczyło o każdy oddech.

Maryam zaczerwieniła się trochę, musiała jednak zadać to pytanie, gdyż nurtowało ją od jakiegoś czasu.

- To dziewczynka czy chłopiec, jak myślisz? - Maryam zadała to pytanie niemal ze wstydem.

Elena popatrzyła na zrosnięte nogi dziecka, zakończone rozchodzącymi się w dwóch kierunkach stopami.

- Ani dziewczynka, ani chłopiec - rzekła ze współczuciem. - Albo też jedno i drugie, jak wolisz... - Urwała nagle i potrząsnęła smutno głową. - No cóż, zobaczymy. Zajmijmy się tym, czym miałyśmy się zająć.

Podeszła do kobiety, którą Maryam posadziła pod drzewem, by mogła się trochę nacieszyć słońcem. Ziemia była skalista, ale pachniała miętą i tymiankiem. Elena usiadła na kawałku marmuru, który pozostał tu z jakichś dawnych czasów. Wyjęła z kieszeni grzebień i zaczęła czesać złote włosy nieznajomej.

- Podoba jej się - rzekła łagodnie. - Podoba ci się, prawda?

- Myślałam, że chcemy spróbować z nią porozmawiać, a nie zajmować się jej włosami.

- Cierpliwości, Maryam.

Elena miała rację. Młoda kobieta najwyraźniej się odprężyła, zamknęła oczy i obróciła twarz do słońca. Od morza powiała bryza, a na błękitnej toni pojawiły się białawe fale. Włosy kobiety poruszyły się na wietrze, lśniąc niczym prawdziwy kruszec. Elena przerwała po chwili czesanie i wzięła nieznajomą za rękę.

- Thessala! - powiedziała, żeby zwrócić jej uwagę, i pociągnęła ją za ramię.

Dziewczyna otworzyła oczy i popatrzyła na horyzont, a potem rozejrzała się wolno dookoła. Oczy miała błękitne jak niebo nad nimi.

- Jak się nazywasz? Musisz przecież mieć jakieś imię! *Pos se lene?* - spytała, ciągnąc ją za ramię nieco bardziej niecierpliwie. - *Onoma?*

- Czy to ma znaczenie, jak się kiedyś nazywała? - burknęła Maryam. - I tak cię nie słyszy. Nie słyszy nikogo. Jakby spała... - Włożyła dłoń do kieszeni. - Chyba powinniśmy po prostu zwrócić je morzu... Weź to. Zobaczymy, może to ją obudzi.

Elena pomachała talizmanem przed oczami nieznajomej.

- Popatrz! - Potrząsnęła blaszką tak, by zaśniła i by obudzić srebrne dzwoneczki. - To dla ciebie, dla twego dziecka...

Położyła talizman na dłoni kobiety i spróbowała zamknąć jej palce, ale nieznajoma zdawała się tego nie widzieć. Po chwili blaszka spadła na ziemię.

- Nic z tego. W ogóle nie wiem, czy jest sens się męczyć. Jest chyba niedorozwinięta, i tyle. - Maryam podniosła kamień i rzuciła go w dół wzgórza. - Pewnie zawsze taka była.

Jednak Elena nie chciała tak łatwo się poddać.

- Popatrz. - Podniosła talizman i znowu nim potrząsnęła. - Popatrz, Thessalo, teraz jest... - zamknęła dłoń, a potem wykonała nią płynny ruch - a teraz go nie ma. - Otworzyła dłoń, pokazując, że jest pusta.

Z uśmiechem pochyliła się i wyjęła amulet zza ucha nieznajomej.

- Tylko tracisz czas. - Maryam podniosła drugi kamień, którym cisnęła w stronę morza. - Zobaczysz, że nic nam nie powie...

- Maryam!

- Nie dowiemy się nic o Bocellim ani o...

- Maryam!!!

Dopiero teraz zwróciła uwagę na towarzyszkę, a potem na złotowłosą kobietę.

- Widzisz?!

- Co takiego?

- Coś się z nią zaczyna dziać.

Elena miała rację. Maryam od razu dostrzegła zmiany na twarzy nieznajomej.

- Co... co z nią zrobiłaś?

- Nic, zupełnie nic - odparła równie zadziwiona Elena. - Pokazałam jej po prostu jedną z moich sztuczek.

- Więc zrób to jeszcze raz!

Elena powtórzyła sztuczkę ze znikaniem. Była to najprostsza rzecz, jaką umiała zrobić. Chodziło tylko o to, by przesunąć blaszkę między palcami tak szybko, żeby nikt nie zdołał tego dostrzec, a potem udawać, że się ją wyjmuje zza czyjś ucha, głowy, z niewielkiej dziupli w drzewie czy cholewy buta Maryam.

- Patrz! Patrz, co się dzieje z jej oczami!

Kobieta wodziła oczami za blaszką, jakby to był ósmy cud świata. A jednocześnie wyraźnie zmienił się wyraz jej twarzy. Jakby, jak to trafnie ujęła Maryam, budziła się z głębokiego snu.

- Szybko, daj jej trochę wody!

Maryam podsunęła dziewczynie swój skórzany bukłak, ale nieznajoma odsunęła go, a następnie położyła łagodnie dłoń na ramieniu Eleny. Patrzyła na nią z graniczącym ze strachem zdziwieniem, jakby widziała ją po raz pierwszy w życiu. Jej wargi poruszyły się nieznacznie.

- Ach! *Panagia mou!* Chyba chce coś powiedzieć.

Dziewczyna znowu poruszyła wargami, ale nie udało jej się wydobyć żadnego dźwięku. Zamrugała szybko i podniosła dłoń do gardła, jeszcze bardziej zdziwiona. Elena przysunęła się do niej i przyłożyła ucho do jej ust. Tym razem coś usłyszała.

- ...nasywa...

- Chyba powiedziała: „nazywam”. - Obróciła się ponownie w stronę nieznajomej. - Chcesz powiedzieć, jak się nazywasz?

Dziewczyna skinęła lekko głową.

- Więc? - Elena uśmiechnęła się zachęcająco. - *Onoma?* Jak się nazywasz?

Czekały, jak im się zdawało, niemal całą wieczność, aż w końcu z ust dziewczyny wydobył się szept, który pochwyciła bryza i poniosła gdzieś w dal. Mogło się wydawać, że nigdy tego nie powiedziała... Ale one słyszały!

- Nazywam się... Celia Lamprey.

Część druga

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Różne rzeczy powiadają o tym - nieprawdaż? - jak to jest, kiedy się tonie.

Że kiedy się przechodzi do nicości albo do innego świata, przed oczami staje nam całe życie.

Jednak teraz, kiedy jest już po wszystkim, Celia Lamprey wie, że wygląda to inaczej. Zostają jedynie ułamki obrazów, fragmenty mozaiki: poplątane, bełkotliwe, straszne. Coś jakby echo jej własnego krzyku: „Nie to, nie w ten sposób, tylko nie worek”. Zduszone męskie głosy: „No, chłopcy, kończcie, im szybciej się z tym uporacie, tym szybciej wrócimy do domu”. Huk wody w uszach...

A potem zupełnie inne, nowe uczucie, jakby ruch powietrza, w górę, w górę, z otchłani do świata. Oślepiający blask słońca przez wodę i pianę.

Jak chrzest.

Jak powtórne narodziny.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Siedziała pod drzewem na gorącej, skalistej ziemi.

Było upalnie, pachniało ziołami. Nad głową miała niebo w kolorze chińskiej goryczki, a przed sobą niebieskozielone morze. Kawałek marmuru obok. Ktoś coś przed chwilą powiedział. Słyszała słowa, które unosiły się w przesiąkniętym solą powietrzu.

Nazywam się Celia Lamprey.

Dopiero po jakimś czasie dotarło do niej, że był to jej własny głos.

Przed sobą miała dwie kobiety, które na nią patrzyły. Przynajmniej wydawało jej się, że to kobiety... Jedna z nich była większa niż wszyscy znani jej mężczyźni, w dodatku szeroka w barach i potężnie zbudowana. Druga, znacznie drobniejsza i delikatniejsza, miała bardzo jasną karnację i smutną, pociągłą twarz. Obie patrzyły na nią z niepokojem.

Nazywam się Celia Lamprey. Kiedy wypowiedziała te słowa po raz drugi, poczuła sól na wargach.

Kobiety popatrzyły na siebie tak, jakby zdarzył się jakiś cud. Celia zerknęła na jedną, a potem na drugą. Nie bała się, tylko była ciekawa.

- Czy... czy was znam, *kadin*? - spytała, a jej głos zabrzmiał tak dziwnie, że niemal wybuchnęła śmiechem.

- *Kristos!* - Kobieta o smutnej twarzy przeżegnała się szybko. Wyglądała na zupełnie zaskoczoną. - *Kristos...* - powtórzyła, jakby nie bardzo wiedziała, jakich słów użyć - ona się obudziła! Daj jej wody, Maryam.

- O co chodzi? - Celia zmarszczyła brwi, gdyż nagle zdała sobie sprawę z tego, że nie ma pojęcia, jak znalazła się w tym miejscu. - Czyżbym... zasnęła?

- Zasnęłaś? - powtórzyła tamta, a potem spojrzała na swoją olbrzymią przyjaciółkę. Jednocześnie zasłoniła usta, ale Celia i tak zauważyła, że drżą jej wargi. - *Panagia mou!* - W jej głosie pobrzmiwało niedowierzanie. - Na miłość boską!

- Daj spokój, Eleno. - Wielka kobieta położyła dłoń na ramieniu towarzyszki. - Wystraszysz ją tylko.

Kiedy przytknęła buklak z wodą do warg Celi, ta zauważyła, że olbrzymka ma oczy pełne łez. Mniejsza kobieta uniosła rękę, jakby chciała pogłodzić Celię po policzku, ale potem zawahała się i ją opuściła.

- Przecież was znam - powiedziała Celia, nagle całkowicie pewna tych słów. Wzięła srebrny talizman i położyła go na dłoni. Fragment mozaiki. - Tak, teraz pamiętam. - Zaczęła mówić bardzo

szybko, słowa wylewały się z niej jedne po drugich: - To wy jesteście te akrobatki, które przyjechały do haremu, kobiety z Salonik. Występowałyście przed sułtanem i jego matką, razem z dwiema małymi dziewczynkami. Pamiętam je dokładnie, wszystkie *kadin* je pamiętają, bo bardzo nam się występ spodobał. A ty sprawiałaś, że znikaly kwiaty, a potem wyjmowałaś je komuś zza ucha, tak jak to robiłaś przed chwilą z tym talizmanem... - Urwała nagle, jakby ktoś przeciął ciąg jej myśli.

Wszystkie trzy milczały zdumione tymi słowami.

- Dobry Boże, tak, jesteśmy akrobatkami. - Elena spojrzała na Maryam.

- A ty byłaś niewolnicą w haremie sułtana - odezwała się Maryam.

Celia popatrzyła na nią, chmurząc czoło.

- Tak. Nie. Sama nie wiem. Chyba tak. - Spojrzała na nie pytająco. - Jak myślicie?

Maryam udało się bez większego trudu - co zaskoczyło wszystkich, nawet ją samą - załatwić przejazd małym, dwumasztowym keczem, który widziały rano na horyzoncie. Kapitan, który zawinął do zatoki po pitną wodę, powiedział, że płynie do północno-wschodniego wybrzeża Dalmacji.

Nie dostały więcej darów, nie widziały też Bocellego. Maryam zaczęła nawet myśleć, że za drugim razem jej się przywidziało, ale i tak wszystkie z ulgą pożegnały te ziemie.

Celia, jak teraz wszystkie na nią mówiły, wodziła wzrokiem za Eleną. Wyglądało na to, że bardzo boi się marynarzy, ale uspokajała się, gdy obok była któraś z kobiet. Pogodziła się z tym, że ma połamane nogi, a nawet z ułomnością swego dziecka, ale zawsze trzymała się blisko Eleny, jakby była ona - poza wyszywanym mieszkim, z którym się nie rozstawała - nicią łączącą ją z przeszłością.

Jednak Maryam bardzo się z jej powodu niepokoiła. Już wcześniej było dla niej jasne, że Celia jest damą, wystarczyło spojrzeć na jej gładkie ręce czy delikatną cerę, na której nie było widać śladów słońca czy wiatru, tak jak u innych kobiet z trupy. Ale niewolnica sułtana... Nie, tego już było dla niej zbyt wiele. Co takiego mogło się stać, że znalazła się w ich obozie? Czym sobie na to zasłużyła? Poza tym Maryam po raz pierwszy w życiu czuła się jak złodziejka, która ukradła czyjś skarb - czyli Celię.

Elena usiadła obok opartej o bezanmaszt przyjaciółki.

- Wygląda na bardzo zadowoloną, nie uważasz? Przypomniała sobie, jak się nazywa. I nawet nas pamięta! - zauważyła Elena. - Szkoda, że na tym koniec. Nie wie nawet, czego tak ciągle szuka w swoim mieszk.

- A dziecko? - Maryam przypominała sobie oczy maleństwa. - Co z dzieckiem?

Elena nie miała na ten temat nic do powiedzenia. Rozłożyła tylko szeroko ręce. Obie uważnie obserwowały Celię, kiedy zajmowała się swoim dzieckiem. Przewijała je i karmiła, ale tak jak poprzednio, nie wyczuwało się w tym oddania i miłości. Nic się tu nie zmieniło. Celia nigdy nie brała go bez potrzeby na ręce, nie śpiewała mu, nie pomyślała też o tym, że mogłaby je przytulić. Wyglądało na to, że nic do niego nie czuje.

- Kiepska z niej matka. - Maryam potrząsnęła głową. - Jesteś pewna, że to jej dziecko?

- Całkowicie. - Elena myślała Celię i zajmowała się nią od samego początku, a poza tym sama miała dwoje własnych dzieci. - Coś ją gnębi, jakaś tajemnica, ale... jestem pewna, że to jej dziecko.

- To nienaturalne. - Maryam zmarszczyła brwi i skubnęła dziurę w swoim skórzanym kaftanie.

- Ale się zdarza. - Elena przyciągnęła do siebie jedną z córek i ucałowała ją mocno. - Zresztą wiesz, jeśli idzie o takie dziecko... - popatrzyła najpierw na przyjaciółkę, a potem szybko gdzieś w bok - to może być zupełnie naturalne.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Och, Maryam - rzekła z westchnieniem. - Przecież doskonale wiesz, że to dziecko nie przeżyje. Jest coraz słabsze... Trzeba się z tym pogodzić.

- Myślałam, że może to się zmienić.

- Jeśli nawet Celia wszystko sobie przypomni, nie zmieni to sytuacji jej dziecka. - Elena wzruszyła ramionami. - Mimo to musimy oczywiście zrobić wszystko, by jej pomóc. - Niechętnie wypuściła Nanę z objęć. Los Celii wydawał jej się teraz jeszcze gorszy niż wcześniej, jak gdyby była istotą dryfującą na głębokim oceanie i niewiedzącą, gdzie mogłaby zakotwiczyć.

- Sama nie wiem. - Maryam poruszyła się niespokojnie. - Nie przyszło ci do głowy, że może byłoby lepiej, gdyby nic sobie nie przypomniiała?

Pomyślała o tym, co sama przeszła, o dręczących ją ludziach i okropnościach, które widziała. Ileż by dała, żeby o tym zapomnieć! Poza tym czuła, że ktoś zrobił coś złego Celii. Wskazywały na to jej połamane nogi i... to dziecko. Za każdym razem, kiedy o nim myślała, coś ją silnie ścisnęło za gardło. Jeśli kiedyś zobaczę jeszcze Bocellego, wyciągnę wszystko z tego drania! - pomyślała. Mogę to przysiąc na Nanę i Leyę, choćby to była ostatnia rzecz, jaką zrobię.

Klnę się na własne życie!

Celia obudziła się z krzykiem, serce waliło jej jak młotem.

We śnie widziała człowieka, który się do niej zbliżał. Nie rozpoznała jednak jego twarzy. Próbowana przed nim uciekać, lecz nogi wrosły jej w ziemię, chciała krzyczeć, ale gardło wypełniała cisza. Nagle coś ją przygniotło do ziemi, ból narastał, był coraz większy, a ona z trudem łapała oddech, a potem poczuła rozdzierające klucie między nogami, jakby jakaś ludzka dratwa

przeszywała jej wnętrze, rozszarpując trzewia - jakby ktoś ją otwierał od wewnątrz. Sama nie wiedziała, jak to się stało, ale poczuła szorstkie deski pod policzkiem. Leżała chyba na zwiniętych linach, wokół rozchodził się jakiś zgniły zapach, chyba martwych ryb... no, chłopcy, kończcie... A potem coś jeszcze, czyjeś ciało na niej, na jej udach... no, chłopcy, kończcie, im szybciej się z tym uporacie, tym szybciej wrócimy do domu... Dłonie mężczyzny coraz bliżej i bliżej tego miejsca, porozrywanego, zakrwawionego, które w końcu, w którymś ułamku wieczności, udaje mu się odnaleźć. Jego oddech coraz szybszy, smród ryby, który ma w uszach, na policzkach, na całej twarzy, potem nagle z przerażeniem dociera do niej, że tamten ją liże po twarzy, a potem czuje go w sobie, nagle, bez uprzedzenia, dobry Boże!, i ból, coraz większy ból, znowu, Boże, pomóż mi!, czuje jego wilgotny oddech, który przypomina płacz, i ma wrażenie, że jeśli to dalej potrwa, to nie wytrzyma, po prostu rozpadnie się na dwie połowy...

Celia usiadła na swym posłaniu z koszulą przesiąkniętą potem.

Potrzebowała paru minut, żeby dojść do siebie. Po chwili zobaczyła, że otacza ją noc, a ona wraz z innymi kobietami leży na pokładzie kecza. Kapitan kazał zakotwiczyć na noc w wąskiej zatoczce. Stromy pobliski stok porastały pinie, które schodziły aż do linii wody. Nawet na otwartym pokładzie było bardzo gorąco. Cykady, tak hałaśliwe w ciągu dnia, teraz umilkły, ale do jej uszu docierały odgłosy z kecza: skrzypienie masztów, pobrzękiwanie kotwicy, a także krzyki nocnych ptaków. Świecił księżyc w pełni, na tyle jasno, że widziała czerwien wiszącej na gwoździu wbitym w bezanmaszt opaski Maryam.

Kiedy tak leżała, próbując zapomnieć o śnie, usłyszała jeszcze jeden dźwięk. Coś jakby chlapanie wody za burtą. Celia podpełzła do niej i spojrzała na morze. Zobaczyła najpierw odbicie księżyca w wodzie, a potem dwa delfiny, które co jakiś czas wyskakiwały nad powierzchnię.

Obserwowała je przez chwilę jak w transie. Poczuła nagle zamieszanie w głowie, chaos, zgiełk... A później kolejny kawałek mozaiki trafił na swoje miejsce.

To było upalne lato, takie jak teraz, zabrano je, żeby popatrzyły na delfiny igrające w morzu Marmara.

Płynęły w małej łodzi - nie, to była flotylla złożona z takich łódek, na wszystkich płonęły lampiony, które wyglądały jak morskie świetliki. Powietrze wypełniał zapach róż. Ktoś grał na jakimś instrumencie, parę kobiet się śmiało... Przed sobą miały barkę matki sułtana z osłoniętą kabiną na rufie, wyłożoną kością słoniową i hebanem, a zdobioną drogimi kamieniami, macią perłową i złotą folią. Były tam Gulbahar, Turhan i Fatima. No i oczywiście Aisza... Serce znowu podskoczyło jej w piersi. Aisza!

Przecież Aisza miała inne imię!

Aisza. Annetta.

Annetta. Aisza.

Jednak nic więcej nie mogła sobie przypomnieć. Nagle przestało jej się kręcić w głowie, a piękny obraz rozplynął się niczym mgła. Im bardziej starała się go zatrzymać, tym szybciej znikał. Znowu znajdowała się na trzeszczącym keczu i miała na sobie przesiąknięte solą ubrania. Wokół spały akrobatki.

Poczuła też ruch maleństwa w pieluchach. Usłyszała jego cichutki głos, który bardziej przypominał miauknięcie małego kota niż płacz dziecka.

Nie budź się, proszę, jeszcze się nie budź. Sięgnęła po zawiniątko i wzięła je niezręcznie w ramiona. Nie przycisnęła go jednak do serca, tak jak powinna to zrobić matka. Miała po prostu nadzieję, że kołysanie ponownie uśpi dziecko.

Popatrzyła na osrebrzone księżycem morze, wąską zatoczkę i pinie, które rosły na zboczu. Całkowita cisza, nawet tchnienia wiatru... Spojrzała na dziecko i na wodę. A potem znowu na dziecko.

Wyglądało na to, że się uspokoiło. Odłożyła znowu zawiniątko, ale tym razem na drugą stronę, bliżej końca pokładu. Może trochę za blisko... Rozejrzała się dookoła. Zobaczyła tylko kształty śpiących kobiet. Żadna się nie poruszyła.

Siedząc tak w świetle księżyca, Celia odniosła nagle wrażenie, że wraz z dzieckiem są jedynymi istotami na całym bożym świecie. Poczucie osamotnienia było tak olbrzymie, że aż ścisnęło jej gardło. Trudno je było znieść. W dole woda uderzyła delikatnie o burtę łodzi.

Znowu przysunęła się bliżej krawędzi i popatrzyła w dół. Morze było ciemne, niemal czarne pod rozsrebrzoną powierzchnią. Jej dziecko znajdowało się teraz niebezpiecznie blisko krawędzi statku. Widziała pieluchę zawiniętą wokół jego jedynej kończyny. Celia chciała je przygarnąć do siebie i w tym momencie zadrżała jej ręka.

Nikt by tego nie widział, nie słyszałby plusku. Po prostu zwróciłaby je głębinie... Oczami duszy widziała, jak ta małeńka istotka płynie sobie swobodnie, poruszając rybim ogonem. Skacze nad fale niczym delfin...

Maryam obudziła się tuż przed świtem. Miejsce, gdzie Celia zwykle spała, było puste, ale kiedy rozejrzała się, zauważyła, że dziewczyna siedzi teraz bliżej burty. Na kolanach miała, jak to się często zdarzało, swój wyszywany miszek.

Maryam wstała z trudem, czując, jak trzeszcza jej kości, a następnie usiadła obok dziewczyny.

- Czego tak wciąż szukasz? - spytała szeptem. - Pamiętasz, co zgubiłaś?

Celia popatrzyła na nią nieobecny wzrokiem.

- Nie mam pojęcia. Wiem... wiem, że coś tu miałam, coś bardzo cennego... Ale teraz mieszek jest pusty, a ja miałam tego pilnować... Nie domyślasz się, co to mogło być?

Maryam pokręciła głową. Wzięła mieszek, który w jej dłoniach wyglądał jak coś, co może należeć do dziecka lub lalki.

- Miałaś to ze sobą w starym ubraniu. - Wywróciła mieszek na lewą stronę, uważnie przyglądając się jedwabnym niciom, którymi go zszyto. - Jednak w środku był tylko stary kamień. Pamiętasz może, skąd pochodzi?

- Chodzi ci o mieszek? - Celia uśmiechnęła się lekko. - Oczywiście. Wszystkie kobiety w haremie takie miały, nawet matka sułtana. Nosiłyśmy je przy paskach i tam wkładałyśmy nasze wynagrodzenie... - Urwała, bo nagle coś sobie przypomniała. Wspomnienie było jednak nikłe i prawie nieuchwytnie.

- Więc były w nim pieniądze? - spytała Maryam. - Może parę asperów?

- Pewnie tak.

Celia spojrzała na nią. Zastanawiała się, czy powinna powiedzieć jej o delfinach i o wspomnieniach, które w niej obudziły, ale prawdę mówiąc, wciąż trochę się bała tej małomówniej olbrzymki w skórzanym kaftanie.

Słońce weszło i kobiety na łodzi budziły się powoli. Celia widziała teraz wyraźniej twarz Maryam w bladym świetle poranka. Bez opaski jej ciemne włosy wisiały po obu stronach tłustej twarzy. Nad górną wargą ciemniał meszek. Maryam była niemal doskonała w swojej brzydocie. Jak to jest być wybrykiem natury? - zastanawiała się Celia.

Po chwili dotarło do nich cichutkie kwilenie.

Kiedy Celia nie wykonała żadnego ruchu, Maryam spojrzała w jej stronę.

- Mogę?

Dziewczyna skinęła głową i patrzyła, jak tamta bierze dziecko. Widok był zupełnie nierealny: olbrzymka i małe dziecko. Maryam trzymała tłumoczek tak ostrożnie, jakby bała się, że go upuści. Nie w ramionach, ale w swoich dłoniach. Jej szeroka, naznaczona śladami po ospie twarz wyrażała bezgraniczną czułość. Celia zawstydziała się nagle. Dziecko znów wydało parę dźwięków, a następnie nad brzegiem pieluchy pojawiła się jego rączka. Maryam wyciągnęła palec w jej kierunku, a potem wstrzymała oddech, kiedy dziecko zdołało go chwycić.

- Popatrz na tę rączkę - szepnęła i nagle jej rozświetlona wewnętrznym blaskiem twarz wydała się piękna. - Jak trzepocząca się ćma...

Celia zmarszczyła brwi.

- Nie wiem nawet, czy to chłopiec, czy dziewczynka.

- Jasne, że chłopiec - odparła Maryam, która nie mogła oderwać oczu od dziecka.

Znowu powiał wiatr i odsłonił dolną część jego ciała: dwie nogi połączone w jedną kończynę i przypominające rybi ogon stopy. Celia instynktownie odwróciła głowę.

Maryam zauważyła jej minę.

- Nie masz się czego wstydzić.

- Wcale się nie...

- I dlatego się rumienisz?

Rzeczywiście, na jej twarzy pojawił się rumieniec. Jednak Celia wiedziała, że wywołał go nie tylko wstyd, ale też obrzydzenie. Nie mogła bez wstrętu patrzeć na tę kończynę. Robiło jej się niedobrze, żołądek podchodził jej do gardła... I chociaż wiedziała, że Bóg ją za to pokarze, to wciąż myślała o tym, czy nie powinna zwrócić dziecka głębinom... Wiedziała jednak, że nie może powiedzieć tego Maryam.

Celia zastanawiała się, czy olbrzymka podejrzewała, co ona chciała zrobić z dzieckiem.

- Moi rodzice wciąż się mnie wstydzieli - powiedziała Maryam, ale w jej głosie nie było goryczy. - Zawsze byłam za duża. Uważali, że jestem dziwolągiem. - Wzruszyła ramionami. - I pewnie jestem. Kiedy miałam jedenaście lat, przerosłam ojca, a przecież był wysoki i silny. Chowali mnie przed sąsiadami, nie pozwalali bawić się z innymi dziećmi... - Potrząsnęła głową, jakby chciała odpędzić od siebie te wspomnienia. - Ale nikt nie będzie się wstydził tego maleństwa. - Czule przykryła dziecko pieluchą.

Zawinięte niemowlę zaczęło kręcić główką i wydawać ten sam przypominający miauczenie odgłos.

- Jest głodny - powiedziała Maryam.

- Ale nie chce jeść. - Celia popatrzyła z żalem na dziecko.

- Spróbuję go nakarmić...

Wstała i przeszła do miejsca, gdzie trzymały bagaże. Po chwili wróciła z mlekiem.

Wzięła dziecko na ręce i położyła w zgięciu łokcia, a następnie zaczęła maczać palec w mleku i karmić je cierpliwie kropla po kropli.

- Spójrz - twarz Maryam się rozjaśniła - je!

Celia popatrzyła na czerwone i pomarszczone niczym noworodek dziecko w objęciach Maryam i zrozumiała to, co Elena wiedziała już znacznie wcześniej.

- Przykro mi, ale może już być za późno - rzuciła, zanim zdołała się powstrzymać.

- Za późno? Nigdy nie jest za późno! - Znowu udało jej się wsączyć parę kropel do ust umierającego dziecka. - Jeśli je, to znaczy, że będzie silniejsze. - Spojrzała czule w dół. - Jeden z marynarzy powiedział mi, że mają tam lekarzy i *ospedale*. Będę o nie dbała. Przysięgam.

Klnę się na własne życie.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Carew dotarł do *palazzo* Constanzy zaledwie parę godzin przed zmierzchem.

Ambrose podwiózł go łódką do mostu Rialto, a potem Carew szedł pieszo. Po otwartych przestrzeniach laguny i świeżej morskiej bryzie wąskie boczne uliczki miasta wydawały mu się jeszcze bardziej zatłoczone i głośnie. O tej porze było najgoręcej i żar buchał od tynkowanych ścian domów niczym od pieców chlebowych. Za oknami suszyło się pranie, czuł smród kanałów, a także zapach ryby, którą smażyono zapewne na kolację służbie w jakimś bogatym domu. Minęło go dwóch goniących psa chłopców z obwarzankami, nazywanymi tutaj *simit*.

Carew szedł przed siebie. W przeciwieństwie do Pindara, który wszędzie pływał gondolą, John znał te boczne uliczki jak własną kieszeń - mostki i ślepe *calle* z budynkami z odpadającą płatami różową i żółtą farbą, *sottopassagia* i ukryte podwórka, a także przykry zapach, który się tu unosił. Jednak teraz nawet on wydawał się zagubiony.

W dłoni miał małą, aksamitną sakiewkę upuszczoną przez zakonnice. Odkąd opuścił wyspę, wciąż myślał o tym samym.

Czy to możliwe, że brylant trzymano w dokładnie takiej samej sakiewce, czy też jednak się myli? W *ridotto* było dość ciemno, paliły się jedynie świece, a oni widzieli brylant tylko przez chwilę. Ale jeśli była to taka sama sakiewka, skąd mogła ją mieć ta zakonnica? Carew przeciągnął dłonią po włosach. Czy możliwe, że to właśnie ona jest tą damą z haremu?

Coś jeszcze dręczyło go w związku ze *suorą* Annetą. Było w niej coś znajomego, ale nie potrafił powiedzieć dokładnie co.

W końcu, po długiej wędrówce, dotarł do tylnego wejścia do *palazzo* Constanzy. Kiedy chciał zastukać do drzwi, zauważył ku swemu zdziwieniu, że są one otwarte i lekko uchylone. Pchnął je więc i wszedł ostrożnie do środka.

Na małym podwórku panował większy niż zazwyczaj bałagan. Drewno do kuchni, zwykle porządnie ułożone, leżało teraz na stercie, przy ścianie stały połamane meble, a między kamieniami zaczęły wyrastać chwasty. Rosły również przy marmurowych schodach, które prowadziły do *piano nobile*. Bluszcz rozplenił się na murku, a nawet przedostał się na jego drugą stronę.

Na środku podwórka znajdowała się kamienna studnia. Stała przy niej odwrócona do niego plecami kobieta, zajęta wyciąganiem drewnianego wiadra. Na nogach miała wysokie saboty, by nie zabrudzić pantofelków. Podciągnęła też wyżej swoją wierzchnią spódnicę. Dopiero po chwili dotarło do niego, kim jest.

- Constanza...?

Kobieta odwróciła się gwałtownie, a kiedy go zobaczyła, uniosła dłoń do czoła.

- John? - Patrzyła na niego jak na obcego. - Ale mnie wystraszyłeś!

Carew bez zbędnych komentarzy wziął wiaderko, które stało na kamiennym brzegu studni, i zaniósł je do kuchni. Constanza wolno szła za nim.

Kuchnia też wyglądała na zaniedbaną: płytki na podłodze były poplamione i tłuste, na szafce piętrzyły się brudne naczynia. Piec był zimny i dawno już w nim nie palono.

- *Senti...* - Constanza chciała coś powiedzieć, ale uciszył ją gestem.

- To tylko ja. Nie musisz się tłumaczyć.

- Nikt normalnie nie korzysta z tego wejścia. Goście wchodzi przez bramę od strony kanału
- wyjaśniła zmieszana.

- Gdzie twoja służba? - spytał.

- A któż to może wiedzieć? - Wzruszyła ramionami, a potem opuściła spódnicę, żeby zakryć halki. - Pamiętasz moją pokojówkę, Tullię? Czasami przychodzi, ale dziś jestem sama. A reszty nie widziałam od wielu miesięcy. - Ponownie wzruszyła ramionami.

Carew nie widział jej chyba nigdy za dnia. Zwykle spotykał się z nią w wielkiej komnacie z oknami wychodzącymi na kanał, gdzie w latach świetności przyjmowała klientów.

W dziennym świetle wyglądała zupełnie inaczej: twarz miała postarzałą, zmarszczki koło oczu i wiotką skórę na szyi. Pomyślał, że robi wszystko, by mężczyźni widzieli ją tylko przy świecach. Większość tych, od których zależał jej byt, wybaczyłoby jej wiele, ale nie te oznaki starości.

Nie uważasz, że nie ma nic bardziej żalosego od starej kurwy? - przypomniał sobie okrutne słowa Francesca. Mimo to widok tej kobiety w zaniedbanej kuchni wydał mu się czymś niemal obrazoburczym.

Constanza rozluźniła się nieco dopiero wtedy, gdy znaleźli się na górze w jej komnacie. Jednak teraz ten wielki pokój z łóżem z baldachimem, małym stolikiem przykrytym tureckim dywanem i ze ścianami, które odbijały echo, jeszcze bardziej przypominał pusty kościół.

Constanza zasłaniała okna balkonowe na dzień lnianymi zasłonami, żeby chronić się przed gorącem, ale teraz odsłoniła je z nadzieją na wieczorną bryzę.

- *Che caldo!* - Wytarła skronie i szyję chustką. - Mój Boże, co za upał! Słyszałeś, podobno znowu grozi nam zaraza.

Wieczne światła odbite od wód kanału tańczyły na suficie nad jej głową. Constanza patrzyła przez jakiś czas na jego spokojną taflę, a potem spojrzała na Carew. Na plecach miała grubą, czarny warkocz. Włożyła tę samą krwistą turecką szatę co ostatnio.

Oparła głowę o jedną z kamiennych kolumn.

- Przyjdzie? Jak myślisz?

Carew uśmiechnął się lekko.

- Poprzednio też o to pytałaś. Pamiętasz?

- Tak. - Constanza zamknęła oczy. - Ale co mi teraz odpowiesz?

Początkowo Carew milczał, a potem mruknął niechętnie:

- Miałem nadzieję, że ty mi to powiesz.

- Więc również go szukasz! Zatem, tak jak poprzednio, będziemy czekać na Paula Pindara. -

Constanza westchnęła lekko. - Nie masz pojęcia, jak bardzo jestem już tym zmęczona.

Miała na sobie złoty naszyjnik z rubinem i zaczęła się nim w roztargnieniu bawić.

- To prawda, że był tu parę razy po tym pamiętnym spotkaniu z Ambrose'em Jonesem, ale potem już go nie widziałam. - Urwała na chwilę, a później, wciąż odwrócona do niego plecami, zapytała: - Nadal ją kocha, prawda?

- Kocha?

- Te dziewczynę. Celię Lamprey.

- Trudno kochać kogoś, kto nie żyje - rzucił bardziej opryskliwym tonem, niż zamierzał. - Moim zdaniem to nie ma sensu.

- Skąd wiesz, że nie żyje?

- W każdym razie dla niego umarła. - Carew spojrzał na nią kamiennym wzrokiem. - Na jedno wychodzi.

- Mówisz jak prawdziwy filozof. - Constanza z trudem przywołała uśmiech na twarz. - Bravo, John! Napij się trochę wina, zanim pójdziesz.

Podeszła do stolika, na którym stał dzban z winem, a także talerz z chlebem i serem. Jej kroki na kamiennej podłodze brzmiały niczym szept.

- A ty, John? - Podała mu napełniony kielich. - Czy byłeś kiedyś zakochany? - Popatrzyła na niego poważnie, ale kiedy zobaczyła jego minę, zaczęła się śmiać. - O tak, słyszałam o twoich nocnych wędrówkach. Wizytach w klasztorze... Jeśli o mnie idzie, nie masz się czego obawiać. - Posłała mu uśmiech sennej kotki. - Mogę tylko powiedzieć, że współczuję tej, która się w tobie zakocha.

Carew nic na to nie odrzekł. Podeszedł do stolika. Między papierami, piórami, kamiennym kałamarzem i nożem do przycinania piór leżała talia kart do tarota. To właśnie ich Constanza używała do przepowiadania przyszłości. Popatrzył na zagadkowe postaci na kartach: Maga, Księżyc, Głupca, Wisielca - tak, tak właśnie skończy, jeśli zostanie dłużej w tym mieście. By uniknąć kolejnych pytań, wziął do ręki jedną z zapisanych kartek.

- Czy Paul pozwala ci, ot tak, czytać swoje pisma? - zapytała, unosząc ze zdziwienia brwi.

- Nie wiedziałem, że pisujesz poezje - powiedział i podał jej kartkę.

- Żąda tego jeden z moich klientów. Tego i oczywiście tarota. Ten wiersz jest na przyjęcie, które jutro wydaje w ogrodach na wyspie Giudecca. - Rzuciła okiem na zapisaną stronę, a potem odłożyła ją ostrożnie na stolik.

Carew wciąż spoglądał na karty tarota, rozłożone tak jak poprzednio na tureckim dywaniku. Constanza zauważyła to i pokiwała głową.

- Pamiętasz, jak ci wróżyłam? Jest coś, co mnie do tej pory zastanawia. - Usiadła przy stoliku, zebrała karty, przełożyła i zaczęła tasować. Następnie zrobiła z nich wachlarz. - Wybierz jedną.

Zachowywała się do tego stopnia figlarnie, że wyglądało to tak, jakby odgrywała wyuczoną rolę.

- Jak już mówiłem, doskonale wiem, co mnie czeka w życiu - rzucił Carew, ale mimo wszystko wybrał jedną kartę i nie patrząc, podał ją Constanzy. - Wezmę też jedną dla ciebie, jeśli chcesz. - Kolejną również położył postacią do dołu. - Proszę.

Constanza popatrzyła na niego, a potem na obie karty.

- Chcesz wiedzieć, co wybrałeś?

- Nie przyszedłem tu po to, by poznać własną przyszłość - odrzekł, a potem zacisnął pięść tak, że aż trzasnęły mu knykcie. - Chcę zostawić wiadomość. Dla Paula.

- Jak widzisz, nie ma go tutaj. - Skonsternowana gospodyni patrzyła na karty tak, jakby bała się ich dotknąć.

Carew wyjął zza pasa jeden z noży i ukroił sobie kawałek sera. Wiedział, że musi teraz powiedzieć to, co miał do powiedzenia, gdyż inaczej może być za późno. Włożył ostrożnie ser do ust.

- Pindar widział brylant, o którym mi mówiłaś. Ja też go widziałem.

Constanza nagle zamarła.

- Błękitny brylant sultana?!

- Właśnie.

Przypomniał sobie ten niezwykły klejnot, błękitny ogień, który zdawał się w nim płonąć. Sprawiał wrażenie, jakby pochodził z zupełnie innego świata.

- Widziałeś go? A więc rzeczywiście istnieje. - Constanza oparła się o krzesło. - Gdzie to było? Nie, nie mów...

- U tego, o którym wspomniałaś... Jak on się nazywa? Zdaje się Memmo...

- U Zuanne? Zuanne Memmo? - Constanza położyła dłoń na zdobiącym jej dekolt rubinie.

- Zaprowadził nas tam znajomy Paula, który przyjaźni się z tym Memmem. Niejaki Francesco. Wcale mi się nie podobał.

- Francesco? - Constanza pobladła. - Francesco Contarmi? - Powiedziała to tak, jakby dła-wiła się tym nazwiskiem.

- Więc jego też znasz?

- O tak, jak zły szeląg. Przyjaźnił się kiedyś z Paulem. Jest gorzej, niż myślałam. Contarini coś knuje, wspomnisz jeszcze moje słowa... - Coś nagle przyszło jej do głowy. - Ale nie chcieli...?

- Żeby zagrał o ten klejnot? Nie, jeszcze nie.

- Bogu niech będą dzięki! - Constanza, która już niemal wstała, opadła z powrotem na krzesło. - Dobry Boże, Contarini i Memmo! Dlaczego nie powstrzymałam Paula, kiedy jeszcze mogłam to zrobić?!

- Ale o niego zagra, zagra - rzekł z goryczą Carew. - Musi im tylko udowodnić, że ma pieniądze.

- Więc mamy jeszcze czas!

- Na co?

- Oczywiście, żeby go powstrzymać.

- Powstrzymać? - Carew popatrzył na nią tak, jakby oszalała. - Nie sądzę, by komukolwiek się to udało.

Carew opowiedział jej krótko o rozmowie Paula z Prosperem Mendozą, której był świadkiem. O plotkach na temat kobiety, niegdyś niewolnicy Wielkiego Turka, która przywiozła brylant do Wenecji. O tajemniczym mężczyźnie z Konstantynopola, który podobno przegrał go w karty, a potem zniknął.

- Nie, nie rozumiem... - Constanza zrobiła zdziwioną minę. - Czy Paul uważa, że te zdarzenia są ze sobą powiązane? Niby w jaki sposób?

- Nie wie tego z całą pewnością, ale sama przyznasz, że to dziwny zbieg okoliczności... Powinnaś wiedzieć coś jeszcze. - Opowiedział jej pokrótce o napisie. - Prospero twierdzi, że to nie jest zwykły kamień szlachetny, że ma właściwości magiczne... A Paul, który zdołał odczytać napis, jest przekonany, że ten klejnot doprowadzi go do Celi lub przynajmniej pozwoli dowiedzieć się czegoś na jej temat.

Constanza milczała przez chwilę.

- Mówiłeś, że ten mężczyzna z Konstantynopola gdzieś zniknął, ale co z tą kobietą z haremu?

- Wygląda na to, że woli żyć w odosobnieniu i znalazła schronienie w jednym z klasztorów. Chciałem właśnie, żebyś przekazała to Pindarowi. Popatrz. - Carew sięgnął za pazuchę i wyjął wyszywaną sakiewkę zakonnicy. Znalazłem ją.

- I co? Rozmawiałeś z nią?

Sakiewka leżała na dłoni Constanzy - niewielka, różowa, wyszywana srebrną nicią w tureckie wzory. Przyjrzała się jej uważnie. Żeby ją zamknąć, trzeba ją było ściągnąć sznurkiem, a potem

przytroczyć do paska. Materiał był bardzo sztywny, jakby od spodu wzmocniono go pergaminem lub papierem.

- Nie, raczej nie...

- Jak to: „raczej”? - zdziwiła się. - Wiesz przynajmniej, jak się nazywa?

Carew wbił wzrok w podłogę.

Annetta. Znał już jej imię. Brzmiało Annetta, ale jakoś nie mógł się zdobyć, by wypowiedzieć je głośno. Miał jeszcze przed oczami te chwile spędzone razem w ogrodzie. Ileż razy je sobie przypominał? To uczucie, że widzi ją po raz pierwszy, pieprzyk na jej policzku, długie pasmo ciemnych włosów. Patrzył, jak odchodzi, a sam nie mógł ruszyć się z miejsca...

- John, słyszysz mnie? Zapytałam, na czym opierasz swoje domysły. - Słowa Constanzy przebiły się przez obrazy. - Skąd pewność, że to właśnie ona?

- Początkowo wcale nie byłem tego pewny. - Wziął od niej sakiewkę, przytknął do nosa i ostrożnie powąchał. Na co liczył? Że poczuje jej zapach? Nie, nic z tego... - Ale Memmo trzyma brylant w identycznej sakiewce.

- To wszystko? Mogą być przecież setki podobnych woreczków.

- Jest coś jeszcze, chociaż sam nie wiem... - Carew się zawahał. - Sposób, w jaki ona chodzi...

- Chodzi? - Constanza popukała się w głowę. - Nic z tego nie rozumiem.

- W Konstantynopolu widziałem kiedyś kobiety z haremu sułtana. - Dostrzegł spojrzenie Constanzy i skrzywił się lekko. - Naprawdę. To długa historia...

- *Madonna*, nawet wtedy byłeś *monarchino*! - rzuciła ze śmiechem, ale zaraz spoważniała. - I co? Te kobiety chodziły jakoś specyficznie?

- Właśnie. W taki falujący sposób. I miały przy tym bardzo płynne ruchy... Trudno to opisać, ale jakbyś je zobaczyła, zrozumiałabyś. Gnębiło mnie to już od jakiegoś czasu, ale dopiero niedawno to sobie uświadomiłem, gdzie widziałem taki chód.

W komnacie zapadła cisza.

- To i tak niewiele - stwierdziła w końcu Constanza.

- Wiem. Ale jeśli mu o tym powiemy, może zapomni na chwilę o brylancie. Zyskamy wówczas trochę czasu, żeby znaleźć jakiś sposób na wyrwanie go z tego szaleństwa.

- Naprawdę sądzisz, że zechce grać o brylant sułtana? Carew spojrzał na nią uważnie.

- Wiem, że widziałas, jak gra w karty. Skinęła potakująco głową.

- Jest wtedy jak opętany. Jakby to była jakaś choroba. Gra o najwyższe stawki... A ja wiem, że gotów jest się zapożyczyć, byle tylko zdobyć ten brylant. I wówczas już naprawdę będzie zrujnowany.

Constanza wstała i zaczęła chodzić po komnacie. Zatrzymała się przy oknie, jakby nie bardzo wiedziała, co ze sobą zrobić.

- To moja wina - rzekła ze ściśniętym gardłem. - Nie powinnam była nawet wspominać...

- I tak by się o nim dowiedział.

- Nic nie rozumiesz. - Obróciła się w jego stronę. - Mogłam wtedy coś powiedzieć, gdybym tylko... trzeźwo myślała.

- Co takiego?

- Mogłam powiedzieć...

- Tak?

- O czymś, czego dowiedziałam się od jednego z moich klientów. Tego od poezji. On zresztą też lubi karty: *primero*, *bessano* i tym podobne. Czasami dowiaduję się różnych rzeczy, kiedy... - uśmiechnęła się lekko - kiedy panowie mają już ochotę na sen. Wiem tylko, że w tej grze nie będzie wygranych. Zuanne nie ma zbyt dobrej reputacji, a Francesco jeszcze gorszą. Ha! - Uniosła gwałtownie ręce. - Znacznie gorszą! W czasie jednej z gier zabił człowieka.

- Dlaczego Paul nie powinien grać?

- Bierze w tym udział za dużo cudzoziemców.

- Za dużo cudzoziemców? - Carew wbił w nią wzrok. - To znaczy?

- Łatwo ich oszukać.

- Ustawią grę?

- Nie sądzę. - Constanza zmarszczyła brwi. - Zbyt wiele osób o niej wie. Wszyscy będą im patrzeć na ręce. Ale na pewno czegoś spróbują...

Carew w milczeniu myślał o tym, co przed chwilą usłyszał, patrząc na swoje poznaczone bliznami po skaleczeniach i oparzeniach dłonie.

- Jeśli mu o tym powiemy, uzna, że chodzi nam tylko o to, żeby odwieść go od gry - rzekł w końcu. - Wiem, że chce zdobyć brylant, i o ile go znam, nie ma sposobu, by zrezygnował.

Constanza popatrzyła na niego smutno. *Carissime* John, pomyślała. Nie próbowała nawet zaprzeczać.

- Co więc zrobimy?

Teraz Carew podszedł do okna. Przypomniał sobie tę noc, gdy czekał tu z nią na Jonesa. Cóż, nie udało mu się zawstydzić Paula tak, żeby przestał grać. Sam nie wiedział, jakie złe moce mu w tym przeszkodziły. Może powinien jednak zapytać Constanzę, co mówią karty. Poczł się nagle zmęczony. Nie miał takiego zamiaru, ale teraz zdecydował, że powie o wszystkim Constanzy.

- Pod koniec przyszłego tygodnia odpływa stąd statek do Anglii.

- Wyjeżdżasz?

- Tak.

- Nie możesz go teraz opuścić.

- Nie rozumiesz, on sam wydał mi rozkaz. - Carew popatrzył na czarne wody kanału. - Poza tym nic więcej nie mogę już dla niego zrobić. Wyczerpałem możliwości.

- Musisz wrócić do tego klasztoru. Masz na to jeszcze czas i znajdziesz sposób, by porozmawiać z tą zakonnice.

Carew wciąż stał odwrócony do niej plecami.

- Nie mogę - powiedział.

- Co takiego?

- Nie mogę tam wrócić.

- Dlaczego? Nie odpowiadał.

- Boisz się? - zaczęła się z nim drażnić. - To do ciebie niepodobne, John. Wiem, że kary za naruszanie spokoju zakonnice są wysokie, ale...

Słowa same zamaryły jej na wargach, kiedy Carew obrócił się gniewnie w jej stronę.

- Jasne, że się nie boję! Sprawa jest... dość skomplikowana - mruknął. - Skontaktuj się z Jonesem, zna jedną z tamtejszych zakonnice. Miał nawet w rozmowie z nią poruszyć ten temat... - Nagle przyszło mu do głowy, że nawet nie zapytał Ambrose'a, czego się dowiedział.

- Mam się skontaktować z Ambrose'em Jonesem?! Tym nadętym głupkiem w żółtym turbanie? Z tym... - szukała odpowiedniego słowa - mandrylem?! Myślisz, że można mu zaufać?

- Nie przepadam za nim, podobnie jak ty, ale okazało się, że zbiera informacje dla Kompanii Lewantu. - Carew wciąż czuł upokorzenie na myśl o tym. - Od dawna znają się z Pindarem. Na pewno postara mu się pomóc, choćby ze względu na własny interes.

- Własny interes? Jesteś pewny? A czym dokładnie interesuje się *signor* Jones? - spytała sucho Constanza. - Jakoś nie mogę mu zaufać, nawet jeśli ty skłonny jesteś to zrobić. Znam takich ludzi. Tylko jedna rzecz nimi kieruje. *Avarizia*. Chciwość. Dla kogo jeszcze pracuje? I co tak naprawdę robi? Powinieneś się nad tym zastanowić. Jestem pewna, że nie tylko dla Kompanii Lewantu... Nie, nie, musimy znaleźć inny sposób. - Złapała Carew za ramię i nim potrząsnęła. Nigdy wcześniej nie widział, by była tak podekscytowana. - Musisz tam wrócić, John! Wróć do klasztoru i porozmawiaj z tą zakonnice.

Mężczyzna wyszarpnął ramię z uścisku i odsunął się nieco dalej, ale ponieważ od razu nie odmówił, wiedziała, że się zgodzi.

- Tylko obiecaj, że tym razem nie będziesz przechodził przez mur - rzekła już nieco cieplej.

- Po prostu skorzystaj z bramy.

- Po moich doświadczeniach przechodzenie przez mur wydaje się łatwiejsze. - Uśmiechnął się krzywo. - Nie przejmuj się. Jakoś sobie poradzę. A tymczasem...

- Tymczasem ja też spróbuję się czegoś dowiedzieć. Choćby dziś w czasie wizyty w Giudacce...

- A jeśli się czegoś dowiesz...

- Natychmiast ci to przekażę - zapewniła.

Constanza patrzyła na plecy odchodzącego Carew. Szedł cicho po drewnianej podłodze. Kiedy wróciła do pustej komnaty, poczuła się bardzo samotna. Podeszła do stolika, żeby nalać sobie wina, i zobaczyła dwie karty tarota, leżące postaciami do dołu. Jedna była Carew, a druga jej. Wyciągnęła rękę, żeby je odwrócić.

I po raz pierwszy w życiu się zawahała.

Poczuła strach, zimne mrowienie wzdłuż kręgosłupa.

Constanza potrząsnęła głową. Przecież to tylko gra, zwykła karciana gra. Nawet dzieci w nią grają.

Odwróciła je szybko, nie zastanawiając się, która jest czyja. I znowu, tak jak się obawiała, zobaczyła te same postaci.

Nie myliła się zatem.

Kochankowie.

Śmierć.

Ale jacy kochankowie? I czyja śmierć?

Zadrzała, a potem zgarnęła wszystkie karty do jednej talii.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Zakonnica, która poprosiła Annettę następnego dnia do saloniku, nie była zwykłą furtianką.
- Masz gościa, *suora*.

Annetta popatrzyła zaskoczona znad pędzelków, które myła w pracowni siostry Veroniki. Natychmiast rozpoznała *suorę* Caterinę, która należała do grupy, jak sama ją nazywała, *contess* - arystokratek wcale niemających powołania do zakonnego życia. Jedną z nich, jak się okazało, była sama przeorysza, wielebna Bonifacia. Inną *suora* Purificación. Ale było ich znacznie więcej, gdyż z racji prowadzenia ogrodu botanicznego i herbarium w zakonie panowała spora - niektórzy powiedzieliby: karygodna - swoboda, toteż wiele arystokratycznych weneckich rodzin decydowało się na wysłanie tu swoich niezamężnych córek.

Kiedy Annetta pojawiła się w tych murach po raz pierwszy, *suora* Caterina, która chodziła w drogich sukniach i nosiła złote łańcuchy, zrobiła na niej olbrzymie wrażenie. To było naprawdę niezwykle. Caterina nawet zwracała się do kobiet z zakonu, które należały do jej klasy, *signora* - wśród nich była jej ciotka i kilka kuzynek - a nie *suora*, jak to było w zwyczaju. Nie miała też najmniejszego zamiaru nosić strojów zakonnych, jak nakazywały przepisy. Ubierała się tylko w te rzeczy, które przywiozła w swoich *cassoni*: jedwabie, koronki i wyroby z doskonałej jakości lnu. Wszystkie przypominały wiano panny młodej, były pięknie wyszywane i opatrzone monogramem właścicielki.

Jednak nie tylko stroje zrobiły tak wielkie wrażenie na Annetcie, ale też sposób, w jaki Caterina je nosiła. I znowu, wbrew wszelkim regułom, zsuwała ona welon do tyłu, tak że ukazywała jasne włosy, w tym dwa zakręcone zalotnie kosmyki koło uszu. Wkładała buty na wysokim obcasie, stanik zsuwała tak nisko, że ukazywał wcięcie między jej niewielkimi piersiami. Przepasywała się w talii złotym łańcuchem ze zdobionym szmaragdami i rubinami krucyfiksem.

Ze wszystkich sióstr z chóru Caterina była najbliższa Annetcie wiekiem. Po powrocie z Konstantynopola Annetta popełniła błąd, nie tylko starając się ją naśladować, nosząc jedwabne stroje i wykańczane złotymi nićmi pończochy, lecz również próbując się z nią zaprzyjaźnić. Jednak *suora* Caterina potraktowała ją w okrutny sposób. Wkrótce stało się jasne, że arystokratki z klasztoru traktują Annettę, dawną konwerskę, jak kogoś niewiele lepszego od służącej, i że nigdy nie przyjmą jej do swego grona. Nie mogły zmienić tego żadne pieniądze, nawet trzy tysiące dukatów wniesione przez Annettę, choć była to największa kwota wpłacona przez zakonnice do klasztornej skarbca. W ciągu kolejnych tygodni Annetta nauczyła się wystrzegać jej leniwych spojrzeń, za którymi kryły się duma i zły charakter.

A teraz *suora* Caterina stała niepewnie na progu pracowni *suory* Veroniki.

- Masz gościa, *suora* - powtórzyła.

Unosiła ostrożnie rąbek sukni, żeby go nie zakurzyć. W drugiej ręce trzymała zdobioną koronką chusteczkę, którą przyciskała do nosa, chcąc zniwelować zapach farby. Ze sposobu, w jaki się rozglądała, wynikało, że rzadko, jeśli w ogóle, bywała w tej części klasztoru. Annetta widywała ją czasami w wysadzonej lipami alejce, kiedy szła pod rękę z jedną z kuzynek, ale Caterina nigdy nie zapuszczała się w okolice herbarium, nie mówiąc już o pracowni *suory* Veroniki.

- Jest w salonie - dodała, a widząc pytające spojrzenie Annetty, wyjaśniła: - Mówi, że przynosi ci wiadomość od kogoś, kto się nazywa Prospero Mendoza.

Chociaż Caterina była o pół głowy niższa od Annetty, zawsze sprawiała takie wrażenie, jakby patrzyła na nią z góry,

Pod czarną suknią szeleściły jedwabne, zdobione złotą nicią halki, przesuając się wolno po kamiennej posadzce. Annetta pomyślała z zazdrością, że nawet przy tej pogodzie nie wydaje się zgrzana, ale świeża niczym nadmorska bryza.

Kiedy Annetta szła za Cateriną, zastanawiała się, co stało się z *suorą* Chiara, która normalnie pełniła funkcję furtianki. Arystokratki uważały, że nie powinny kłaść się pracą, i zwykle udawało im się uniknąć wszelkiego rodzaju zajęć, które wykonywały niższe rangą zakonnice i *conversy*. Pomijając obowiązkowe modlitwy w kaplicy, odwiedzały się zwykle w swoich celach oraz częstowały owocami i słodyczami dostarczonymi przez ich rodziny. Nie interesowały się pracą w ogrodzie i z pogardą patrzyły na zakonnice, takie jak Veronica czy Annunciata, które chodziły w pobrudzonych habitach i miały twarde, pełne odcisków dłonie. Jeśli arystokratki już musiały coś zrobić, wykonywały to szybko i nieporządnie, by stało się jasne, że się do tego nie nadają.

Annetta musiała się spieszyć, by nadążyć za Cateriną.

Chociaż nie miała pojęcia, kim jest Prospero Mendoza, jakiś instynkt mówił jej, że nie powinna się do tego przyznawać. To prawda, że w klasztorze panowały mniej surowe reguły, jeśli chodziło o wizyty, ale obawiała się, że *suora* Chiara mogłaby mieć do niej jakieś zastrzeżenia. Już to wystarczało, żeby wzmóc zainteresowanie Annetty. Spuściła skromnie oczy, żeby Caterina nie zobaczyła jej miny.

- Zachorowała. Ma gorączkę - odparła krótko na jej pytanie Caterina. - Zresztą podobnie jak nasza wielebna przeorysza. Nie słyszałaś?

Przeszły jeszcze parę kroków.

- A czego chce ten Prospero Mendoza?

- Skąd mam wiedzieć? - Caterina wyglądała na znudzoną. - Wiesz, to ten znany jubiler z getta.

Jej spojrzenie było niczym policzek.

- Pewnie musiałaś sprzedać część swoich klejnotów, prawda?

Annetta pochyliła głowę i szła dalej w milczeniu, nie chcąc słuchać podobnych docinków.

Jubiler? - pomyślała z niepokojem. Czego może od niej chcieć jakiś jubiler? Jeśli nawet *suora* Caterina chciała coś wyczytać z jej twarzy, nie było to możliwe. W tej chwili przypominała ona bowiem pełną pokory maskę.

Caterina oczywiście miała rację. Annetta musiała sprzedać sporą część klejnotów. Niektóre dostała od samej matki sułtana, bardzo hojnej dla swoich zaufanych służących, ale większość otrzymała w posagu po zmarłej, kiedy to zdecydowała się już jako wolna osoba powrócić do Wenecji. Nie domyślała się jednak, że wiele z tutejszych sióstr doskonale wiedziało o tych klejnotach.

Dokonała transakcji przez zaufanego pośrednika, którego znalazł arcybiskup Torcello, aby mogła zebrać pieniądze na swoje klasztorne wiano. Annetcie nigdy nie było żal tych kamieni szlachetnych. Mimo że lubiła piękne stroje, nie przepadała za błyskotkami i nie mogła zrozumieć tych dziewcząt z haremu, które spiskowały tylko po to, by zdobyć jeszcze kilka klejnotów, albo też wydawały na nie wszystkie swoje zarobki. Były one dla nich zapewne jedynie pocieszeniem. Dla Annetty z kolei, znającej sekrety matki sułtana, te wszystkie rubiny, topazy, turkusy i perły przedstawiały wartość innego rodzaju. Zaczęła je uważać za środki potrzebne do osiągnięcia określonych celów, walutę, za którą można było kupić w haremie wpływy i władzę.

Interesował ją przede wszystkim jeden klejnot - błękitny brylant sułtana. Ale tego już nie miała i nie spodziewała się go odzyskać. Tyle że otrzymała za niego odpowiednią cenę - ludzkie życie. Nie sądziła jednak, by mógł o tym wiedzieć zwykły wenecki jubiler. Annetta natychmiast oddaliła od siebie tę myśl.

Czegóż więc może chcieć od niej Prospero Mendoza?

Na szczęście *suora* Caterina nie spodziewała się odpowiedzi na swoje pytanie. Do południa zostało jeszcze ładnych parę godzin, a i tak było już bardzo gorąco. Caterina wciąż unosiła rąbek sukni i sprawiała wrażenie świeżej jak lilie wodne w stawie. Sunęła kamienną alejką tak szybko, że Annetta miała problemy, by za nią nadążyć.

Minęły herbarium, wokół którego unosił się zapach suszonych ziół i kwiatów, następnie przeszły skrótem przez dziedziniec kuchenny. Annetta widziała poprzez jedną z arkad kawałek ogrodu z wielkimi pomarańczowymi dyniami przy murku. Nieco dalej gruba Anna jak zwykle łuskała groch. Z kuchni dochodził słaby zapach pieczonego mięsa i cebuli.

Weszły bocznymi drzwiami do rozmównicy. Annetta była jeszcze oślepiona słońcem i zauważała jedynie ciemną sylwetkę mężczyzny, który czekał na nią za kratą.

- Ten głupiec nalega, by przekazać ci wiadomość osobiście - Annetta usłyszała za sobą głos Cateriny. - No więc dobrze... - Poczowała jej dłoń na plecach. - Żeby tylko nie zajęło to połowy dnia.

Annetta podeszła wolno do kraty. Po upale na zewnątrz było jej tu wręcz chłodno. Przez chwilę oboje milczeli. Nie widziała też jego ukrytej w cieniu twarzy. Czowała jednak na sobie jego wzrok i odniosła wrażenie, że mężczyzna jest spięty. Zapewne zastanawiał się, czy go wyda. Miała ku temu nie lada sposobność, gdyż znalazła się teraz twarzą w twarz z tajemniczym intruzem, *monarchino*, mężczyzną, który uwiódł jedną, a może nawet więcej zakonnice z klasztoru. To on uciekał tak szybko, że zostawił but na rabatce. Prawo weneckie było wyjątkowo surowe wobec takich ludzi. Annetta mogła go teraz zniszczyć w ciągu dosłownie paru sekund. A jednak... jednak się wahała.

- Czy wszystko w porządku, *suora*? - spytała Caterina, która pod nieobecność Chiary miała być jej przyzwoitką.

Siedziała teraz w odległym kącie rozmównicy, ale patrzyła w ich stronę. Annetta otworzyła usta, ale nie zaczęła krzyczeć, tylko powiedziała spokojnie:

- Oczywiście. Nie przejmuj się mną, *suora*... to znaczy, *signora*. Już idę.

Wciąż jednak się wahała. Widziała coraz lepiej mężczyznę za kratami. Odniosła wrażenie, że jest blady, a jego harde niegdyś oczy patrzyły na nią pokornie. Annetta wytrzymała jego wzrok, choć nagle przyszło jej do głowy, że wcześniej nie patrzyła mu nigdy prosto w oczy. Widziała go najpierw przez lunetę, a potem w zacienionych krużgankach. Nawet kiedy spotkali się w ogrodzie, starała się odwracać wzrok. Teraz jednak stanęli twarzą w twarz.

W końcu przypomniała sobie o czekającej siostrze Caterinie i uznała, że jedno z nich powinno zacząć rozmowę.

- Masz dla mnie wiadomość, panie? - Jej głos zabrzmiał głośniejsz, niż chciała i odbił się echem od kamiennych ścian.

- Tak, pani, ee... *suora*. - Od mojego pana, Prospera Mendozy.

Oboje wiedzieli, że to kłamstwo.

Annetta ściszyła głos, tak by nie docierał do *suory* Cateriny.

- I myślisz, że w to uwierzę? Byłeś tu przecież z klientem *suory* Veroniki, a on nie ma nic wspólnego z jakimś Mendozą. Przynajmniej nic mi na ten temat nie wiadomo. - Urwała na chwilę.

- Kim w ogóle jest ten Mendoza?

Mężczyzna szepnął w jej stronę.

- Jubilerem. Przepraszam, ale nic lepszego nie przyszło mi do głowy.

Zatem jednak Caterina mówiła prawdę. Annetta poczuła, że serce zabiło jej żywiej.

- Nic lepszego nie przyszło ci do głowy? Nie rozumiem. Nikt cię tu przecież nie zapraszał! -
Cofnęła się trochę. - Kim jesteś i czego chcesz?

- Podejdź bliżej, to ci powiem.

- A dlaczego miałabym ci ufać? Mów, co masz do powiedzenia.

Mężczyzna zerknął w stronę przyzwoitki, która obserwowała ich bacznie ze swego miejsca.

- Jak chcesz. Nazywam się Carew, John Carew. - Miał miły, głęboki głos. - A ty jesteś...
Annetta - dodał szeptem.

- Znam swoje imię! - odparła z gniewem.

Miała go dosyć. Czy rzeczywiście przypuszczał, że ulegnie mu tak łatwo jak tamta zakonnica? Poczuli się tak urażona, że chciała splunąć w jego stronę, ale oczywiście tego nie zrobiła. Znała inne, lepsze sposoby na to, by się zemścić. Nawet teraz mogła zawołać inne siostry i powiedzieć im, kim jest ten człowiek. Prawdę mówiąc, sama nie wiedziała, dlaczego jeszcze tego nie zrobiła. Wciąż zastanawiała się, co spowodowało, że Carew podjął takie ryzyko. Czy rzeczywiście gotów był aż tyle poświęcić, by ją uwieść?

- Cóż, panie Carew - zerknęła w stronę *suory* Cateriny, która właśnie oglądała swoje paznokcie - proszę mi wyłuszczyć, o co panu chodzi, i oddalić się - powiedziała takim tonem, jakim arystokratki przemawiały do tutejszych służących.

Przez chwilę odniosła wrażenie, że go złamała. Carew odstał od kraty i spuścił wzrok. Jednak jej triumf nie trwał długo.

- Dobrze, pani - odparł głośniejszym głosem. - Mój pan przysłał mnie z wiadomością, że ma coś, co być może należy do ciebie.

- Cóż to za bzdury? Nawet nie słyszałam o twoim panu. Nie sądzę, by miał coś, co mogłoby mnie zainteresować...

Umilkli oboje na dłuższą chwilę.

- Jesteś tego pewna? - zapytał w końcu.

- Całkowicie. - A potem dodała szeptem: - Doskonale wiem, że to jedna z twoich głupich sztuczek.

- Więc nie chcesz tego?

Carew wyjął zza koszuli wyszywaną różową sakiewkę. Annetta spojrzała na nią i rzuciła się w jego stronę.

- *Ladro!* - Próbowała mu ją zabrać. - Złodziej! Gdzie to znalazłeś?! Natychmiast oddaj!

Jednak Carew był zbyt szybki. Za każdym razem udawało mu się cofnąć rękę, tak że nie zdołała mu wyrwać sakiewki.

- Coś się stało, *suora*? - Całe to zamieszanie wyrwało Caterinę z odrętwienia.

Oboje zamarli na dźwięk jej głosu.

- Nie, *signora*. Wszystko w porządku - rzuciła przez ramię Annetta.

Suora Caterina niemal wstała z ławki.

- Dlaczego w ogóle to tyle trwa? - zapytała.

Patrzyła na nich wyraźnie znudzona, ale ponieważ po raz pierwszy znalazła się w tej roli, nie wiedziała, co powinna zrobić.

- Ta sprawa jest... dosyć skomplikowana. - Annetta zrozumiała, że musi ją utrzymać jak najdalej od siebie. - Miałaś rację, *signora*, chodzi o moje wiano. To nie potrwa długo...

- Niech będzie - powiedziała obojętnie *Caterina* i znowu usiadła. - Ale powiedz mu, żeby się pospieszył. Nie zamierzam tu spędzić całego dnia. - Jej głos wydawał się dobiegać z bardzo daleka.

Carew podał jej sakiewkę przez kratę.

- Zgubiłaś ją w ogrodzie - wyjaśnił. - Uciekałaś tak szybko, że nie mogłem cię dogonić.

Annetta wzięła w milczeniu swój mieszek. Carew patrzył, jak przesunęła po nim palcami, jakby chciała coś sprawdzić, a potem podniosła go do ucha.

- Nic z niej nie zabrałem - powiedział. - Była pusta, kiedy ją znalazłem.

- Pusta? - Jej palce drżały tak mocno, że z trudem zdołała ją otworzyć. - Najwyraźniej nie sprawdziłeś wszystkiego dokładnie. - Patrzyła, czując, że ma zawroty głowy. - Nie masz pojęcia, ile wysiłku włożyłam w to, żeby ją znaleźć. Przetrzaśnięłam cały klasztor.

W końcu otworzyła sakiewkę, a następnie włożyła palce do dziurki, którą sama zrobiła. Po chwili trzymała w dłoni starannie złożony kawałek papieru, który mu pokazała.

- Kartka? - spytał.

- Nie, wiersz.

- Wiersz?

Tyle zamieszania z powodu jakiegoś wiersza? - zdziwił się. Widział malutkie litery, które wyglądały tak, jakby je napisały jakieś duszki. Jednak nie ważył się tego powiedzieć w obawie, że ją urazi. Wiedział, że ma mało czasu. Musiał zadać jej kilka pytań, a potem jak najszybciej oddalić się z tego niebezpiecznego miejsca. Doskonale wiedział, co ryzykuje, przychodząc tu w biały dzień i w dodatku pod tak błahym pretekstem. Miał świadomość, że ta druga, wyniosła zakonnica może go w każdej chwili rozpoznać. Jednak z jakichś powodów wciąż zwlekał.

Szukał czegoś, jakiegoś tematu, dzięki któremu mogliby rozmawiać parę chwil dłużej.

- Czy to ty... go napisałaś?

Jej nozdrza rozszerzyły się, kiedy usłyszała to pytanie.

- Nie.

Carew zamilkł, czując się wyjątkowo głupio.

- Mogę go przeczytać?

Nie odpowiedziała i tylko uniosła kartkę na chwilę do warg. Carew patrzył, jak wkłada ją z powrotem do skrytki w sakiewce. Nie mógł oderwać wzroku od Annetty. Wpatrywał się w jej profil, w śliczny pieprzyk, który miała na policzku. Nie zauważył wcześniej, że ma szeroko osadzone, duże oczy, przypominające kształtem migdały.

- Zapewne... zapewne jest dla ciebie bardzo cenny - ośmielił się w końcu zauważyć.

- Napisała go bardzo mi bliska osoba, z którą straciłam kontakt. To właśnie ona prosiła, bym przechowała ten wiersz.

- Czy również była zakonnica?

- Zakonnica? - Zaśmiała się. - Nie, nic podobnego. - Popatrzyła na niego kpiąco, przechylając na bok głowę. - Mam go doręczyć jej ukochanemu. To dla niego napisała ten wiersz. - Powiedziała to ostrożnie, jakby były to świętokradcze słowa, a ona wypowiadała je po raz pierwszy.

- Ale wciąż go masz...

- Tak, na razie. Adresat tego wiersza mieszka daleko stąd, a ja... - Jakby chcąc wyjaśnić swoją sytuację, położyła dłoń na metalowych kratkach, które ich oddzielały. Carew nie zdołał się powstrzymać i dotknął jej dłoni. Poczul ciepło jej skóry... Usłyszał ciche westchnienie Annetty...

Stali w milczeniu, patrząc sobie w oczy. Wiedziała, że powinna zabrać dłoń, ale nie była w stanie tego zrobić. Jego wzrok, tak intensywny, wydawał się dotykać jej włosów, policzków, rozchylonych ust.

- Przestań...

- Co?

- Po prostu przestań.

Zamknęła oczy, ale kiedy je otworzyła, Carew wciąż się w nią wpatrywał. Patrzył na jej brodę i szyję, jednocześnie z pożądaniem i czułością.

- Przysięgam, że cię nie skrzywdzę... nie dopuszczę, by stało ci się coś złego.

Był tak blisko, że czuła na policzku jego oddech. W tym momencie usłyszała jakiś ruch z tyłu i odskoczyła od kraty. Kiedy się odwróciła, zauważyła, że *suora* Caterina wstała ze swego miejsca i ruszyła w kierunku kogoś, kto stał za drzwiami.

- Muszę już iść...

Popatrzyła raz jeszcze. *Suora* Caterina rozmawiała teraz z jakąś inną zakonnica. Ich przyciszone głosy sprawiły, że nabrała nagle złych przeczuc.

- Muszę iść - powtórzyła z emfazą. - Jak najszybciej.

- Nie, jeszcze nie...!

Miał teraz ostatnią szansę. Wiedział, że nie może odkładać tego na później.

- Chcę cię jeszcze o coś zapytać...

- Nie ma na to czasu... - Obróciła się już w stronę wyjścia. - Idź już, nikt nie powinien cię tu zobaczyć.

- Chodzi o brylant. Błękitny brylant sułtana...

Nie to chciał powiedzieć. Inaczej zamierzał poprowadzić tę rozmowę. Pragnął ją tylko zapytać, czy to ona jest ową damą z haremu... Jednak Annetta zareagowała tak gwałtownie... Obróciła się w jego stronę i wbiła w niego wzrok.

- Co wiesz o tym brylancie?! - Chwyliła kratę tak mocno, że aż pobieleły jej knykcie.

Jednak było już za późno. Za długo zwlekał. Z podwórka dobiegły do nich głosy kaplicznych dzwonów.

- *Suora!* - Z szelestem jedwabnych halek Caterina zmierzała w jej stronę. Kiedy Annetta się nie odwróciła, tamta powiedziała ostrzej: - Nie słyszysz dzwonu, *suora*?

Annetta nie puściła krat. Nie ulegało wątpliwości, że wie coś o błękitnym brylancie sułtana. Jednak co? I skąd miała te informacje?

Carew patrzył w bezsilnej złości, jak *suora* Caterina niemal siłą wyprowadza Annetę z rozmównicy.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

Annetta była oszołomiona; kiedy *suora* Caterina wyprowadzała ją z saloniku, i nie przyszło jej do głowy, że jest chyba zbyt wcześnie na południową modlitwę. Poza tym potrzebowała trochę czasu, by zauważyć, że dzwony biją inaczej, bardziej żałobnie i przeciągle niż zwykle. Ich dźwięki rozbrzmiewały jeszcze długo po tym, jak wszystkie zakonnice zebrały się w kaplicy.

Jej wnętrze było pachnące i ciemne. Zwykle działało uspokajająco na Annetę, ale teraz było inaczej. Siedziała między innymi zakonnkami, Francescą i Ursią, nie zwracając na nic uwagi. Była jak w transie.

Błękitny brylant sułtana! To niewiarygodne, niemożliwe!

Francesca musiała zobaczyć pełną udręki minę Annetty, gdyż ścisnęła ze współczuciem jej ramię.

- Więc już wiesz?

- Co takiego? - Annetta popatrzyła na nią nieprzytomnym wzrokiem. Przez moment w ogóle nie mogła mówić. - O czym?

- O naszej wielebnej przeoryszy. Myślałam, że już się wszystkiego dowiedziałaś. - Popatrzyła na nią z troską. - Źle wyglądasz. Jesteś taka blada...

Annetta usiłowała się skoncentrować na tym, co przed chwilą usłyszała.

- Co się stało z wielebną Bonifacia? - spytała.

- To jednak nie wiesz - zdziwiła się tamta, a potem się przeżegnała. - Nasza przeorysza nie żyje. Zmarła pół godziny temu.

- Wielebna Bonifacia nie żyje?! - Trudno jej to było ogarnąć. - To niemożliwe! Rozmawiała ze mną zaledwie parę dni temu.

- Jednak to prawda. Taka nagła śmierć... *Poverina!* Zdaje się, że zabiła ją gorączka, na którą cierpi teraz *suora* Chiara. - W głosie Franceski pojawiły się pełne niepokoju nuty. - Nasza pani była prawdziwą świętą. Niech odpoczywa w pokoju.

- Wielebna Bonifacia była już stara - szepnęła bardziej pragmatycznie nastawiona do życia Ursia. - Teraz problem polega na tym, która ze starszych siostr zostanie przeoryszą. - Skinęła głową w stronę pogrążonej w modlitwie *suory* Purificación.

- To będzie zależało od wyników głosowania kapituły, prawda?

- Ja nigdy na nią nie zagłosuję!

Po chwili inne chórzystki dołączyły do tych szeptów, ale Annetta ich nie słuchała. W uszach miała szum, którego nie była w stanie się pozbyć. Nie mogła tego znieść, chciała go uciszyć. Mu-

siała jak najszybciej wszystko przemyśleć. Było jej wszystko jedno, kto zostanie nową przeoryszą, i nie uroniła nawet łzy po wielebnej Bonifacii. Uklękła i ukryła twarz w dłoniach.

Chociaż powinna się modlić, myślała wciąż o jednym. Błękitny brylant sułtana! Czyżby Carew chodziło tylko o ten klejnot? Czy jedynie z jego powodu chciał z nią rozmawiać? Czyżby ją w końcu znaleźli? Myślała, że jest tutaj bezpieczna. Że może się tu ukryć i nikomu nie przyjdzie do głowy, by szukać jej w klasztorze... Annetta czuła, że ogarnia ją coraz większy strach.

Wreszcie pojawił się ksiądz, który stanął przy ołtarzu i zaczął modły za duszę zmarłej. Chór żeńskich głosów narastał i opadał. Wszystkie zakonnice modliły się za duszę swojej przełożonej. Annetta wymawiała stosowne słowa, ale ich nie rozumiała. Próbowwała rozpaczliwie powrócić do teraźniejszości. Próbowwała wyobrazić sobie zmarłą. Przypomnieć sobie jej piękną, nawet w tak podeszłym wieku, twarz, srebrne włosy na poduszce. Jednak przed oczami wciąż miała zmarłą matkę sułtana.

Pamiętała swoje przerażenie, kiedy wydało jej się, że tamta mruga do niej w ocienionej, niebieskozielonej sypialni. Pamiętała tę zimną i twardą niczym ptasie szpony dłoń, zaciśniętą na klejnocie oraz to, ile wysiłku musiała włożyć, by rozprostować zeszywniałe palce. A potem skradziony klejnot, ciężki niczym kamień wrzucony do worka, w którym topiono krnąbrne konkubiny, spoczął w jej sakiewce.

Jednak, jak się okazało, był to dopiero początek.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

Tej nocy Annettę obudziło gwałtowne szarpanie za ramię.

- To ty, głupia? - Usiadła i rozejrzała się nieprzytomnie dookoła.

- Do kogo mówisz głupia? - Usłyszała tuż obok zaspany głos. - To ja, Eufemia. Znowu mówiłaś przez sen.

- Obudziłam cię? Bardzo mi przykro.

- Znowu śniła ci się Kaja? Ta, którą ci przypominam? Annetta milczała przez chwilę.

- Ona miała inaczej na imię.

- Ale przecież mówiłaś...

- Tak - przerwała jej - ale to nie było jej prawdziwe imię. W rzeczywistości nazywała się Celia Lamprey.

- To jakieś cudzoziemskie nazwisko. Znowu chwila ciszy.

- Tak.

- I to ona ci się śniła?

- Tak.

- Więc to był dobry sen?

- Ee... cóż... - Annetta się zawahała. - To skomplikowana sprawa...

Mała *conversa* wyczuła, że nie powinna nic mówić. Leżała więc cicho i czekała na dalsze wyjaśnienia.

- To nie tyle sen, ile wspomnienie. Wspomnienie naszego ostatniego spotkania - rzekła w końcu Annetta.

- A co się wtedy stało?

Annetta nie odpowiedziała. Leżała na plecach już zupełnie przytomna i patrzyła w ciemność. Zaraz po przebudzeniu miała wrażenie, że znajduje się w haremie. Zamiast pobielonych ścian celi zamigotały jej przed oczami zielone i czerwone płytki pokoju, który dzieliła z sześcioma innymi *kislar*. Bóg świadkiem, ile wysiłku włożyła w to, żeby ich z Celią nie rozdzielono. Ale się opłaciło.

I nagle, chociaż wcale nie zamierzała tego robić, zaczęła opowiadać swoją historię. Leżały w ciszy, przerywanej co jakiś czas skwierczeniem świec na korytarzu.

- Mówiłam ci już chyba, że wzięto nas do niewoli, kiedy nasz statek rozbił się na skałach. Nie wiedziałyśmy, co się z nami stanie, ale przede wszystkim zależało nam na tym, żeby być razem. Ja mam ciemne włosy i ciemną karnację, ale Celia była prawdziwą różą, jak mówią w jej oj-

czystej Anglii. Miała jasną cerę i złotawe włosy, które tak bardzo podobają się Turkom. Za każdym razem, kiedy chcieli nas sprzedać, tuliłam się do niej, o tak - przylgnęła policzkiem do policzka Eufemii - i mówiłam: „Ciemna i jasna razem, panie. Przecież jesteśmy bliźniaczkami”.

Jakoś nam się udawało. Kupiła nas ta sama handlarka z Konstantynopola. To ona powiedziała, że mamy na siebie mówić Aisza i Kaja. I to ona sprzedała nas faworycie sułtana, *haseki*, która z kolei dała nas w podarunku jego matce. Byłyśmy więc niewolnicami matki sułtana.

Niezależnie od tego, co myślisz, nie było nam wcale tak źle - ciągnęła Annetta. - Przynajmniej ja nie miałam się na co skarżyć. Przedtem od najmłodszych lat mieszkałam tu, w tym zakonie jako *conversa*. Przyzwyczaiłam się do takiego życia, ale sama wiesz najlepiej, że *conversy* są w zasadzie służącymi chórzystek i zajmują się najgorszymi pracami w klasztorze... W haremie było inaczej. Nikogo nie obchodziło to, z jakiej rodziny pochodzisz, czy twoje nazwisko zapisano w złotej księdze i czy ktoś z twojej rodziny był członkiem Rady Dziesięciu. Wszystkie *kislar* traktowano tak samo.

Dobrze sobie tam radziłam. - Annetta uśmiechnęła się lekko. - Nie byłam tak piękna jak Celia, ale szybko się uczyłam. Polubiła mnie też matka sułtana, bo odkryłam, czego oczekuje od służących. Umiałam spełniać wszystkie jej zachcianki, zanim jeszcze je wypowiedziała. Stałam się więc jedną z jej czterech głównych służących. Niby robiłam to samo co tutaj, ale jednak było to coś zupełnie innego! W haremie miałam wrażenie, że wykonuję ważną pracę. Dostałam piękne ubrania, a nawet klejnoty. Wszyscy wokół mnie szanowali, nawet starsze niewolnice - zarządczyni harem i zwierzchniczka dziewcząt - ponieważ miałam dostęp do matki sułtana.

Jednak Celia miała zdecydowanie gorzej. Nie mogła przywyknąć do nowego życia. Wciąż myślała o rodzinnym domu, ojcu, którego zabili piraci, i kupcu z Anglii, za którego miała wyjść za mąż. *Madonna!* Przede wszystkim o nim. - Annetta zmarszczyła brwi. - Ciągle płakała, wzdychała i zastanawiała się, czy on wie, co się z nią stało. A może jednak uważa, że utonęła podczas katastrofy statku wraz ze swoim posagiem? - Annetta syknęła ze zniecierpliwienia. - Czasami miałam ochotę dać jej po buzi! Po prostu nie mogła o nim zapomnieć. Śnił jej się każdej nocy. Mówiłam jej, żeby wobec tego nie spała. Żeby zapomniała o tych snach. Powtarzałam: „Daj sobie spokój, głupia. Przeszłość to nic dobrego, *capito?* Myśl tylko o przyszłości, to twoja jedyna nadzieja”. Niewiele to jednak pomagało. Nawet wtedy, kiedy została *gözde*.

- Co to znaczy?

- Słowo *gözde* znaczy: w oku. W oku padyszacha.

- Chcesz powiedzieć, że sułtan zwrócił na nią uwagę...?

- Żeby z nią spółkować - dokończyła. - Właśnie. Zawsze mówiłam: „młoda *culo* dla starego grubasa”. Ten cały harem to taki wielki lupanar z jednym jedynym klientem. Ale cóż... któregoś dnia padło na Celię.

- I co się stało?

- No cóż, chyba nie muszę ci wyjaśniać, że wcale nie miała na to ochoty - mruknęła Annetta. - Dałam jej swoje miesięczne zarobki, żeby przekupiła łazienką, by ta odpowiednio ją przygotowała. Myślisz, że była wdzięczna? Nic podobnego. Trzymała się mnie kurczowo i pytała: „Nie mogłabyś pójść za mnie? Nie mogłabyś mnie zastąpić?”.

Eufemia patrzyła na nią z zadziwieniem.

- „Chyba zwariowałaś - odparłam. - Przecież wiesz, jaki to zaszczyt. Zobacz, jak cię traktują, od kiedy zostałam *gözde*. Mamy niepowtarzalną szansę, *carissima*. Więc lepiej zrób to tak, jak trzeba”.

- I... i spodobała się sułtanowi?

- Tak, ale nic z tego nie wyszło. Wzywał ją dwukrotnie, lecz za każdym razem... wystawiano ją do wiatru. - Annetta urwała, niepewna, jak to wyjaśnić.

- To znaczy? - Eufemia szturchnęła ją łokciem w bok.

- Działo się coś, co nie pozwalało na... zakończenie całej sprawy. A potem zdarzyło się coś naprawdę niezwykłego.

- Co? Co takiego? - dopytywała się nowicjuszka.

- Dowiedziała się, że ten jej kupiec jest w Konstantynopolu. Wiedziała, że tam był, ale nie miała pojęcia, że musiał przedłużyć swój pobyt... Nie wrócił do Anglii, tylko został na miejscu. - Annetta potrząsnęła głową. - *Santissima Madonna!* Jakby tego było mało, dotarła do niego wiadomość, że Celia mieszka tuż obok, w pałacu sułtana. Zagraniczni kupcy mieli, co prawda, swoje siedziby po drugiej stronie Bosforu, ale mógł stamtąd widzieć złote dachy pałacu Topkapi, gdzie się znajdowała.

- Ale skąd się o tym dowiedziała? - spytała Eufemia. - Czy przysłał jej wiadomość?

- Wiadomość?! To byłoby szaleństwo! Za samo spojrzenie na którąś z kobiet padyszacha groziła kara śmierci. Nie, był na to za sprytny. Wiedział, że to na nic. Dlatego przysłał jej dar, który tylko Celia mogła rozpoznać jako zaszyfrowaną wiadomość.

Eufemia czuła, że policzki jej pałają.

- I co to było?

- Dziwny przyrząd, który nazywają kompendium. Tak przynajmniej nazywała to Celia. W jego dolnej części znajdowała się skrytka, gdzie ukryta była jej miniatura. Tylko oni dwoje wie-

dzieli, jak ją otworzyć. - Annetta potrząsnęła ze smutkiem głową. - Widziałam ten portret na własne oczy.

- *Poverina!* - westchnęła nowicjuszka.

- Tak, prawdziwe biedactwo. - Annetta westchnęła jeszcze ciężiej. - W ogóle mnie nie słuchała. Myślała już tylko o nim i zupełnie straciła poczucie rzeczywistości. I właśnie wtedy popełniła najgorszy błąd. Pokazała to kompendium matce sułtana! Nie rozumiem, dlaczego właśnie jej? Chyba też zwierzyła jej się ze wszystkiego. - Annetta zasłoniła twarz rękami i oparła się ciężko o wezglowie. - Uwierz, to była najgłupsza rzecz, jaką mogła zrobić...

- Naprawdę? Cóż mogła jej zrobić jakaś kobieta z haremu?

- Co mogła jej zrobić? - powtórzyła z niedowierzaniem Annetta. Opuściła dłonie i przez chwilę patrzyła w milczeniu na Eufemię. - Nie zrozumiałaś widocznie nic z tego, co ci powiedziałam.

- Spotkałam się z nią przypadkiem tego samego dnia na dziedzińcu matki sułtana. Przyszli tam wszyscy, żeby zobaczyć wspaniały prezent, który sułtan otrzymał od angielskich kupców. Tak bardzo się o nią martwiłam. Wiedziałam, że Sahfije posłała po nią tego dnia i że odbyły długą rozmowę, ale nie miałam wówczas pojęcia, czego dotyczyła. Poszliśmy do jej dawnego pokoju, bo musiała się spakować. Wydawała się niespokojna. Dotykała boku, jakby coś ją bolało. Wiedziałam już, że stało się coś złego. Najpierw nie chciała mi powiedzieć. Biedna Celia, wiedziała dokładnie, jak zareaguję.

„Brama do ptaszarni. Powiedziała, że mogę się tam z nim spotkać po raz ostatni”.

„To ona ci tak powiedziała”? - spytałam, ale Celia sprawiała takie wrażenie, jakby w ogóle mnie nie słyszała.

„Gdybym mogła zobaczyć się z nim po raz ostatni! Zobaczyć jego twarz, usłyszeć głos, wtedy myślę, że mogłabym być szczęśliwa”.

Właśnie wtedy pokazała mi kompendium.

„Powiedziała, że mogę tam pójść” - upierała się.

Tak, matka sułtana pozwoliła jej na spotkanie z obcym mężczyzną, cudzoziemcem! Biedna, zaślepiona dziewczyna! Mówiłam jej, że to pułapka, ale nie chciała mnie słuchać.

„Ona chce tylko wypróbować twoją lojalność - niemal krzyczałam. Lojalność była czymś bardzo ważnym dla Sahfije. - Jeśli tam pójdziesz, przegrasz”.

„Muszę tam pójść. Pod bramę do ptaszarni - powtarzała. Miała klucz do tej bramy zawieszony na szyi. - Ona powiedziała, że mogę tam pójść”.

- Zastanawiałam się później, czy Celia zdawała sobie sprawę z tego, że matka sułtana zastała na nią pułapkę. Z pewnością tak było... Nie wiem tylko, czy Celia to wiedziała. Bałam się te-

go, że zostanę sama. Że zwariuję w tym miejscu. „Nie idź... Nie zostawiaj mnie samej... - prosiłam ją z płaczem, obawiając się tego, co może nastąpić. - Jeśli tam dzisiaj pójdziesz, to już nie wrócisz". Ona jednak nie słuchała. Południowe niebo zabarwiło się na różowo. Zapadał zmierzch. Wszystko wokół zaczęło się powoli robić szare. Pamiętam, że pojawiły się pierwsze nietoperze. A my siedziałyśmy razem objęte w jej dawnym pokoju. „Już czas? - pytałam. - Już czas?". A ona patrzyła na niebo i odpowiadała: „Jeszcze nie". Była wtedy szczęśliwa - rzekła zadumana Annetta. - To ja czułam się tak, jakbym miała za chwilę stracić życie. Aż w końcu wstała i podeszła do drzwi. Pamiętam, pomyślałam wówczas, że wygląda jak ptak, który ma właśnie wylecieć z klatki. Powiedziała jeszcze, że mnie kocha, a potem zrobiła coś dziwnego. Cofnęła się i podała mi złożoną kartkę. „To dla Paula - powiedziała. - Tak się nazywał ten jej kupiec. - Gdyby coś... Obiecaj, że znajdziesz sposób, by mu to przekazać".

Annetta ponownie urwała, jakby trudno jej było o tym wszystkim mówić.

- Wciąż mam to, co napisała. - Sięgnęła do swojej sakiewki, z której wyjęła kartkę. Podała ją Eufemii. - To wiersz miłosny. Ale jednocześnie odpowiedź na moje pytanie. Myślę, że Celia wiedziała o pułapce matki sułtana. Nie wzięła wiersza ze sobą, bo domyśliła się, co ją czeka. Zdawała sobie sprawę, że jeśli wyjdzie choć trochę poza bramę do ptaszarni, to spotka nie swego Paula, ale uzbrojonych eunuchów. Zrozumiałam wtedy, że to szaleństwo, że nie mogę pozwolić, by tam poszła. Chciałam coś powiedzieć, ale ona już ruszyła w tamtą stronę. I wtedy postanowiłam, że muszę ją powstrzymać.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

- Pobiełam za nią.

Biegłam tak szybko, że co chwila potykałam się o skraj swojej sukni lub o kamienie. Rozwiązały mi się włosy i zaczęły opadać na oczy. W końcu miałam je nawet w ustach i biegłam niemal na ślepo, kierując się jedynie instynktem, uznałam bowiem, że Celia poszła do bramy znajdującej się w odległym kącie ogrodu.

Zakładałam, że jest zbyt mądra, by przechodzić przez główną część haremu, w pobliżu apartamentów Sahfije, gdzie ktoś mógłby ją zatrzymać, i że wybrała dłuższą, ale bezpieczniejszą trasę, biegnącą najpierw przez dziedziniec, ale potem wzdłuż złotej drogi, wielkiego kamiennego korytarza, którym eunuchowie prowadzili wybranki sułtana do jego sypialni.

Na szczęście okazało się, że miałam rację. Dotarłam do tego korytarza akurat w chwili, kiedy ona zniknęła za jego załomem. Gdybym dalej biegła, być może zdołałabym ją zatrzymać. Jednak w tym momencie potknęłam się o wystający kamień i upadłam, uderzając się boleśnie w kolano. Jak mogłam być taka niezgrabna i głupia? Zaczęłam płakać nie tylko z bólu, ale też złości i żalu. Pogrzebałam już szanse na to, by zdążyć.

Lecz nagle - co to? Usłyszałam czyjeś kroki, a potem głosy. Zanim zdążyłam się podnieść, tuż obok przebiegło dwóch eunuchów. Obaj trzymali w dłoniach płonące pochodnie. *Madonna!* Nie wiem, co pomyśleli, widząc mnie w tym miejscu, ale postanowiłam skorzystać z okazji. „Gońcie ją! - krzyknęłam. - Gońcie! Jedna z *kadin* chce uciec z haremu!”. Wskazałam palcem koniec korytarza, gdzie widziałam ją po raz ostatni.

Ku mojemu zdziwieniu tak właśnie zrobili. Przy czym w ogóle nie zwracali na mnie uwagi. Przebiegli obok, chociaż musieli mnie wcześniej zauważyć.

Podniosłam się z trudem i pokuśtykałam w tamtą stronę. Kiedy dotarłam do ogrodu, zobaczyłam niezwykłą scenę. Tej nocy świecił księżyc w pełni, ale akurat skrył się za chmurami i dookoła zrobiło się bardzo ciemno. Najpierw nie mogłam dostrzec Celi, ale potem nagle zobaczyłam jakąś zwiewną sylwetkę w różanym ogrodzie. Tak, na Boga, to była ona! Nie wszystko przepadło. Pamiętam jeszcze, jak pomyślałam, że wydaje się taka malutka i że widać tylko jej złote włosy i jasne rękawy sukni. Gdyby udało się ją powstrzymać przed dotarciem do bramy, nie byłoby mowy o przestępstwie.

„Jest tam, wśród róż! - krzyknęłam. - Zatrzymajcie ją!”. Ale eunuchowie już podążali jej tropem. Co więcej, z drugiej strony pojawiły się jeszcze dwie wielkie, sapiące sylwetki. A potem

kolejne dwie. Sześciu eunuchów z płonącymi pochodniami. Matka sułtana nie czekała nawet, aż Celia przekroczy próg ptaszarni.

Wszyscy ci eunuchowie byli wielcy i tłuści, bo nie mieli *coglioni*. - Annetta zadrżała z obrzydzenia. - Ale biegli dość szybko. Jeden już niemal dogonił Celię. Otworzyłam usta, żeby znowu zawołać, ale w tym momencie pojawił się księżyc i zauważyłam coś, czego nie widziałam wcześniej. Eunuchowie mieli w dłoniach obnażone szable!

Boże, Eufemio! Co ja narobiłam! - Annetta chwyciła ją tak mocno za ramię, że mała *conversa* nieomal krzyknęła z bólu. - Boże! Zrozumiałam, że wcale nie chcą jej ocalić, tylko zabić, zanim jeszcze dotrze do bramy.

„Zaczekajcie!” - wrzasnęłam wtedy i rzuciłam się w stronę Celi. Nie wiem, skąd przyszło mi do głowy, że zdążę ją dogonić przed eunuchami. „Nie ważcie się jej dotknąć! Ona nie zrobiła nic złego!”.

A potem wydarzył się cud. - Annetta rozejrzała się niewidzącymi oczami po celi. - Jeden z eunuchów złapał Celię, ale na dźwięk mego głosu opuścił szablę. Biegłam z płaczem i krzyczałam: „Zostaw ją! Ona nic nie zrobiła!”. Eunuch obrócił się, żeby zobaczyć, kto krzyczy. Nie bardzo chyba wiedział, co począć w tej sytuacji. W tym momencie Celia mnie zobaczyła.

„Ty?” - Jej twarz wykrzywiła się w jakimś potwornym grymasie. - „Co?” - Byłam przerażona, nie wiedziałam, o co jej chodzi. - „To ty wezwałaś strażę!” - wykrzyknęła. - „Nie!”. - „A więc ty...”. - „Celio, błagam... - miałam problemy z wydobyciem głosu z piersi. - Posłuchaj...”.

- Ona jednak nie chciała słuchać. Wyrwała się gwałtownie eunuchowi i znowu zaczęła biec. Drugi eunuch, który przybiegł z naprzeciwka, ciał ją po nogach. Zrobił to tak szybko i zręcznie, że zobaczyłam tylko błysk żelaza. Działo się to tak błyskawicznie, że na początku nie miałam pojęcia, co się stało. Celia po prostu upadła na ścieżkę. - Annetta przyklękła teraz na łóżku z grobową miną. - Padła niczym ścięte drzewo. Eunuch przeciął jej ścięgna pod kolanami. Czasami tak właśnie robią - szepnęła. - Żebyśmy nie uciekły.

W celi zapadła długa cisza. Z podwórka dobiegło do nich dzwonienie. Usłyszały, jak inne zakonnice zaczynają się niechętnie zbierać na pierwszą poranną modlitwę, jednak Annetta i Eufemia nie ruszyły się ze swego miejsca.

Kiedy przebrzmiały już ostatnie kroki i kobiety zrozumiały, że zostały same w dormitorium, Eufemia znowu obróciła się w jej stronę.

- Co się z nią stało? - Wydawała się tak samo przejęta losem Celi jak Annetta.

- Potrzebowałam wiele czasu, by w końcu poznać prawdę. -

Annetta zadrżała i naciągnęła na siebie kołdrę. - Wiedziałam, że jej nie zabili, bo inaczej usłyszałabym działa. Ktoś mi mówił, że zabrano ją do szpitalnej części haremu, ale potem - wzru-

szyla ramionami - trop się nagle urywał. Miałam wrażenie, że, ot tak, rozpląnęła się w powietrzu. - Dmuchnęła na swoją wyciągniętą dłoń.

Wróbel obudził się w klatce i zaczął po niej skakać i ćwierkać. Annetta podjęła przerwana opowieść:

- Życie w haremie biegło jak dawniej. Nikt nie wspominał Celi czy, jak tam na nią mówiono, Kai. Nawet te *kislar*, na przykład Gulbahar i Turhan, które były jej przyjaciółkami. Wiedziałam, że matka sułtana mnie obserwuje, podobnie jak wcześniej obserwowała Celię. Myślę, że zdziwiło ją to, co się stało. Zastanawiała się, czy naprawdę chciałam zdradzić przyjaciółkę, a ja musiałam zrobić wszystko, by to potwierdzić. Nie mogłam pokazać, jak bardzo zależało mi na Celi i jak mi jej brakowało. Wciąż czekałam na jakąś wiadomość na jej temat. Miałam oczy szeroko otwarte, ale trzymałam język za zębami. Przysięgałam sobie, że jeśli ją odzyskam, to znajdę sposób, byśmy mogły obie uciec z haremu.

- Minęły cztery kolejne lata, ale wszystkie były do siebie podobne. A potem nagle zdarzyły się dwie niezwykle rzeczy i to niemal tego samego dnia. Po pierwsze, odkryłam w końcu, gdzie jest Celia.

- Jak ci się to udało?

- O dziwo, powiedziała mi to sama Sahfije. - Annetta potrząsnęła głową. - Wyjechała na trochę do starego pałacu, Pałacu Łez, jak go nazywają, gdyż tam właśnie wysyła się wszystkie nałożnice padyszacha po jego śmierci. Usługiwałam Sahfije potem w jej komnatach, kiedy powiedziała: „Widziałam się właśnie z twoją dawną przyjaciółką, Kają”. Powiedziała to takim tonem, jakby mówiła o pogodzie. Wyobrażasz sobie, co czułam? - powiedziała ze ściśniętym gardłem. - Po prostu nie mogłam uwierzyć własnym uszom. „Widziałam się właśnie z twoją dawną przyjaciółką, Kają”. Czy na pewno dobrze usłyszałam? Poczulałam, że robię się blada jak chusta.

Na szczęście przywykłam już do jej sztuczek. Matka sułtana robiła się coraz starsza i bardziej złośliwa, ale ja trzymałam głowę spuszczoną. W ten sposób nie mogła nic wyczytać z mojej twarzy.

„Wasza wysokość?”

„Mówiłam, że widziałam się właśnie z twoją przyjaciółką Kają w starym pałacu”.

„Kają? Tak, wasza wysokość” - z trudem wydobyłam z siebie te słowa.

Więc Celia żyła! W dodatku całkiem niedaleko. Miałam nadzieję, że mój głos nie zdradzi tego, co czułam. Sahfije nie wspominała przez jakiś czas o Kai. Kazała mi przynieść szal, a następnie pomogłam jej usiąść przy oknie. To było jej ulubione miejsce. Uwielbiała tam siedzieć. Przypominałam sobie, jak po raz pierwszy musiałam jej usługiwać w tym pokoju. Całą związaną z tym nudę. Matka sułtana miała cztery służące i wszystkie musiałyśmy czekać na jej rozkazy. Nieważne,

że bolały nas plecy. Sahfije siedziała godzinami przy tym oknie, wpatrując się w statki pływające po wodach Złotego Rogu i knując jakieś intrygi. Tego dnia czułam się tak, jakbym spędziła przy tym oknie całe swoje życie.

„Szkoda, że tak się stało - powiedziała po jakimś czasie. - Padyszach naprawdę ją lubił”.

Wciąż wyglądała przez okno, ale ja doskonale wiedziałam, że powinnam uważać. Stałam nadal ze wzrokiem wbitym w podłogę. Sahfije widziała osoby wokół siebie nawet wówczas, kiedy na nie nie patrzyła. Nie wiem, jak to się jej udawało, to był jakiś szósty zmysł. Trzymałam więc spuszczoną głowę i milczałam.

„Jesteś dziś bardzo cicha, Aiszo” - zauważyła po chwili.

Cicha? Dobry Boże! Gardło miałam ściśnięte tak, że nie przeszedłby przez nie żaden dźwięk. Nie wiedziałam, czy powinnam ją kochać, czy nienawidzić jej. Otworzyłam usta, żeby coś powiedzieć, ale nie na wiele się to zdało.

„Nie płacz, Aiszo - usłyszałam jej głos. - Wiem, co to znaczy stracić przyjaciółkę”.

Przez moment w pobielanej celi panowała głucha cisza. Eufemia siedziała cicho jak trusia, bojąc się przerwać opowieść. Kiedy Annetta odezwała się ponownie, jej głos brzmiał już pewniej.

- To były ostatnie słowa, jakie od niej usłyszałam. Dwa dni później umarła.

- Matka sułtana?

- Tak, nam też wydawało się to niemożliwe. - Annetta uśmiechnęła się lekko, słysząc przeżenie w głosie Eufemii. - Matka sułtana nie żyła. Coś nieprawdopodobnego. Zmarła w nocy i to ja pierwsza ją znalazłam.

Annetta położyła się na plecach i patrzyła w sufit. Znowu przypomniała sobie sypialnię Sahfije, jej poślizgniętą skórę, opadające kąciaki ust, a także ułożone jedna na drugiej dłonie. Była już zimna. Pamiętała także wrażenie, że nagle przysł zły czar, że to wszystko, co wiązało się z Sahfije, było tylko iluzją.

Pomyślała wtedy: Więc to jest śmierć? Czy to już wszystko?

Czy dlatego ukradła wówczas brylant?

Na wspomnienie o nim nawet teraz oblewała się zimnym potem. Brylant tak wielki, że nie mieścił się w dłoni Sahfije. Błękitny brylant sułtana!

Ileż to razy później przeżywała te okropne chwile? Walkę z zeszywniałym ciałem, które powoli zaczynało się rozkładać. Jeszcze teraz drżała na myśl o tym, że musiała się wgryźć zębami w słodkie, śmierdzące trupio palce, przypominała sobie odgłos łamanych kości. Ale w końcu miała klejnot w dłoni.

Chcąc odpędzić od siebie te myśli, znowu usiadła na łóżku i potrząsnęła głową.

- Ponieważ byłam niewolnicą matki sułtana, mogłam teraz robić, co zechcę. Po śmierci dała mi wolność - Annetta ostrożnie dobierała słowa - a także coś jeszcze. Coś bardzo cennego. Brylant.

- Brylant?

- Tak, nazywają go błękitnym brylantem sułtana.

- Dała ci go?

- Zwariowałaś? Przecież już nie żyła! - warknęła. - Po prostu go ukradłam.

- Ukradłaś?

Oczy Annetty załśniły złowrogo.

- Uznałam, że mogę to zrobić po tym, co ona mi ukradła. Zabrałam jej ulubiony brylant. Nie na wiele mi się jednak zdał...

- Co z nim zrobiłaś? Czy wciąż go masz?

- Nie. Wydawało mi się, że będę mogła go wykorzystać, by wykupić Celię. Chciałam ją koniecznie uwolnić z Pałacu Łez. - Annetta poczuła się nagle zmęczona i przycisnęła dłonie do oczu.

- Znałam pewną *kirę*, która zajmowała się czasami sprawunkami kobiet z haremu. Oczywiście nie powiedziałam jej, o co mi chodzi. Przygotowałam paczkę, która wyglądała jak słój z olejem, i umieściłam w środku ten brylant wraz z listem do Celi. Ta kobieta obiecała mi, że go jej dostarczy. Sporo za to zapłaciłam, a reszta... cóż, należała do Celi.

Położyła dłoń na piersi, jakby coś ją zabolalo.

- Od tego czasu minął już ponad rok, a ja nie mam od niej żadnych wieści. Nie wiem nawet, czy jeszcze żyje. I co się stało z tym kamieniem. Ale teraz... teraz przyszedł tu ten Carew, o którym ci mówiłam. On coś wie, Eufemio! Jestem tego pewna! Musisz mi pomóc go odnaleźć!

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

Kiedy Carew ponownie znalazł się w pałacyku Constanzy, raz jeszcze pomyślał, że wygląda na opuszczony. Przeszedł przez podwórko, zajrzał do pustej kuchni i spiżarek na parterze, a potem wszedł po schodach prowadzących do *piano nobile*.

Tutaj też okazało się, że piękna komnata kurtyzany jest pusta. Rolety na oknach były, jak poprzednio, opuszczone do połowy, by chronić pomieszczenie przed skwarem. Na stoliku leżały resztki jedzenia z poprzedniego wieczoru i stał prawie nietknięty dzban z winem. Nieco dalej dostrzegł rozrzucone luźno karty do tarota tuż obok wielkiej płamy z wosku. Jeśli nie paliły się świece, czuć tu było zatęchły smród kanału. Cały *palazzo* wydawał się jeszcze bardziej zaniedbany niż poprzednio. Po podłodze walały się kłęбки kurzu. Wyglądało na to, że służba jeszcze nie wróciła.

Nie było tu również śladu Constanzy. Kiedy jednak podszedł, by podciągnąć rolety, dotarło do niego, że nie jest sam.

Paul Pindar pólleżał na łóżku. Miał na sobie rozpiętą do pasa koszulę, było też jasne, że od ładnych paru dni nie strzygł brody.

- Proszę, proszę, kogo tu mamy - rzucił, obserwując go zmrużonymi oczami. - Widzę, że czujesz się tutaj jak u siebie w domu.

- Również ci życzę miłego dnia - mruknął Carew i odsłonił drugie okno. Rozejrzał się raz jeszcze po pokoju. - Gdzie jest Constanza?

Pindar wzruszył ramionami. Przez moment przyglądali się sobie nieufnie.

- Myślałem, że wyjechałeś - odezwał się wreszcie Paul. Oparł się o wezglowie. W świetle słonecznym, które w końcu wlało się do pokoju, wyglądał jeszcze bardziej blado i słabo niż ostatnio, ale tym razem był zupełnie trzeźwy. - Ambrose mówił, że popłynąłeś już do Anglii. Na jednym ze statków handlowych.

- Przykro mi, że muszę cię rozczarować. - Carew stał w przeciwległym końcu pokoju i patrzył na niego kwaśno. - Wygląda na to, że wywiad Jonesa nie jest taki dobry, jakby się mogło wydawać. Moim zdaniem interesuje go tylko ta syrena, którą ma zdobyć dla Parvisha. Fuj! - Carew potrząsnął głową. - Wciąż o tym gadał, kiedy go ostatnio widziałem. To nie-na-tu-rał-ne - dodał, bardzo udatnie naśladując wysłannika Kompanii Lewantu.

- Niech diabli porwą gabinet osobliwości Parvisha! - rzekł poirytowany Paul. - Niech diabli porwą samego Jonesa! Chcę tylko wiedzieć, czego dowiedziałeś się o tej swojej zakonnicy. Tej od sakiewki.

- Rozmawiałeś więc z Constanzą?

- Była na tyle miła, że przekazała mi twoją wiadomość.

- Cóż, rozmawiałem z jedną z zakonnicek, ale to nie Celia - powiedział ostrożnie Carew. A potem zamilkł, gdyż nie bardzo wiedział, jak mógłby wyjaśnić - nawet sobie - to, co się stało w klasztorze.

- Dowiedziałeś się czegoś istotnego? - Paul obserwował go uważnie.

- Nie...

- Dowiedziałeś się - powtórzył, a następnie zeskoczył zadziwiająco zręcznie z łóżka i podszedł do Carew.

- Nie miałem jeszcze okazji...

- Myślisz, że w to uwierzę? Znam tę minę, te łyskające białka oczu... I wiem, że niezmiennie oznacza to kłopoty. Dowiedziałeś się czegoś ważnego i nie chcesz mi powiedzieć!

Paul wyjął zza pasa sztylet. John poczuł jego ostrze na policzku, kiedy przesunęło się wzdłuż szramy, rozciągającej się od kości policzkowej do ust.

- Gadaj albo utnę ci ucho.

Carew czuł jego nieświeży, cuchnący przetrawionym winem oddech.

- W porządku, mam jeszcze jedno... O Boże! - Carew chwycił się za ucho i odskoczył gwałtownie. - Naprawdę to zrobiłeś? - Poczul pod palcami strużkę krwi, a potem obwisły płatek ucha. - Boże, naprawdę obciąłeś mi ucho!

- Myślałeś, że tylko żartuję. Cóż, chciałem ci przypomnieć, że mnie się to nie zdarza - rzekł chłodno Paul. - No, nie płacz jak dziecko. To tylko kawałek płatka. Poza tym - wytarł ostrze końcem swojej koszuli - jak to raczyłeś ująć, masz jeszcze jedno.

- Boże...

Carew podszedł do składanego stolika. Wylał odrobinę wina na lnianą serwetkę i przyłożył ją do ucha.

Paul przysiadł na rogu łóżka i spojrzał na niego wyraźnie rozczarowany.

- Boli?

Carew nie odpowiedział. Sięgnął tylko po jeden ze swoich noży i wskazał jego końcem zakrwawione ucho.

- Już mi nic nie zrobisz - mruknął.

Następnie odciął kawałek ucha i rzucił ten niewielki płatek Pindarowi pod nogi. Ten spojrzał na niego bez większych emocji.

- Przykro mi - powiedział.

Carew oparł się plecami o ścianę i zsunął się na podłogę.

- Nie sądzę...

Przez moment siedzieli w ciszy. Słońce podniosło się trochę i pierwsze promienie wpadły do komnaty, oświetlając miejsce na ścianie, z którego zdjęto panel z tłoczonych skóry, a także postrzępiony adamaszek z baldachimu nad łóżkiem.

- Tylko spójrz na siebie - rzekł Carew i mocniej przycisnął serwetkę do bolącego ucha. - Zobacz, co się z tobą stało. Co by powiedział twój ojciec, gdyby zobaczył cię w takim stanie?

- Daj mu spokój!

Znowu zamilkli, ale tym razem na dłużej.

- Jones uważa, że popadłeś w melancholię. Pindar ponownie położył się na łóżku.

- Do licha z Jonesem - prychnął. - Do cholery z wami wszystkimi.

- Dlaczego tak mnie nienawidzisz, Paul?

- Mylisz się, wcale cię nie nienawidzę. W każdym razie nie bez przerwy...

- Ale jeśli już, to dlaczego?

- Bo ty ją widziałeś, a ja nie! Bo powinieneś był rozwalić ten przeklęty mur gołymi rękami, żeby ją uratować, ale tego nie zrobiłeś!

- Nikt by nie zrobił. I znowu cisza.

- Wiem. Myślisz, że mi z tego powodu lepiej? Carew wciąż siedział na podłodze oparty o ścianę.

- Wracaj ze mną do Anglii. Statek odpływa za parę dni. Może nawet jutro, jeśli będzie miał dobry wiatr.

Przez chwilę Paul sprawiał takie wrażenie, jakby się nad tym zastanawiał.

- Nie mogę - rzekł, patrząc w sufit. - Nie mogę się tam tak pokazać. Jeszcze nie... W dodatku czeka mnie gra...

Carew poczuł zmęczenie i zamknął oczy.

- Jaka gra? - zapytał, jakby nie znał już odpowiedzi na to pytanie.

- U Zuanne Memmo. Ta najważniejsza!

- Myślałem... myślałem, że nie dasz się nabrać. Że stawka jest zbyt wysoka.

- Co? Naprawdę myślałeś, że pozwolę, by taka okazja przeszła mi koło nosa? Masz mnie za głupca?

- Właśnie. - Carew skinął głową. - Ale nie aż takiego, by pójść na lep tego Memma.

- Jak sądzisz, co robiłem przez ostatnich parę dni? Kolejna przerwa.

- Chcesz wiedzieć, jak przekonałem go, by pozwolił mi zagrać?

- Nie za bardzo.

- Dałem mu w zastaw swoje klejnoty - powiedział Paul takim tonem, jakby znajdował się w konfesjonale. - Sprzedałem wszystkie swoje udziały w Kompanii Lewantu i kupiłem za nie kamienie szlachetne. A teraz ma je Memmo.

- Zastawiłeś wszystko, co masz, żeby móc zagrać?

- Wszystko za ten brylant! Muszę zdobyć ten kamień, John! Naprawdę muszę! - Przełknął z trudem ślinę i dodał poważnie: - Wszystko albo nic! Mnie się to podoba, a tobie?

- Rozmawiałeś z Constanzą? Uprzedziła cię, że...

- Tak, tak, tak! - Paul machnął ręką. - Właśnie tego się spodziewałem. To ty kazałeś jej to powiedzieć, prawda?

Carew zmełł w ustach jakieś przekleństwo.

- Stracisz cały majątek!

- Tym razem wygram.

- Skąd ta pewność?

- Skąd pewność? - Paul aż zazgrzytał zębami. - Bo czuję, że mam szczęście.

- Będziesz zrujnowany!

- Nic nie rozumiesz. - Paul podniósł się na łokciach i spojrzał na służącego. Jego oczy lśniły, wyglądał jak ktoś, kto od wielu miesięcy nie zaznał spokojnego snu. - Cokolwiek się zdarzy, będę czuł, że żyję.

Gondola Ambrose'a Jonesa przybiła do stopni *palazzo* Constanzy Fabii.

Drogę zatarasowała jej inna gondola, która właśnie wypłynęła zza zakrętu. Nad oleistym lustrem wody unosił się potworny smród. Ambrose trzymał przy swoim olbrzymim nosie chusteczkę nasączoną olejkiem różanym.

- Przepraszam, *signor*, czy to *palazzo* Constanzy Fabii? spytała go pasażerka z tamtej łodzi. Miała na sobie powyciągany habit i wyglądała na dwanaście, trzynaście lat.

Ambrose popatrzył na nią bez entuzjazmu. Nie przepadał za zakonnicami, chyba że miały one coś, co mogło go zainteresować. Na przykład obrazy siostry Veroniki albo kupione ostatnio bez zbędnych pytań relikwie świętego Jana i krople mleka z piersi Matki Boskiej.

Jednak nawet w tym pełnym brudów mieście młoda zakonnica poszukująca kurtyzany wydała mu się czymś osobliwym. Ambrose spojrzał na nią z nowym zainteresowaniem.

- Chodzi ci o kurtyzanę Constanzę Fabię, *suora*?

- *Si, signore. La cortigiana honesta.*

- A kto, jeśli wolno mi spytać, chce to wiedzieć?

- Jestem Eufemia - odparła z akcentem, który wskazywał, że pochodzi z weneckiej biedoty, a w zakonie pełni jakąś podrzędną funkcję. - *Suora* Eufemia - dodała z dumą i wymieniła nazwę swego zakonu.

Ambrose uniósł lekko brew.

- Cóż, moja droga, z pewnością jesteś bardzo daleko od swego klasztoru - zauważył. Znał go bowiem doskonale, wielokrotnie też zwiedzał ogród botaniczny w towarzystwie *suory* Veroniki, ale nie chciał się z tym zdradzać. - To dziwne, że możesz tak wędrować. Myślałem, że w twoim zakonie obowiązuje ścisła klauzura.

- Och nie, *signor*. Ja jestem tylko *conversa*... - Eufemia uśmiechnęła się do niego. - Te reguły nie dotyczą nas, jedynie sióstr z chóru. Chociaż gdyby to zależało od *suory* Purificación, to pewnie żadnej z nas nie wypuściłaby poza klasztorne mury... Ona mówi, że takie wychodzenie prowadzi do zepsucia, ale teraz, kiedy nasza przeorysza, wielbna

Bonifacia wyzionęła ducha, niech odpoczywa w pokoju, nikogo nie obchodzi, co sobie myśli stara Purificación - trajkotała jak najęta.

- Tak, tak, już rozumiem. - Ambrose, który wciąż trzymał chustkę przy nosie, popatrzył na nią z namysłem. - Powiedz mi, *suora*...

- Możesz mi mówić po imieniu, panie. Wszyscy tak robią.

- Naprawdę? To bardzo miło z twojej strony. - Ambrose uśmiechnął się lekko. - Więc powiedz, jak ci się udało tu trafić.

Przyszło mu do głowy, że ta mała zakonnica w wynajętej gondoli wygląda na kogoś, kto znalazł się nieoczekiwanie na wakacjach.

- Wyjaśnił mi to Prospero Mendoza, *signor*.

- Prospero Mendoza? - Ambrose raz jeszcze uniósł wyżej brew. Jednocześnie opuścił wolno dłoń z chustką. - Ten jubiler z getta?

- Tak, właśnie. Znasz go, panie?

Ambrose zaczął przyglądać się uważnie małej zakonnicy, a to spojrzenie mogłoby ją zaniepokoić, gdyby nie była tak bardzo pochłonięta własną misją i przekonana o swojej ważności.

- *Signor* Mendoza powiedział mi też, że spotkam tu zapewne zagranicznych gości... A ja właśnie szukam jednego cudzoziemca.

Eufemia wbiła wzrok w nos Jonesa. W końcu jednak dotarło do niej, że nie powinna tego robić, i zaraz dodała:

- A ty jesteś cudzoziemcem, prawda, *signor*?

- Tak, oczywiście. - Ambrose wciąż się w nią wpatrywał, starając się ustalić, czego jeszcze mógłby się od niej dowiedzieć. - Pozwól więc, Eufemio, że ci pomogę. - Postarał się przywołać na

twarz dobroduszny uśmiech. - Masz szczęście, bo znam tu wszystkich w okolicy. Czy mogę zapytać, kogo szukasz?

Kiedy usłyszał podane przez nią nazwisko, wznosił ręce w teatralnym geście.

- Wielkie nieba! - Popatrzył na nią tak, że Eufemia gotowa była uwierzyć, iż spotkali się tylko dzięki jej sprytowi i inteligencji. - No proszę, szukasz Johna Carew! - Ambrose pogładził wyściełaną ławeczkę w swojej gondoli. - Przecież John jest moim dobrym przyjacielem! To bardzo intrygujący człowiek. Chodź tutaj i powiedz mi, o co chodzi. - Zerknął jeszcze w stronę okien Constanzy, ale na szczęście wciąż były zasłonięte roletami.

- Och nie, *signor!* Nie mogę tego zrobić! - Eufemia pokręciła zdecydowanie głową.

- Nie bądź niemądra. Czemu nie? - Ambrose starał się nie zdradzać zniecierpliwienia.

- Mam mu przekazać wiadomość od *suory* Annetty, a potem szybko wracać do klasztoru. Przekazać wiadomość i pokazać list, który jej przyjaciółka z Anglii napisała do pewnego kupca w Konstantynopolu. - Poklepała coś ukrytego pod habitem jak ktoś, komu powierzono cenny przedmiot. - W ten sposób ten cudzoziemiec przekona się, że *suora* mówi prawdę.

Ambrose milczał przez chwilę. Jego i tak czerwona z gorąca twarz nabrała jeszcze intensywniejszej barwy. Wyglądało na to, że za moment wybuchnie, jednak zdołał się uspokoić. Wypuścił powietrze i kiedy znowu się odezwał, wydawało się, że stracił zainteresowanie całą sprawą.

- No tak, to jakieś sekrety zakochanych. Rozumiem więc, że musisz być ostrożna. - Zrobił znużoną minę i zanurzył palec w cuchnących wodach kanału. - Dobra z ciebie dziewczyna, Eufemio. Chciałbym mieć takich służących. - Wziął wachlarz i zaczął nim wolno poruszać. - Tak, sprawy zakochanych... to chyba dosyć nudne, co? - Zerknął chytrze w jej stronę. - Mam nadzieję, że nie chodzi o nic poważniejszego... I pomyśleć, że mogłem mu pomóc. Biedny John! - Ambrose westchnął głośno, a potem zajął się pudełkami, które miał w gondoli. - Muszę już się pospieszyć...

- Dlaczego biedny?

- Cóż, odpłynął. *Disparive*. Już go tu nie ma. Przestraszył się wieści o zarazie - wyjaśnił. - Sam mu zresztą mówiłem, żeby stąd uciekał.

- Co, wyjechał?! - Eufemia wyglądała na załamana. - Więc naprawdę go znasz, *signor*?

- Tak. W tej chwili jest jeszcze na statku, ale ty i tak tam się nie dostaniesz. - Popatrzył na nią smutno swoimi wodnistymi oczami. - Chyba że zechcesz, żebym ci pomógł...

- Dlaczego się nie dostanę?

- Nie wiesz, że marynarze nie wpuszczają kobiet na pokład? To ponoć przynosi pecha.

- Tak? Nic o tym nie słyszałam. - Eufemia zmarszczyła nieufnie nosek.

- Anglicy są bardzo przesądni...

- Biedna *suora!* Więc nie pozna już prawdy o tym brylancie i swojej przyjaciółce! - Przerażona dziewczyna uniosła dłonie do ust. - No i wygadałam!

- Powiedziałaś... brylant?

Ambrose patrzył na nią teraz jak kot na złotą rybkę.

- Ojejku! - Eufemia przewróciła oczami. - Miałam tego nie mówić!

- Też tak uważam. - Ambrose pokiwał głową, a potem spojrzał na nią groźnie. - Sprawa jest zatem poważniejsza, niż mi się zdawało. Cóż, nie chciałem się wtrącać, jednak... - westchnął ciężko - wygląda na to, że muszę ci pomóc. Nie mam, co prawda, na to czasu, bardzo się spieszę... ale zrobię to tylko dla Johna.

W tym momencie dobiegł do nich jakiś odgłos z góry. Kiedy unieśli głowy, zauważyli mężczyznę, który podciągał rolety. Eufemia otworzyła usta, lecz Ambrose ją uciszył.

- Cii. - Położył palec na wargach. - Ściany mają uszy. Chodź tu do mnie. - Poklepał wyściełaną ławeczkę. - Nie chcemy przecież, żeby wszyscy nas słyszeli. - Zaczekał, aż przesiądzie się na jego gondolę. - Powinnaś chyba zacząć od początku.

- Sama nie wiem, *signor*. - Zawahała się, ale Ambrose złapał ją mocno za ramię. - Nie mogę...

- Daj spokój, dziewczyno! Chcesz, żebym ci pomógł?

- *Si* - bąknęła.

- Więc mów, o co chodzi, bo mam mało czasu. Możesz zacząć od tego listu. Wiem, że masz go gdzieś przy sobie.

Carew usłyszał jakieś dobiegające z dołu głosy. Jeden z nich wydał mu się znajomy, więc podszedł do okna i wyjrzał na zewnątrz. Do diabła, więc jednak się nie mylił! Cofnął się natychmiast z nadzieją, że Jones go nie zauważył. Dostrzegł jednak siedzącą tuż obok niego postać, z którą tamten rozmawiał. Dziwne. Odniósł wrażenie, że to kobieta. Carew wychylił się ostrożnie z balkonu, by przyrzeć się lepiej całej scenie. Dostrzegł znajomy kark i turban, ale rozmówczyni Jonesa siedziała nieco dalej, zasłonięta daszkiem gondoli. John ponownie się cofnął.

- To twój przyjaciel Jones - mruknął, krzywiąc się. - A oto zagadka: czym Jones różni się od zdechłej ryby? I odpowiedź: niczym. Oboje coraz gorzej śmierdzą.

- Ambrose? - Paul usiadł na łóżku. - Cóż, najwyraźniej się nie spieszy. Mam do niego interes i posłałem wiadomość, by tu był. - Wstał i popatrzył z niechęcią na swego służącego. - Wydaje mi się, że spieszysz się na statek.

Carew odłożył zakrwawioną chusteczką. Ucho przestało w końcu krwawić.

- Tyle masz mi do powiedzenia?

- Jeśli chcesz, żebym powiedział, jak mi przykro z powodu twego ucha, to sam zauważyłeś, że wcale tak nie jest.

- Zatem chcesz koniecznie zagrać?

- O ten brylant? - Paul popatrzył na niego kpiąco. - Jasne, że tak. A jeśli piśniesz o tym choćby słówkiem Ambrose'owi, utnę ci drugie ucho!

W tym momencie Jones wpadł do pokoju.

- Och, przyjaciele! Moi drodzy! Jak to dobrze, że obaj tu jesteście! - Rozłożył ręce i uśmiechnął się do nich szeroko. - Właśnie chciałem widzieć was obu.

- O co chodzi, Ambrose? - spytał Pindar. - Masz taką minę, jakbyś dokonał transakcji życia.

- Och, Paul, mój drogi. - Podszedł, żeby go objąć. - Mam dla ciebie wspaniałą wiadomość!

- Na Boga, mów, co się stało. Czyżby cała portugalska flota zatonała przy przylądku Buena Esperanza? - Trochę rozbawiony, ale bardziej poirytowany Paul odepchnął go od siebie. - A może kupiłeś gęś, która znosi złote jaja?

- Nie, nic takiego. - Ambrose zdjął turban i wytarł nim pokryte potem czoło. - Nie domyślasz się? Szukaliśmy jej od wielu lat.

Pindar i Carew zamarli w pół ruchu.

- Nie widzieliście, jak tu przyplłynąłem? Jak rozmawiałem przy wejściu do *palazzo*? - Spojrzał na nich uważnie. - Pytam, bo nie chciałbym zepsuć niespodzianki...

- Ambrose, na miłość boską, powiedz, o co chodzi!

- No dobrze... - Jones zawiesił głos. - Myślę, że w końcu ją znalazłem. Aż trudno mi w to uwierzyć... - Położył na ustach drżącą dłoń.

- Kogo znalazłeś? - spytał poblady Paul. - O kim w ogóle mówisz?

- No przecież o syrenie dla Parvisha! A czegoż innego szukam od tylu lat? - W jego oczach pojawiły się łzy. - Właśnie tu przybyła. Wreszcie dotarła do Wenecji.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

Carew wracał pieszo do wynajętego pokoju, ale głowę miał tak nabitą tymi wszystkimi dziwnymi zdarzeniami związanymi z Pindarem, że niemal dotarł do Rialto, zanim zdołał się zorientować, gdzie niosą go nogi.

Tego popołudnia plac targowy wydawał się wyjątkowo zatłoczony. John przeszedł przez most i zaczął się przepychać między handlarzami i zagranicznymi kupcami, a także żydowskimi jubilerami oferującymi złoto oraz drogie kamienie.

W końcu minął akrobatów, którzy zapraszali na swe występy. Doszedł już prawie do końca targu, kiedy wpadł na starca, idącego w drugą stronę.

- Uważaj, Angliku! - usłyszał znajomy głos. - Czy się pali? Musisz się tak spieszyć?

Carew spojrzał w dół i dostrzegł niewielką postać. Był to Prospero Mendoza z zarzuconą na ramię brodą.

- Prospero?

- A tak, Angliku. - Żyd pokręcił z dezaprobatą głową. - Skąd u ciebie ta wiecznie zacięta mina? - Przyjrzał mu się uważniej. - Ktoś uciał ci ucho? - Bez jubilerskiej lupy jego oczy wydawały się bardzo jasne. - A może raczej pies ci je odgryzł? - spytał, wyraźnie tym rozbawiony.

- Pies? - Carew dotknął zaschniętej krwi. Tak bardzo pogrążył się w rozmyślaniach, że zapomniał o ranie. - Tak, to był pies - mruknął.

- Och wy, Anglicy! Co się z wami dzieje? Ciągłe tylko walczycie. Jak nie z wrogami, to z psami. - Prospero wzruszył ramionami. - Dokąd zmierzasz?

Kiedy Carew powiedział mu, gdzie mieszka, Prospero oznajmił, że ma tam do załatwienia jakąś sprawę i ruszył razem z nim.

Szli właśnie przez plac targowy, południową stroną Canale Grande. Mijali stoiska z ułożonymi w piramidy kolorowymi owocami i warzywami, a potem stragany z rybami i żywymi krabami. Na ladach leżały makrele i sardynki, a niewielkie sardele wysypywały się z pojemników niczym sztabki srebra.

- A jak się miewa twój pan, *signor* Pindar? Był u mnie wczoraj, by wycenić wszystkie swoje klejnoty. Wiesz, te, które trzymał u mnie w depozycie.

Carew nie był w nastroju do rozmowy i wciąż milczał.

- Tym razem przyszedł z kimś innym - podjął po chwili starzec. - Pewnym zupełnie pozbawionym manier Wenecjaninem. No, ale tego się mogłem spodziewać... Mówił, że to jego przyjaciel sprzed wielu lat, ale ten człowiek wcale mi się nie spodobał. Wyglądał na zbira... - Prospero

potrzęsnał głową. - Zabrali wszystkie klejnoty. - Popatrzył pytająco na Carew. - Dlaczego, Angliku? Twój pan nic mi nie chciał powiedzieć.

- Na zbira, powiadasz? - Carew skrzywił się. - To na pewno był Francesco.

- Tak, tak się nazywał. Teraz sobie przypomniałem.

- Nie dziwię się więc, że nic ci nie chciał powiedzieć, bo już nigdy nie zobaczysz tych klejnotów. Nie słyszałeś? Pindar oszalał i chce grać u Zuanne Memma.

- Aa! - rzucił Prospero, jakby to wszystko wyjaśniało, i pogładził brodę. Popatrzył też na Carew z jeszcze większym zainteresowaniem.

- Widzieliście więc ten brylant? - Musiał niemal biec, by nadążyć za Carew.

- O tak, widzieliśmy. Niech przeklęty będzie ten dzień.

- Opanowało go zatem szaleństwo? - Prospero spojrzał smutno na Carew, który trochę zwolnił.

- Hmm, tak to chyba trzeba określić.

Most Rialto i plac targowy zostały już daleko za nimi. Szli teraz nad mniejszymi kanałami do biedniejszej części miasta. Ulice stały się węższe, było na nich coraz mniej ludzi, aż w końcu zrobiły się całkiem puste, ale Carew był za bardzo pogrążony w myślach, by zwracać na to uwagę. Bładoróżowy i czerwony tynk sypał się z murów, kobiety pokrzykiwały do siebie z wyższych pięter i wieszały za oknami wypraną bieliznę. Jakieś dzieci w łachmanach bawiły się w wąskich uliczkach. W drzwiach jednego z domów pojawiła się kobieta w bardzo wysokich sabotach, z umalowanymi mocno policzkami. Dzieci ożywiły się na jej widok, jeden z chłopców wziął kamień i rzucił w jej stronę.

- *Puttana! Puttana!* - zaczęły wrzeszczeć dziko.

Kamień ominął kobietę, ale trafił w ramię Prospera. Ten pochylił się tylko i ruszył szybciej do przodu, lecz dzieciaki i tak zwróciły na niego uwagę.

- *Ebreo! Ebreo!* - krzyczały. Podbiegły do nich i zaczęły ciągnąć Prospera za szaty, ale Carew szybko je przegonił.

- A tak swoją drogą, znalazła cię? - spytał Prospero.

- Kto niby miał mnie znaleźć?

- Ta mała *monarche*, która była u mnie dziś rano.

- Zakonnica? - Carew zatrzymał się gwałtownie. Poczł się tak, jakby ktoś go uderzył w żołądek. - Jaka zakonnica?

- Nie mam pojęcia, dlaczego uznała, że będę wiedział, jak cię znaleźć. Powiedziałem, żeby popłynęła do domu Constanzy Fabii...

- Właśnie stamtąd wracam! Nie było tam żadnej zakonnicy! - Carew złapał Prospera za ramiona i mocno nim potrząsnął. Czy to możliwe, żeby Annetta go szukała? - Jak wyglądała?

- Jak wyglądała? - przedrzeźniał go Prospero. - Miała czarny habit i czarny welon. Jak zakonnica, ty imbecylny!

- Daj spokój, stary, wiem, że umiesz patrzeć. - Carew niemal uniósł go w powietrze. - Jaka była? Stara czy młoda? Miała jasną czy ciemną cerę?

Miał przed oczami jej twarz. Wciąż o niej myślał. Przypomniawszy sobie słowa Constanzy: „Współczuję tej biedaczce, która się w tobie zakocha, John”.

- Czy miała pieprzyk tu, na policzku? - Wskazał swoją twarz.

- Co takiego? *Monarche* z pieprzykiem? - W głosie Prospera pojawiły się ostrzejsze tony. - Dostyc już tych bzdur. Nic dziwnego, że straciłeś ucho. - Próbował wyswobodzić się z uścisku Carew. - Możesz zabrać tę rękę?

- No dobrze, dobrze. - Carew puścił starca. - Przepraszam, Prospero. Możesz mi jeszcze powiedzieć, czego chciała?

- A skąd mam wiedzieć? - Prospero potarł ramiona. - Powiedziała mi tylko, że ma na imię Eufemia. - Popatrzył niechętnie na Carew. - I nie, nie miała pieprzyka.

Mieli właśnie skręcić na niewielki plac, kiedy Carew poczuł, że Prospero ciągnie go za rękaw.

- Zaczekaj, Angliku. Nie idź tam - powiedział.

Z drugiego końca *campo* szedł w ich stronę mężczyzna w masce. Mimo upału miał na sobie długi czarny płaszcz, tak sztywny, jakby go zanurzono w smole lub wosku. W dłoni trzymał różdżkę. Nosił maskę przypominającą dziób ptaka, kruka lub wrony - w każdym razie nie wyglądała przyjemnie.

Carew chciał ruszyć w jego stronę, ale Prospero trzymał go mocno za rękaw.

- Chcesz umrzeć, Angliku? - wyszeptał starzec. - Nie poznajesz doktora zarazy? - Wskazał złowrogą postać. - A więc zaczęło się. Mówili już o tym od jakiegoś czasu. To szaleństwo iść w tamtą stronę. - Głos Prospera aż drżał ze strachu.

- Muszę zabrać swoje rzeczy - upierał się Carew.

- Dobrze ci radzę, żebyś je zostawił.

- Moja łódź odpływa dopiero za kilka dni. Muszę gdzieś mieszkać...

Prospero westchnął ciężko.

- Więc chodź ze mną. Pokażę ci bezpieczniejszą drogę.

Szli szybko i w milczeniu. Carew podążał za Prosperem, który poruszał się z zadziwiającą prędkością. Boczne uliczki były niemal zupełnie wyludnione. Stało tu sporo pustych, rozpadają-

cych się domów, w których wcześniej gnieździli się biedacy. Nawet Carew wyczuwał dziwną atmosferę, która tutaj panowała. Strach przylegał do skóry niczym mokry od potu materiał.

Gdzieś w pobliżu odezwały się kościelne dzwony, wzywające wiernych na uroczystości pogrzebowe. Następnie skręcili i znaleźli się przy innym, znacznie większym *campo*. Mimo że na jego środku stał kościół, plac sprawiał wrażenie wyjątkowo zaniedbanego. Spomiędzy kamieni wyrastały chwasty, wszędzie wałały się jakieś odpadki. Wbrew obyczajom panującym w mieście kościół też nie był specjalnie ładny - biedna świątynia dla biedaków.

Przy wejściu do kościoła zebrała się dziwna grupa: blada kobieta z dwiema dziewczynkami i dwie inne osoby. Nieco dalej stała olbrzymia postać z jakimś małym pudełkiem w ręku. Carew dopiero po chwili zorientował się, że to maleńka trumna.

Kiedy Prospero zobaczył tę grupę, natychmiast się zatrzymał.

- Nie mogę już dalej iść, Angliku. Jesteś pewny, że musisz tam wrócić? To niebezpieczne...

- Nie przejmuj się mną, Prospero. Muszę wracać do domu Constanzy. Nie zostanę tu długo.

- Więc idź wzdłuż kanału, aż dotrzesz do Ospedale degl' Incurabili...

Carew nie zwracał jednak uwagi na jego słowa. Wciąż wpatrywał się w niewielką grupę przed kościołem.

- Czy ty mnie w ogóle słuchasz? Powiedziałem...

- Wiem, co mi mówiłeś. Spójrz tam, czy to przypadkiem nie Ambrose?

John wskazał dwóch mężczyzn, którzy również obserwowali grupę żałobników, tyle że z innego końca *campo*. Drugi z nich miał przerzuconą przez ramię wielką torbę.

- Lepiej nie pytaj. Nie widzę aż tak daleko...

- Do diabła, ten człowiek jest wszędzie - rzucił zdziwiony Carew. - Jak on to robi? Zaledwie kilkanaście minut temu był w pałacyku Constanzy...

- Żegnaj więc. Nie sądzę, byśmy się jeszcze kiedyś spotkali. - Prospero ruszył w swoją drogę, ale nagle zatrzymał się, jakby coś sobie przypomniał. - Jeszcze jedno, Angliku.

- Tak?

Carew kierował się już w stronę kościoła.

- Ta *monarche* powiedziała, że jest z klasztoru na wyspie. Wiesz, tego z ogrodem botanicznym...

Prospero nie był pewny, czy Carew go usłyszał. Patrzył za nim w zadumie. Czuł w kościach, że wpędzi się on w jakieś tarapaty.

- Ech, ci Angliki - westchnął i pokręcił głową - zawsze walczą, zawsze przelewają krew...

Carew rzeczywiście był teraz żądny krwi. Wystarczyło, że popatrzył na pewnego siebie, uśmiechniętego Ambrose'a, a jego dłoń sama powędrowała w stronę noży u pasa. Pragnął w tej chwili utoczyć krwi tego gada!

Przypomniawszy sobie wyraźnie moment, kiedy wychylił się z balkonu Constanzy. Zobaczył wtedy jego plecy i żółty turban, ale teraz był pewny, że obok siedziała jakaś kobieta. Słyszał przecież jej głos. A więc była to Eufemia z klasztoru na wyspie. Domyślał się też, że wysłała ją Annetta i że sprawa musiała być naprawdę ważna. Jednak Ambrose nie tylko mu o tym nie powiedział, ale specjalnie odwrócił od niej jego uwagę.

Teraz zastanawiał się, dlaczego Ambrose tak postąpił. Nie zaintrygowało go jednak to, co tamten robi w tej biednej i opanowanej przez zarazę części miasta. Nie przejmował się takimi drobiazgami. Szedł zdecydowanym krokiem, pragnąc jedynie dopaść Jonesa i wydusić z niego całą prawdę.

Wyglądało jednak na to, że tym razem mu się nie uda. Coś działo się w tamtej części *campo*. Chyba wiązało się to z grupą żałobników. Pusty plac powoli zaczął się zapełniać widzami, którzy spodziewali się bójki. Atmosfera stawała się coraz bardziej napięta.

Carew często brał udział w różnych awanturach i teraz od razu wyczuł, że coś się za chwilę stanie.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

Drzwi do kościoła były zamknięte.

- Otworzyć! - Maryam uderzyła w nie pięścią, przytrzymując trumienkę drugą ręką. - Przyszliśmy prosić o błogosławieństwo dla naszego zmarłego dziecka!

Kiedy nikt jej nie odpowiedział, kobieta ponownie zastukała.

- Prosimy tylko o ostatnie namaszczenie!

W końcu z wnętrza odezwał się jakiś zduszony głos, ale drzwi pozostały nadal zamknięte.

Wśród zebranej gawiedzi przebiegł szmer.

Maryam odwróciła się z bezradną miną do swojej towarzyszki.

- To nic nie da, Eleno. Nie chcą otworzyć.

W tym momencie usłyszała tuż za sobą znajomy głos:

- Czego się spodziewacie? Przecież to nie człowiek...

Do żałobniczek podszedł towarzysz Jonesa, mężczyzna z wielką skórzaną torbą. Kiedy Maryam go zobaczyła, cofnęła się, jakby nagle, w środku dnia, spotkała ducha.

- *Panagia mou!* - Stanęła tak, by osłonić Elenę i dziewczynki. - To ty?! Co, na miłość boską, tu robisz?!

Na widok jej reakcji mężczyzna wyprężył się, jakby stanowiła ona komplement. Zrobił też krok w ich stronę.

- Widzisz, panie, mówiłem ci - zwrócił się do Jonesa. - Brzydka jak hipopotam! - Zachichotał przeciągle. - Zapomniałem tylko, że ma ten wąsik.

Maryam nabrała powietrza w płuca.

- Bocelli! - Poczowała, jak serce ścisnęło jej się w piersi. Więc to jednak jego widziała w wiosce. Nic dziwnego, że miała związane z tym złe przeczucia. - Czego chcesz?

- Jak zwykle nie owijasz w bawełnę. - Mężczyzna zaśmiał się, ukazując poczerńiałe kikuty zębów. - A jak sądzisz, czego mogę chcieć? - Wskazał brodą trumienkę. - Przyjechałem po to, co do mnie należy! - huknął.

Maryam popatrzyła na niego z niedowierzaniem.

- Po... co?

- Jak powiedziałem, przyjechałem po to, co moje - rzekł szyderczo.

Maryam zrozumiała, że musi szybko myśleć. Na placu zbierało się coraz więcej ludzi, a ona doskonale wiedziała, jak potrafi zachować się tłum. Znowu cofnęła się, wchodząc między Elenę i dziewczynki.

- Nie wiem, o co ci chodzi, *signor*.

- Dostarczyłaś to - wskazał ręką - do Wenecji, a teraz oczekuję zwrotu.

- Nieprawda! - Starła się zachować spokój. - Błagałeś, żebym to zabrała. - Serce biło jej tak mocno, że niemal słyszała jego uderzenia. - Dałeś mi konia... dwa konie, żebym tylko to wzięła.

- Właśnie, dobrze ci zapłaciłem. - Bocelli spojrzał na towarzysza, a potem przesunął się w jej stronę. - Po to, żebyś dowiozła to do Serenissimy...

- Nie! O tym nigdy nie było mowy!

- Powiedziałaś, że udajecie się do Wenecji i że się tym zajmiesz. Bądźże rozsądna, co miałem zrobić? Przecież widziałem, że jego matka długo nie pożyje. - Wzruszył ramionami. - A potem zobaczyłem waszą trupę w Messynie, całą zbieraninę dziwołagów... - Bocelli ponownie zachichotał. - Doskonale wywiązałyście się z zadania. Przecież cieszyłaś się, że będziesz mogła je pokazywać. To przyciągnęłoby klientów...

Maryam raz jeszcze pokręciła głową.

- Nigdy niczego takiego nie powiedziałam. - Przycisnęła trumienkę mocniej do piersi. - Nie przyszłoby mi to nawet do głowy.

- Posłuchaj, ty wielka, tłusta góro... - Bocelli bardziej denerwował się z powodu tłumu, niż chciał się do tego przyznać i teraz powoli zaczynał tracić cierpliwość. Podeszedł do niej tak blisko, że Maryam poczuła zapach cebuli. - To dziecko mogłoby ci się przydać, gdyby żyło. Ale teraz nie żyje i ja go potrzebuję, *capito*? No, dawaj to...

Sięgnął po trumnę, ale Maryam, która górowała nad nim wzrostem, nie zamierzała jej oddać. Szmer przebiegł przez tłum, który nie wiedział jeszcze, czy śmiać się z tego wszystkiego, czy zarzewać strony do walki.

- To? - Jej niski głos zabrzmiał jak warknięcie.

- Doskonale wiesz, o czym mówię. No, nie bądź głupia. Widzisz tego człowieka w turbanie. - Wskazał z szacunkiem Jonesa. - Zapłaci nam za to bardzo hojnie. Podzielimy się... - Pociągnął za trumnę. - Wynagrodzę ci wszystkie kłopoty... Ale to dziecko na nic się nam nie przyda, kiedy zacznie się już rozkładać, *capito*?

- *Signor* Bocelli - odezwała się Elena, która patrzyła na niego z konsternacją. - Co ten człowiek chce zrobić z naszym zmarłym dzieckiem? Tak, zmarłym dzieckiem - powiedziała głośnie, by usłyszał ją tłum. - Niech Bóg ma je w swojej opiece!

Jedna z dziewczynek zaczęła płakać.

- Przyszliśmy po ostatnie namaszczenie dla niego i by pochować je zgodnie z chrześcijańskim obrzędkiem - ciągnęła Elena. - Proszę, uszanuj nasz smutek.

- Powinniście się wstydzić! - krzyknęła do Bocellego kobieta w zielonym szalu.

- Tak, wstyd! - Pracznica w koszuli z podwiniętymi rękawami wychyliła się z okna. - Zostawcie je w spokoju! Niech pogrzebiom dziecko!

Ktoś rzucił w Bocellego zgniłym jabłkiem.

- Zaraz!

Ambrose stał do tej pory spokojnie za plecami Bocellego. Miał zmęczoną minę, jakby nużył go zgiełk, i trzymał przy nosie woreczek z różnego rodzaju wonnymi roślinami, które miały chronić przed zarazą. Tylko jego żywe oczy zdradzały, że obserwuje wszystko niezwykle uważnie.

- Zaczekajcie! - Jego głos rozbrzmiewał na *campo* niczym kamień rzucony do chłodnej wody. - Mieszkańcy Dorsoduro, dlaczego bronicie tych kobiet? To obce, Cyganki... - Tłum zamilkł niepewnie. - Przecież wiecie, jacy są Cyganie!

Nikt nie zwrócił uwagi na to, że Jones sam mówi z obcym akcentem. Wszyscy słuchali go jak zakłęci.

- Wiecie doskonale, że kłamią, oszukują i kradną...

- Tak, kradno dzieci! - odezwał się mężczyzna z wolem. - Wszystkie to wiedzo.

- Właśnie. - Ambrose bawił się woreczkiem z ziołami. - Również bardzo małe dzieci...

Odczekał chwilę, żeby do wszystkich dotarło, co ma na myśli.

- Skąd więc wiadomo, że to dziecko - wskazał trumnę - jeśli to w ogóle jest dziecko, należy właśnie do nich?

Znowu przyłożył woreczek do nosa. Na *campo* zapanowała całkowita cisza.

- Powiedzcie więc, która z was jest jego matką? - odezwał się w końcu. Jego wzrok spoczął na obu kobietach. Wszyscy w tłumie na nie patrzyli. Kiedy nie odpowiedziały, Ambrose potrząsnął wolno głową.

- Tak myślałem - mruknął.

A potem przez tłum znowu przebiegł szmer, tyle że głośniejszy i bardziej gwałtowny. Zaczęły się odzywać pojedyncze głosy, do których dołączały następne i następne: „Cyganie przynoszą tylko brud i choroby! Won z nimi! Niech sobie ido!”.

Ambrose miał już pewność, że tłum jest po jego stronie. Rzucił więc nieco głośniej:

- Kto wie, może zaraza to też ich sprawka...

- *Madonna!* Co on powiedział? Zaraza?

Tak... zaraza. Zaraza! Zaraza! - odzywały się coraz liczniejsze głosy.

W powietrzu wyczuwało się strach i złość. Powietrze wokół było tak gęste, że można go było niemal dotknąć. Maryam poczuła, jak znowu ścisną jej się serce. Prawie nie mogła oddychać...

- Tak, przynoszą zarazę! - Ambrose rozejrzał się dookoła z triumfem. - Czemu macie im współczuć, skoro narażają was na niebezpieczeństwo?! Niszczą wasz spokój...

Zaczął teraz krzyczeć, podniecony własnym krasomównem. Ale nagle usłyszał tuż przy uchu znajomy głos:

- Cyganki? Te kobiety wcale nie wyglądają na Cyganki, panie Jones.

Ambrose odwrócił się gwałtownie. Aż otworzył usta na widok Carew.

- Po co się wtrącasz? Dlaczego zawsze musisz wtykać nos w nie swoje sprawy?

- Mógłbym zapytać o to samo!

Carew nie zależało na kobietach czy ich zmarłym dziecku, nie chciał jednak pozwolić, by Jones dopiął swego.

- Te kobiety to wcale nie Cyganki! - krzyknął. - Widzieliście kiedyś takie Cyganki?! - Rozejrzał się dookoła, popatrzył na wykrzywione strachem twarze. - Dlaczego go słuchacie? - Wskazał palcem Ambrose'a. - Przecież to też obcy. Sam mógł sprowadzić tutaj zarazę!

- Carew! - Oczy Jonesa omal nie wyskoczyły z orbit. - Oszalałeś? Tak, tak, właśnie to się stało...

Tłum popatrzył na Jonesa, jego wyszukany strój, woreczek z ziołami, i natychmiast opowiedział się po stronie Carew. Ku przerażeniu Ambrose'a ludzie ponownie umilkli.

- Znam go! - zawołał Carew i z przyjemnością zauważył, że Jones jest coraz bardziej zdenerwowany. - To prawdziwy kłamca i oszust.

- Carew! Oni mnie rozszarpią! - Ambrose popatrzył na niego teraz błagalnie.

Jednak Carew zbliżył usta do jego ucha i powiedział:

- Jeśli jednak nie, to ja to zrobię - rzucił mściwie. - A to będzie dopiero początek.

- Co...? To już przechodzi wszelkie pojęcie. Powiem Pindarowi. Każę cię wychłostać! Łamać kołem...

Carew tylko się skrzywił.

- Dlaczego nie przekazałeś mi wiadomości?

- Co? - Ambrose popatrzył na niego, otwierając usta. - Jakiej wiadomości? Nic nie wiem o...

- Myślę, że jednak wiesz! - John spojrział na niego bezlitośnie. - Dlaczego nie przekazałeś mi tej wiadomości? Wydaje mi się, że Constanza miała jednak rację - dodał niespiesznie. - Znasz wszystkie nasze sekrety, prawda? I w dodatku trudno powiedzieć, po czyjej jesteś stronie...

Myśl o tym, co Jones zrobił, sprawiła, że Carew miał ochotę go zabić. Jeśli więc nie rozbił mu jego wielkiego nosa czy nie roztrzaskał czaszki, to tylko dlatego, że mógł go ukarać w inny, bardziej bolesny sposób.

Carew domyślał się, co znajduje się w trumience. Musiała to być syrena, o której wspominał Ambrose, inaczej nie czyniłby takich wysiłków, żeby ją zdobyć. Carew był tego pewny, i wiedział, że musi działać szybko.

- Wiem, o co ci chodzi. Wiem, co jest w tej trumience. Zobaczysz, zrobię z ciebie galaretę! - Przynął się do niego tak blisko, że Jones poczuł jego oddech na uchu. - Ale wcześniej - wskazał kobiety, które wciąż stały przed kościołem - sprawię, żebyś cierpiał jeszcze bardziej.

- Zaczekaj... nic nie rozumiesz! To prawdziwa syrena! Nie masz pojęcia, ile wysiłku kosztowało mnie to, by ją tu sprowadzić. - Zerknął na Bocellego, który przyglądał się z niepokojem tej scenie. - Jest warta majątek, John. Nie rób tego - błagał. Jego twarz wyrażała jednocześnie strach i chciwość. - To prawdziwy skarb, wart więcej niż błękitny brylant sułtana!

- Mogłem się domyślić, Ambrose, że tylko o to ci chodzi. Co chcesz zrobić z tym martwym dzieckiem?

- Dzieckiem? O czym ty mówisz? To potworek...

- One jednak myślą inaczej. - Carew wskazał wystraszoną grupę przed kościołem. - I chcą je po chrześcijańsku pochować. A ty co? Jakie masz plany? Umieścić je w formalinie czy wypatroszyć i zabalsamować? A może trzymać w soli? Ciekawe, co by na to powiedzieli tutejsi mieszkańcy? - Powiódł wzrokiem dokoła. - Pewnie nie wiedzą zbyt wiele o gabinetach osobliwości, więc może ich zapytamy, co?

- Przestań - jęknął słabym głosem Jones.

Jednak Carew zmierzał już w stronę kościoła. Świadomość, że za chwilę może stracić skarb, podzielała na Ambrose'a jak kubek zimnej wody. Obrócił się szybko do stojącego obok Bocellego.

- Widzisz go? Tamten skinął głową.

- Masz się go pozbyć.

Bocelli nie wyglądał na zachwyconego taką perspektywą.

- Ależ, *signor*...

- Nic nie mów! Po prostu weź się do roboty. Wszystko mi jedno, jak to zrobisz - syknął mu do ucha. - Możesz go zabić, jeśli okaże się to konieczne.

Kiedy Maryam zobaczyła zbliżającego się Carew, nie miała pojęcia, że nie chce on zrobić nic złego. Próbowała śledzić rozmowę między dwoma mężczyznami, ale w większej części toczyła się ona w nieznanym jej języku.

Nasłuchiwała przez dłuższy czas, przyciskając do siebie trumienkę. Mimo że była ona bardzo lekka, coraz trudniej było jej utrzymać ją w rękach. Czuła, że zdrętwiała jej dłoń i całe przedramię i drewniane pudło może za chwilę wysliznąć się z uścisku. Elena ciągnęła ją za rękaw, Ma-

ryam widziała, że chce jej coś powiedzieć, ale nic nie słyszała. Sama otworzyła usta, ale nie wydobyło się z nich żadne słowo. Jej uszy wypełniał dziwny szum.

Tłum wypełnił niemal cały plac. Widziała twarze ludzi, pełne strachu i nienawiści. Wykrzywione usta, nabrzmiałe żyły na czerwonych szyjach. Ale jednocześnie odnosiła wrażenie, że otacza ją całkowita cisza.

Cisza uderzyła ją od razu, gdy dotarli do laguny. Po tylu tygodniach spędzonych na morzu tutejsze wody wydawały się gładkie niczym lustro. Wyspy miały tak niskie brzegi, że same przypominały tratwy. Wiatr zupełnie zamarł. Żagle statków zwisały bezużytecznie i dookoła słychać było jedynie plusk wioseł.

Dotarły już niemal do miasta, kiedy dziecko zmarło. Wydarzyło się to o świcie, tak pięknym, że Maryam nigdy nie widziała podobnego. Stała na pokładzie, trzymając maleństwo w ramionach i patrząc na nie z rozczuleniem. Wolną ręką poprawiła pieluszkę, a następnie dotknęła palcem pokrytej delikatnym puszkim główki. Dziecko obudziło się i poruszyło wargami, szukając matczynej piersi. Nie zapłakało, jedynie głośniejszym westchnęło. Maryam poczuła ściśnięcie w gardle.

- Popatrz, *agapi mou* - szepnęła - jesteśmy już prawie na miejscu. Znajdziemy lekarza... jeden z marynarzy mówił, że...

Maryam starała się usunąć z pamięci to, co powiedziała jej Elena: „Nic z tego, Maryam. To maleństwo jest zbyt słabe. Zostało mu już niewiele czasu...”. Wyczuwała smutek w jej głosie. Elena sama straciła dwoje dzieci. „Nie powinnaś winić za to jego matki. To straszne, kiedy umiera ci dziecko, nawet... nawet takie jak to. Bóg dał, Bóg wziął. - Elena położyła dłoń na jej ramieniu. - Będą inne”.

Ale nie moje! - pomyślała Maryam, bliska płaczu. Bóg nigdy nie daje niczego takim dziwołagom. Zostanę sama.

A może jednak wypowiedziała te obrazoburcze słowa? Pozwoliła im przebrzmieć... Bardzo możliwe. Nagle okazało się, że nie przejmuje się tym, iż ktoś mógłby poznać jej myśli. Mogą się z niej śmiać. Mogą krzywić się z obrzydzenia za każdym razem, gdy przewija dziecko i widać jego deformację. Ale Maryam patrzyła na nie z czułością i widziała jedynie małe stópki z paznokciami, które przypominały płatki macicy perłowej.

Jednak wraz ze zbliżaniem się do miasta czuła, że życie uchodzi z maleństwa.

- Jeszcze trochę, kochanie - szeptała. - Zobaczysz, że znajdziemy kogoś, kto nam pomoże... Nie poddam się! Nigdy się nie poddam!

Maryam dotknęła palcem delikatnej piąstki i odetchnęła z ulgą, kiedy ta się na nim zacisnęła. Nigdy w życiu na niczym jej tak nie zależało.

Z trudem znosiła ból tak wielkiej miłości.

Usłyszała okrzyk jednego z marynarzy, a kiedy spojrzała na reje, zauważyła, że mężczyzna macha w stronę horyzontu. Początkowo nic nie widziała. Daleko przed sobą mieli wielkie, wciąż ośnieżone góry, które wznosiły się za miastem niczym strażnicy. Bliżej widać było jednak tylko mgłę i gładkie lustro wody w kolorze nieba. Marynarz znowu coś krzyknął, machając ręką, ale Maryam wciąż nie wiedziała, o co mu chodzi. Przed dziobem statku przefrunęło stado krzyczących mew, które co jakiś czas dawały nura wprost do wody.

W końcu jednak zobaczyła. Mgła opadła nieco, a nad jej koldrą dostrzegła dachy osławionego miasta, mieniące się złotem i różem. Wenecja wyglądała w tej chwili tak, jakby zamieszkiwały ją anioły.

Kiedy ponownie opuściła wzrok, zauważyła, że klatka piersiowa maleństwa już się nie unosi. Oczka miało otwarte, ale pozbawione wewnętrznego wyrazu i blasku. Trzeba było aż czterech marynarzy, którzy musieli ją trzymać, by w końcu pozwoliła sobie zabrać dziecko.

Teraz na widok tłumu, który wciąż napływał na niewielki plac, Maryam poczuła się zmęczona bardziej niż kiedykolwiek w życiu.

Wydawało jej się, że była tak sprytna, kiedy wytargowała u Bocellego dwa konie, ale przecież - z czego dopiero teraz zdała sobie sprawę - to on ją przechytrzył. W dodatku wpadła w jego pułapkę dokładnie tak, jak to zaplanował. Nagle pojęła, dlaczego statek płynął tak szybko, a jego kapitan nie spierał się o cenę i w ogóle przyjął je na pokład. Ba, marynarze radzili im nawet, żeby zabrały dziecko do Ospendale degli' Incurabili. Przez cały czas była jedynie pionkiem w cudzej grze!

Gdy Carew zaczął się do niej zbliżać, nawet go nie dostrzegła. Widziała jedynie twarze tamtych mężczyzn, wykrzywione niczym maski twarze swoich prześladowców.

Zaczęła biec.

Przedarła się z trumienką przez pierścień gapiów. Ludzie rozpierzchli się na jej widok, a ci, z którymi się zderzyła, padali na bruk. Widziała otwarte usta, unoszące się grdyki, ale nie słyszała słów. Cały świat ucichł, a do niej docierało jedynie bicie własnego serca.

Pobiegła na tyły kościoła, by wrócić do *ospedale*, ale musiała źle skręcić. Przebiegła przez most nad kanałem, lecz wkrótce się zorientowała, że nigdy nie była w tym miejscu. Mogła teraz skręcić w dwie strony. Po chwili wahania pobiegła w lewo, ale trafiła w ślepy zaułek.

Przed sobą miała jedynie wodę. Kiedy obejrzała się za siebie, zobaczyła ścigających ją mężczyzn. Byli już bardzo blisko, a ona nie miała gdzie uciekać. Nagle dostrzegła promień, który odbił się w trzymanym przez Bocellego nożu.

Wiedziała już, co się święci. Wiedziała, że znów będzie musiała walczyć. Czy mają psy? Na pewno gdzieś tu je trzymają. Poczła dziwny smak w ustach i przez chwilę myślała, że z wymiotu-

je. Była zaszczuta i wydawało jej się, że ma na głowie krowie rogi. Potrząsnęła wielką głową niczym ranne zwierzę.

Nie udało jej się ocalić dziecka, ale chciała przynajmniej zapewnić mu godny pochówek. Nie mogła pozwolić, by dostało się w ręce tych ludzi.

Nie pozwoli, by zabrali jej maleństwo. Sama mu to przyrzekła.

Klnę się...

Na moje życie.

Jednak nagle poczuła, że nie ma siły na walkę. Musiała szybko podjąć decyzję. Przycisnęła więc trumienkę do piersi i skoczyła.

Razem z syrenką wpadła niczym kamień w szmaragdową toń.

TLR

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

Dzwony wciąż rozbrzmiewały, kiedy Carew doszedł do siebie. Leżał na bruku w jakiejś przesiąkniętej wilgocią ślepej uliczce. Kiedy pociągnął nosem, poczuł smród moczu. Pulsujący ból rozsadzał mu czaszkę.

Przez moment nie wiedział, gdzie się znajduje. Usiadł i pomacał tył głowy, gdzie wyczuł najpierw sklezione krwią włosy, a potem wielki jak jajo guz.

Gdzieś obok usłyszał płacz.

Nieopodal stała jakaś kobieta i patrzyła w wody kanału Giudecca. Kiedy usłyszała, że się poruszył, popatrzyła na niego pełnymi łez oczami.

Carew próbował coś powiedzieć, ale bez skutku. Kobieta patrzyła na niego bez słowa. Trwali tak przez chwilę niczym dwoje rozbitków, w końcu ona osunęła się na ziemię i ukryła twarz w dłoniach.

Carew z trudem usiadł. Miał mokre ubranie. Dzwoniło mu w uszach.

Powoli zaczął sobie przypominać wszystko, co się zdarzyło. Scenę przed kościołem, grupę kobiet, pojawienie się Jonesa i innego mężczyzny, który dla niego pracował. A potem tę kobietę, którą początkowo wziął za mężczyznę. Była większa i brzydsza niż ktokolwiek mu znany i trzymała pod pachą trumienkę. A potem zaczęła biec, aż dotarła...

- Co się z nią stało? - Carew zwrócił się do płaczącej kobiety.

Ona jednak sprawiała takie wrażenie, jakby go nie słyszała. Chciał wstać, ale jęknął i znowu usiadł. Bolała go nie tylko głowa, ale też żebra, jakby ktoś go kopnął w klatkę piersiową.

- Jak się nazywasz? Kobieta pociągnęła nosem.

- *To onoma mou inai Elena.*

Elena. Po co w ogóle o to pytał? Co mu z tego przyjdzie? Przypomnił sobie, że na placyku widział ją z dwójką dzieci.

- Gdzie twoje córki... Eleno?

- Odesłałam je do *ospendale*. - Bezradnie wzruszyła ramionami. - Trzeba było powiedzieć o tym matce...

- Matce?

- Zmarłego dziecka.

Carew potrząsnął głową, nie bardzo wiedząc, co o tym sądzić.

- Nie może chodzić... nogi... - mówiła bezładnie, jakby nie miała siły na rozmowę. - Coś jeszcze pamięta. Ale nie dziecko...

Carew zamknął oczy. Na miłość boską, co on w ogóle tutaj robi? Brudny, pobity, zupełnie sam w jakiejś ciemnej uliczce... Nic dziwnego, można się było tego spodziewać - miał wrażenie, że słyszy głos Paula.

Na szczęście już niedługo odpłynie. Cóż go mogą obchodzić problemy tych kobiet? Wcale go nie interesuje martwe dziecko. Musi udać się jak najszybciej do klasztoru. Już by tam był, gdyby Ambrose przekazał mu informację. Spróbował się poruszyć, tym razem ostrożniej, ale ból i tak był zbyt wielki.

Ambrose! Ambrose i jego syrena! No, przynajmniej teraz jej nie dostanie. Na myśl o tym, jaką Ambrose musiał mieć minę, zachciało mu się śmiać, zaraz jednak jęknął żałośnie. Wystarczyło lekkie poruszenie, a poczuł przeszywający ból w klatce piersiowej.

Postanowił jeszcze chwilę odpocząć. Nie otwierając oczu, zwrócił się do nieznajomej:

- Czy wiesz, gdzie poszli ci dwaj mężczyźni? Widziałaś ich potem?

Kiedy nie odpowiedziała, otworzył oczy i zauważył, że na niego patrzy. Jej blada smutna twarz zdradzała dużą inteligencję. Siedzieli tak, patrząc na siebie lub na oleiste, zielone wody zatoki.

- Ten Bocelli próbował cię chyba zabić - odezwała się po chwili.

- Ten z wielką torbą?

- Właśnie.

Zatem nazywa się Bocelli, pomyślał.

- Ale kazał mu to zrobić ten drugi, ten w żółtym turbanie. Obserwowałam ich. Uderzył cię od tyłu, kiedy próbowałeś powstrzymać Maryam, i wpadłeś do kanału.

Popatrzył na nią ze zdziwieniem. Czyli Ambrose chciał jego śmierci? Wydało mu się to jednocześnie niemożliwe i zupełnie prawdopodobne. Pozostawało jeszcze pytanie: dlaczego kazał go zabić?

- Jesteś pewna?

- Tak, ten gruby w żółtym turbanie. Dał Bocellemu sztylet, ale szczęśliwie zdążyłam go zabrać. - Kobieta wyjęła broń z fałd sukni. - Dlatego uderzył cię kijem.

Nagle sztylet z kościaną rękojeścią zniknął gdzieś, jakby rozwiął się w powietrzu. Carew aż zamrugał, a potem siedział przez chwilę, nie mogąc wydobyć z siebie słowa.

- Jak to zrobiłaś? Uśmiechnęła się słabo.

- Przepraszam, to z nawyku. - Zdumiony mężczyzna zobaczył, że ona znów trzyma sztylet na dłoni. - Właśnie tym się zajmuję.

- Nie, nie rozumiem. Czym się zajmujesz?

- Jesteśmy trupą akrobatek. Same kobiety... - Nagle posmutniała. - Chociaż teraz, kiedy Maryam... - Głos jej się załamał. - Sama nie wiem, co z nami będzie. - Elena uroniła parę łez, ale po chwili się pozbierała. - Ja zajmuję się różnego rodzaju sztuczkami, nic wielkiego. - Na jej ustach znowu pojawił się uśmiech. - Ale występowałyśmy nawet w Konstantynopolu, przed samym pa-dyszachem.

- Naprawdę? Przed sułtanem? - mruknął niechętnie i oparł głowę o kolana.

Konstantynopol! Tam się wszystko zaczęło! Zaczynał reagować źle na byle wzmiankę o tym mieście.

- Powinieneś opatrzyć sobie głowę - zauważyła Elena. Carew dotknął zakrwawionego guza.

- Chyba jednak żyję, prawda?

- Co się stało z twoim uchem? - spytała, marszcząc brwi. - Przecież zabrałam mu sztylet.

Do licha! Zupełnie zapomniał o uchu!

- Możesz pójść ze mną do *ospedale* - zaproponowała, widząc jego minę. - Opatrzę cię.

- Wielkie dzięki, ale nie. - Carew wstał z widocznym wysiłkiem. Jakoś nie miał ochoty nawiązywać bliższej znajomości z trupą akrobatek. - Gdzieś tutaj mieszkam... - Rozejrzał się niepewnie. - Chyba...

Nagle zakręciło mu się w głowie tak bardzo, że musiał oprzeć się o ścianę, żeby nie upaść.

- Żegnaj więc. Przykro mi z powodu twojej przyjaciółki.

Carew wiedział, że powinien spytać Elenę o jej pobyt w Konstantynopolu. O to, czy była w haremie. Czy widziała trzymane tam kobiety... Jednak zaraz przypomniał sobie Pindara, który uciął mu ucho.

Do licha z haremem, Celią Lamprey i klejnotami! Poczul, że ogarniają go mdłości. Miał w tej chwili dosyć własnych problemów. Niech zatem Pindar sam się zajmie swoimi...

- Żegnaj więc - powtórzył, unosząc drżącą dłoń.

Ale Elena zdawała się go nie słyszeć. Była tak pogrążona w smutku i swoich myślach, jakby nie mogła pogodzić się z tym, co się stało z jej olbrzymią przyjaciółką. Wciąż siedziała na brzegu kanału i wpatrywała się w wodę.

Co się z nią teraz stanie? - zaczął się zastanawiać. Z nią i jej córkami? Czy trupa się rozpadnie? Czy pokazywanie sztuczek wystarczy, by zapewnić im utrzymanie, czy też będzie musiała zarabiać w inny sposób? Widział podobne kobiety w wielu miastach Europy i mógł się domyślić, co ją czeka.

Carew wzruszył ramionami. Cóż, to nie jego sprawa. Nie powinien się do tego mieszać. Jeszcze tylko jedna niewinna wizyta w klasztorze, a potem popłynie do Anglii. W oddali widział Giudeccę wraz z jej kościołami i otwartymi dla publiczności ogrodami. Przez chwilę zastanawiał

się, czy Constanza wróciła już do siebie i czy w ogóle ją jeszcze zobaczy. Na wodach kanałów pełno było gondoli i innych łodzi, które mijaly ich tak, jakby nic się nie stało.

Carew odwrócił się bez słowa i ruszył w stronę kościoła. Nagle znowu usłyszał za sobą głos kobiety:

- *Kyrios...* Panie... ten Bocelli...

Carew zatrzymał się niechętnie.

- Tak?

- Czy wiesz, gdzie go mogę znaleźć?

- Na twoim miejscu unikałbym takich indywidualistów - mruknął.

- To kłamca i złodziej - powiedziała tak cicho, że ledwo ją usłyszał.

- I nie tylko - dodał rzeczowo.

Jednak Elena chyba znowu go nie słuchała, tak bardzo pogrążyła się w myślach.

- Matka tego dziecka...

- Co takiego? - spytał już wyraźnie zniecierpliwiony.

- To on jej to ukradł - rzuciła, zaciskając pięści. - Jestem pewna.

Carew nie rozumiał, o co jej chodzi, więc milczał.

- Nie może sobie przypomnieć, co to było. - Elena pobladła jeszcze bardziej. - Ale wciąż tego szuka. - Popatrzyła na niego i potrząsnęła smutno głową. - Ma na to nazwę, ale ja jej nie rozumiem...

- Ja też nic z tego nie rozumiem - mruknął Carew. - I tyle. Odwrócił się i ruszył dalej. Przed oczami miał twarz Annetty. Pragnął zobaczyć ją przynajmniej jeszcze raz. Wyjść z tego bagna, w którym coraz bardziej się pogrążał.

- *Kyrios...* - usłyszał ponownie głos kobiety. - Proszę, zaczekaj...

Poczuł, że nie zniesie dłużej widoku jej smutnej, pełnej bólu twarzy. Udał więc, że jej nie słyszy i szedł przed siebie.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY

Zuanne położył woreczek z czarnego aksamitu na środku stołu.

- Pani, panowie - spojrzał na grupę graczy zgromadzonych po raz pierwszy w ośmiokątnym pokoju. Kiedy upewnił się, że wszyscy na niego patrzą, wolnym ruchem wytrząsnął zawartość woreczka na stół. W środku znajdowała się wypłowiała różowa sakiewka.

Przez chwilę w pokoju panowała całkowita cisza. Wszyscy zebrani wstrzymali oddech. Paul poczuł, jak jeżą mu się włosy na karku.

Tak długo na to czekał. Patrzył, jak Memmo bierze sakiewkę i waży ją w dłoni. Przez dłuższą chwilę milczał, prezentując ją zebrany. Dłoń trochę mu drżała.

- Pani, panowie - powtórzył i znowu rozejrzał się dookoła - oto błękitny brylant sułtana...!

Szmer przebiegł po sali. Brylant lśnił w blasku świec niczym miniaturowe słońce. Mienił się barwami tak czystymi i pełnymi, jakby sam stanowił źródło światła. Klejnot wydał mu się teraz jeszcze piękniejszy niż wcześniej.

W tym momencie do pokoju wszedł służący i szepnął coś do ucha swemu panu.

- Bardzo państwa przepraszam - rzekł Memmo. - Muszę wyjść na chwilę.

Kiedy zniknął za drzwiami, w pomieszczeniu zapanowała niezręczna cisza.

W sali zgromadziło się sześcioro graczy: pięciu mężczyzn i, ku zaskoczeniu Paula, jedna kobieta. Wszyscy nosili maski. Ich wspólne wygrane w *primero*, a także warte tysiące dukatów posiadłości, których Memmo zażądał jako wpisowego, miały stanowić zabezpieczenie. Zuanne Memmo nie lubił zbędnego ryzyka.

Zamaskowani gracze siedzieli początkowo sztywno niczym woskowe manekiny. Po chwili jednak zaczęli szeptać między sobą niczym konspiratorzy. Jedynie ubrany jak zwykle na czarno Paul Pindar nie włączył się w rozmowę, pragnąc raczej dowiedzieć się jak najwięcej na temat swoich przeciwników.

Pierwszy odezwał się mężczyzna, który siedział po jego prawej stronie.

- Na Madonę, czy widzieliście kiedyś coś podobnego? Trzysta karatów!

Paul przyjrzał mu się uważnie przez wąskie otwory maski. Gracz miał na kciuku duży złoty sygnet z reliefem, który mógł służyć jako pieczęć. Był to człowiek wyraźnie starszy od reszty i, jak świadczył o tym sposób mówienia, pochodzący z patrycjuszowskiej rodziny. Sądząc po stroju - jego batystowa koszula była wyszywana złotymi nićmi - był to najprawdopodobniej arystokrata ze starego weneckiego rodu, gotów roztrwonić rodzinny majątek.

- Trzysta karatów? Ten brylant waży trzysta dwadzieścia dwa karaty. Sam widziałem, jak go ważono. To niezwykle klejnot, bez najmniejszej skazy, naprawdę cudowny... - odezwał się drugi z graczy, a następnie potrząsnął głową, jakby brakowało mu słów.

- Ale skąd Memmo go wziął, oto zagadka? - szepnął konfidentycznie mężczyzna, który pochylił się w ich stronę nad stołem.

- Oczywiście od kogoś wygrał, bo jak inaczej? - powiedział z pełnym przekonaniem pierwszy mężczyzna. - Najpewniej w karty...

- Ktoś przegrał w karty błękitny brylant sultana? - zapytał z powątpiewaniem trzeci z graczy, który siedział niemal naprzeciwko Paula, a potem zaśmiał się szyderczo. - To musiał być jakiś wyjątkowy głupiec.

Tembr jego głosu, zniekształconego trochę przez maskę, wskazywał jednak, że jest on znacznie młodszy od dwóch pozostałych mężczyzn. Paul przyjrzał mu się uważnie. On też prezentował się jak arystokrata, na co wskazywała również jego granicząca z bezczelnością pewność siebie. Paul znał takie typy, tych chłopców gotowych przegrywać fortuny, których jeszcze nie odziedziczyli.

- Racja. Skąd mamy wiedzieć, że ten brylant nie pochodzi z kradzieży? - spytał drugi z graczy.

- Ech, co za różnica? Mnie interesuje raczej to, dlaczego nie chce go zatrzymać dla siebie? - Czwartym graczem była kobieta, zapewne kurtyzana, sądząc po głębokim dekolcie i zaplecionych w dwa rogi włosach. Paul nadstawił ucha z nadzieją, że rozpozna jej głos. Być może spotkał ją kiedyś, choćby u Constanzy... Jednak głos kobiety był cichy i na tyle przytłumiony, że niewiele mógł powiedzieć. Założył jednak, że jej nie zna, podobnie jak pozostałych dwóch graczy.

- Co? Zuanne Memmo miałby zatrzymać brylant? - rzucił niemal z oburzeniem starszy mężczyzna z sygnetem. - A co ktoś taki miałby z nim robić? Jego nie interesuje piękno, tylko pieniądze.

- Ten brylant jest wart majątek! - Zza maski głos kurtyzany brzmiał słabo, jakby z trudem oddychała w tym zamkniętym pomieszczeniu, w którym paliło się tyle świec.

- I cóż by z nim robił nasz *cavaliere*? - burknął starszy arystokrata. - Ten kamień sam w sobie nie przedstawia dlań żadnej wartości. - Zaśmiał się ponuro. - Właśnie na tym polega cała sprawa, pani. Ten klejnot wart jest wszystko lub nic.

- Chcesz powiedzieć, panie, że jest bezwartościowy? - Młodzieniec rozparł się na krześle i wyciągnął nogi do przodu. - Zresztą wszystko mi jedno - dodał odważnie. - Chodzi mi o samą grę, a nie jakieś szkieleko.

Paul poczuł, jak tamten uderza miarowo pod stołem jedną nogą w drugą. Nie był więc tak niefrasobliwy, na jakiego pozował. Łatwo się było domyślić, że gra narzuconą sobie rolę, ale tak naprawdę jest zdenerwowany i gotowy do walki. Z całą pewnością będzie popełniał błędy.

- Nie, wręcz przeciwnie. Jest bezcenny - odparł chłodno pierwszy z graczy.

- Co znaczy, pani, że jest wart tyle, ile ktoś zechce za niego zapłacić. Ponieważ nie ma na niego ceny - odezwał się mężczyzna, który siedział po lewej stronie Paula. Sądząc po jego niewyszukanym stroju i lekkim akcencie, podobnie jak on zajmował się handlem.

Kupiec zwrócił się uprzejmie do siedzącej po jego lewej stronie kurtyzany.

- Słyszałem, że *cavaliere* próbował sprzedać ten brylant, ale nie znalazł nabywcy...

- A ja słyszałem, że chce się go szybko pozbyć. - Młodzieniec poruszył się niespokojnie na swoim miejscu. - Obawia się, że Rada dowie się o jego *ridotto* i zechce je zamknąć. W Wenecji trudno utrzymać jakąkolwiek tajemnicę. Pewnie już wszyscy wiedzą o tym brylancie. Założę się, że Memmo boi się aresztowania i stąd ten pośpiech.

- Jaki pośpiech? - mruknął zniecierpliwiony arystokrata. - Ileż jeszcze mamy czekać? Gdzie się podział ten głupiec?

Obrócił się w stronę ciężkich zasłon, ale te wisiały nieporuszone.

Przy stole znowu zapanowało milczenie. Brylant leżał przed nimi na swoim aksamitnym posłaniu.

Poza Paulem tylko jeden z graczy nie odezwał się do tej pory. Był to ciemnowłosy mężczyzna w złotej masce. Paul odniósł wrażenie, że jest on bardzo młody, być może nawet młodszy od nerwowego arystokraty. Siedział mniej więcej naprzeciwko Paula, między kurtyzaną a tamtym młodzieńcem. Teraz, jakby pod wpływem nagłego impulsu, wyciągnął rękę przed siebie i byłby chwycił brylant, gdyby kobieta nie odepchnęła jego dłoni.

- Oszalałeś, panie? Nie słyszałeś o kłatwie? - syknęła przerażona. - Tego klejnotu może dotykać wyłącznie jego właściciel. Każdego innego dopadnie *sfortuna*, wielki pech!

- To tylko opowieści starych babek - odezwał się pogardliwie mężczyzna z sygnetem.

- Wszyscy je znamy - powiedział kupiec. - Ten kamień przynosi szczęście prawowitemu właścicielowi, a na innych ściera same nieszczęścia. - Wzruszył ramionami. - Ale nie powinna pani słuchać tego, co się mówi na Rialto. - Jego ton wskazywał, że się do niej uśmiechnął.

- Ale to jest *sfortuna* - powtórzyła, lecz opuściła rękę.

Paul zauważył, że milkliwy młodzieniec odsunął się od stołu i nie próbował już dotykać brylantu.

- Proszę, ja się nie boję - odezwał się po raz pierwszy Paul.

Sięgnął po brylant, a następnie położył go na otwartej dłoni.

Tak jak poprzednio poczuł lekkie mrowienie. Kobieta wydała cichy okrzyk. Inni przyglądali mu się uważnie w milczeniu.

- Jeśli uwierzemy w te historie, to kto w ogóle odważy się go dotknąć? Kto będzie mógł tak naprawdę uznać się za jego prawowitego właściciela? Czy będzie nim zwycięzca? - Rozejrzał się dookoła. - Wszyscy wiemy, że ktoś musiał przegrać ten brylant, ale co działo się z nim wcześniej? Czy ktoś mu go dał dobrowolnie? Masz rację, panie, to bezcenny klejnot. - Zwrócił się w stronę arystokraty. - Podobno tego rodzaju kamienie rzadko pojawiają się na rynku. Częściej daje się je albo, co bardziej prawdopodobne, odbiera siłą. Poza tym, czy sądzicie, że Memmo powiedziałby nam prawdę, nawet gdyby ją znał?

Brylant na jego dłoni załśnił dziwnym, niebieskawym światłem. Paul spojrzął na napis, wzdając palcem po malutkich arabskich literach.

- Tu jest napisane: *A'az ma yutlab*. Pragnienie mego serca.

Przy stole zapadła cisza.

- Ha, więc angielski sztywniak potrafi jednak mówić! - zaśmiał się młody arystokrata.

- Nie tyle sztywniak, ile filozof - odezwał się mężczyzna z sygnetem i spojrzął po raz pierwszy na Pindara.

- Co zatem chce pan powiedzieć? - Kurtyzana poruszyła omdlewającym ruchem wachlarzem, jakby brakowało jej siły. - Że powinniśmy zwrócić brylant sułtanowi?

- Nie, pani. - Paul podsunął jej brylant pod nos, a ona cofnęła się tak, jakby mógł ją ugryźć. - Sułtan ma wiele rzeczy, które tak naprawdę do niego nie należą.

Raz jeszcze spojrzął na klejnot. Jego dłoń lekko drżała. Przypomniał sobie słowa Prospera: „Ten brylant wędruje... Nie ma co pytać dlaczego czy próbować temu zapobiec”. Paul patrzył na niego przez dłuższą chwilę. Zastawił wszystko, co ma, by móc o niego grać. A jednak nic nie czuł, patrząc teraz na ten kamień. Mrowienie ustało. Czy Carew miał rację i on rzeczywiście oszalał? Zapewne tak. Ten klejnot nie zwróci mu Celi. Jak w ogóle mógł o czymś takim myśleć? Brylant wydał mu się nagle przerażający. Jakby był żywym stworzeniem - lśniącym zimnym blaskiem i złośliwym. Paul szybko odłożył go na miejsce.

Przy stole zapanowało poruszenie, gdyż pojawił się wreszcie Zuanne Memmo.

- Jesteście państwo gotowi? - spytał.

Służący rozsunęli zasłony, a on zaprosił ich gestem do sąsiedniego pokoju.

- Jeśli to prawda, to co powinniśmy robić? - Paul usłyszał obok szept kurtyzany.

- Możemy jedynie grać w karty - odparł. - I niech los o wszystkim zdecyduje.

Wiedział, że nie ma już odwrotu.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY

Kiedy wszystko się już skończyło, Paul nie miał pojęcia, jak długo grali. Być może dwa dni i dwie noce, być może trzy. Nikt z graczy nie śledził upływu czasu, mógł to co najwyżej robić sam Memmo.

Życie poza tym pięknym pokojem o wysokim sklepieniu, z lustrami zdobiącymi ściany, musiało toczyć się tak jak zwykle. Słońce wschodziło i zachodziło, kupcy zajmowali się interesami, statki przybijały do portów i odpływały, mężczyźni poznawali kobiety, w których się zakochiwali, ludzie żyli i umierali. Jednak w *ridotto* Zuanne Memmo wciąż panowała noc - grube zasłony blokowały dopływ światła, płonęły tam setki świec.

Na początku wydawało mu się, że wyczuwa jeszcze naturalny rytm swego ciała. Wydawało mu się, że wie, kiedy powinien coś zjeść, wypić lub się przespać. Później jednak stracił poczucie własnych potrzeb i zupełnie zatracił się w grze. Jego umysł i duszę wypełniły jedynie kolejne rozdania. Myślał wyłącznie o kartach.

Ciągnę. Licytuję. Czekam. Odrzucam. Dobieram. Stawiam. Sprawdzam. Kolejne rozdanie.

Czy był szczęśliwy? Trudno powiedzieć. Wcale o tym nie myślał.

Żył. To mu wystarczało.

Kolejne tasowanie.

Dobierają karty, by sprawdzić, kto będzie rozdawał.

- Mam asa.

- Ja czwórkę.

- Ja figurę.

- I ja.

- Ja też.

- A ja siódemkę.

Karty rozdaje osoba z siódemką, która ma najwięcej punktów.

Rozdanie.

Raz, dwa. Raz, dwa. Raz, dwa. Raz, dwa. Raz, dwa. Raz, dwa.

Kielichy. Monety. Trefle. Miecze.

- Pas.

- Pas.

- Pas.

- Stawiam sto dukatów.

- Ja nic.

- Nic.

- Nic.

- Ja muszę sprawdzić. Rozdajcie następne karty.

Gracz, który wyciągnął siódmkę, znowu rozdaje.

Raz, dwa. Raz, dwa. Raz, dwa. Raz, dwa. Raz, dwa. Raz, dwa.

Wszyscy mają teraz po cztery karty.

- Zobaczmy, ile postawi.

- Tyle wystarczy. Niech wszyscy wejdą.

- Ja znowu pasuję.

- I ja.

- I ja.

- Nie podwyższam.

- Sprawdzam.

- Nie mogę poddać tej gry.

- Mam *primero*.

- A ja *fluxus*.

I tak dalej, i dalej, i dalej... Czasami wśród graczy podnosił się szmerek. Zamiast *primero*, czterech kart różnych kolorów, pojawiał się *supremus*, *numerus* czy nawet *fluxus*. Nie zdarzyło im się tylko mieć czterech najwyższych kart tego samego koloru, zwanych *chorus*.

Stos dukatów to rósł, to znowu malał przy kolejnych graczach niczym morskie przypyływy i odpływy.

Co jakiś czas lokaj donosił im półmisek z mięsiwem, trochę chleba, owoców i wina. Gracze wstawali też od stołu, by ulżyć sobie w *po* stojącym za drzwiami. Czasami pojawiali się służący, by zmienić świece, a także zwilżyć leżące na podłodze sitowie, a wówczas gracze rzucali jakieś luźne uwagi. Kiedy Paul przy jednej z takich okazji wyjął kompendium, zauważył, że pozostali patrzą na niego zaciekawieni.

- Co to takiego? Czy to twój talizman, Angliku? - Starszy arystokrata pochylił się w jego stronę.

Paul ucałował wieko z dwoma splecionymi minogami i bez słowa wsadził kompendium do kieszeni.

- Dwa węgorze? Mam nadzieję, że przyniosą ci więcej szczęścia. - Mężczyzna zmęczonym gestem wyciągnął ramiona nad głowę. Paul wyczuł szyderstwo w jego głosie. - Ale niekoniecznie teraz, co, panowie?

Tłum widzów, który początkowo otaczał ich stół, znacznie się przeczesał. Zostali tylko najwierniejsi. Paul nie zwracał na nich uwagi, gdyż koncentrował się głównie na tym, jak przechytrzyć rywali. Docierało do niego bicie dzwonów, które odzywały się to dalej, to znowu gdzieś bliżej. Czyżby świtało?

Starał się wyobrazić sobie piękno poranka, który właśnie się rozpoczynał. Po długiej, dusznej nocy nareszcie zaczynał wiać lekki wiatr od morza. Marszczył tuż za ich oknem blade o świcie wody zatoki...

Jednak nie trwało to długo. Po chwili znów miał przed oczami stół z kartami i nie chciał widzieć nic innego.

Kiedy się rozejrzał, ze zdziwieniem stwierdził, że zostali już niemal sami. Nastrój pozostałych graczy się zmienił, nie byli już tak podnieceni, tylko zdeterminowani, by grać dalej.

Pomimo masek, które ukrywały twarze, zauważył, że gracze są już znużeni. Zuanne Memmo przysnął na chwilę na krześle. Młody arystokrata otworzył tomik poezji, który wziął ze sobą, i teraz rzadko rzucał znad niego okiem na karty, jakby był znużony. Paul dałby się nawet na to nabrać, gdyby nie to, że kiedy zerknął ukradkiem w jego stronę, dostrzegł baczne spojrzenie młodzieńca. Arystokrata chciał przyłapać go w chwili, gdy przestanie się pilnować, poznać jego myśli i... karty.

Wszyscy coś odgrywali, chociaż nie było to jasne dla normalnych widzów. Kupiec wziął ze sobą kartkę z rzędami cyfr i co jakiś czas przyglądał się im uważnie. W którymś momencie stary arystokrata padł twarzą na stół. Paul początkowo myślał, że dostał ataku apopleksji, ale okazało się, że wyczerpała go zbyt długa gra i nie potrafił zapanować nad sennością. Jedynie młody człowiek w złotej masce sprawiał wrażenie, jakby nic nie było go w stanie zmęczyć. Odzywał się też tylko wówczas, gdy wymagała tego gra.

Początkowo ten milczący gracz intrygował Paula. Choć nie widać było jego twarzy, musiał być chyba starszy, niż się zrazu wydawało. Było w nim coś znajomego - być może sposób siedzenia czy rozdawania kart. Paul pomyślał, że musiał grać z nim już wcześniej, choćby Pod Pierrotem czy w jakimś innym *ridotto*. Jednak po chwili mężczyzna zmieniał pozycję albo rozdawał karty, a Paul zaczął wątpić w trafność swoich obserwacji.

Na początku starał się ustalić, jak grają jego rywale. Najłatwiej poszło mu w przypadku kupca i starszego arystokraty. Pierwszy był bardzo spięty i ostrożny, a drugi nieostrożny i nadęty. Od początku wiedział, że nie stanowią oni zagrożenia. Natomiast młody arystokrata okazał się zręcznym graczem, bez śladu brawury, jakiej można by się spodziewać z racji jego wieku i pochodzenia.

Wszyscy byli jednak trochę zdenerwowani z powodu obecności kurtyzany.

- Dlaczego pozwoliłeś grać tej kobiecie, Zuanne? - zapytał mężczyzna z sygnetem, kiedy kurtyzana oddaliła się na chwilę.

- Cóż miałem zrobić? Dała mi dobre zabezpieczenie. - Memmo wzruszył ramionami. - Nikt jej tego nie może zabronić. - Uśmiechnął się zimno. - Nasza Rada, w swej niezmierzonej mądrości, pomyślała o wszystkim, tylko nie o tym. Może czas nadrobić zaniedbania, wasza wysokość?

- Tak, ktoś powinien się tym zająć - mruknął tamten.

Na razie jednak musieli pogodzić się z jej obecnością. Powoli, zapewne wraz z mijaniem poranka, w pokoju robiło się coraz bardziej gorąco. Świece skwierczały, powietrze stawało się ciężkie. Mężczyźni zdjęli kaftany, pozostając jedynie w koszulach, i poluzowali żaboty. Kurtyzana zdjęła suknię wierzchnią, kryzę, a nawet rękawy i została w koszuli ledwie zakrywającej jej piersi.

Noszenie maski w takich warunkach było bardzo uciążliwe. Paul czuł, jak źle dopasowane drewno zgniata jego nos, a także obciera policzek. Pomyślał, że jest jak człowiek pozostawiony bez wody na pustyni. Chciał jedynie zdjąć maskę, ale nie mógł tego zrobić. Tasowanie kart.

Ciągnięcie kart, by sprawdzić, kto będzie rozdawał.

- Ja mam szóstkę.

- Ja siódmkę.

- U mnie trójka.

- I u mnie.

- U mnie też.

- A ja figurę.

- Przekażcie talię.

- Rozdanie.

Raz, dwa. Raz, dwa. Raz, dwa. Raz, dwa. Raz, dwa. Raz, dwa.

Kielichy. Monety. Trefle. Miecze.

Skończyli licytację.

Dostali następne dwie karty.

I tak dalej, dalej i dalej.

Pierwsza złamała się kurtyzana.

- Zuanne, nie mogę już tak dłużej - zwróciła się w jego stronę. - Muszę zdjąć maskę.

- Co wy na to, panowie? - Memmo rozejrzał się dookoła. - Może zmienimy nieco zasady dla damy?

Ona jednak, nie czekając na odpowiedź, zaczęła już rozwiązywać wstążki. Zapewne z nawyku, a może specjalnie robiła to wolno, znacznie wolniej niż normalnie. Paul zauważył, że szarpie niezręcznie za węzły. Obawiał się, że ktoś zaprotestuje, ale gracze siedzieli w milczeniu i tylko

co jakiś czas spoglądali na nią głodnym wzrokiem. W pokoju dało się wyczuć napięcie, którego nie było tu wcześniej. Zgromadzeni mężczyźni obserwowali piękne, krągłe ramiona, które unosiły się i opadały, patrzyli na smużkę potu, lśniąca między piersiami.

W końcu zdjęła maskę i rozpuściła włosy, przez które z westchnieniem przesunęła palcami. Kiedy podniosła głowę, Paul miał wrażenie, że śni. Uniosła jeszcze włosy, by schłodzić szyję gestem tak znajomym, że wbił się on w jego świadomość niczym ostrze noża. Paul podniósł się ze swego miejsca.

Karafka, która stała obok niego, spadła na podłogę i rozbiła się na tysiące małych kawałków.

- O Boże!... Czy to możliwe?

Światło odbijało się w jej jasnych włosach, które opadły rudozłotą falą na plecy. Jednak w tym samym momencie dostrzegł swoją pomyłkę. Patrzyła na niego zupełnie obca kobieta. To nie była Celia Lamprey.

- Co się stało, panie? - Popatrzyła na niego, a potem na podłogę. Nagle, świadoma własnego powabu, zaczęła ich kokietować. - Czy może mnie znasz? - Zaczerwieniła się lekko.

- Wybacz, pani. - Paul opadł ciężko na krzesło. Co się z nim dzieje? Czyżby był aż tak bardzo zmęczony? - Bardzo mi kogoś przypominasz, ale... nigdy cię nie spotkałem.

Nastrój w sali ponownie się zmienił. Atmosfera zrobiła się jeszcze cięższa, wszyscy byli jeszcze bardziej spięci. Paul starał się nie patrzeć na kurtyzanę, doskonale wiedział, że nawet najlepsi przegrywali, pragnąc zaimponować kobiecie. Nie mógł się jednak powstrzymać i co jakiś czas zerkał w jej stronę. Była bardzo podobna do Celi. Czyżby była to jakaś sztuczka, by wyeliminować go z gry? Nagle zaczęły nurtować go wątpliwości. Może Carew i Constanza mieli rację? Nie, niemożliwe... Przecież nikt w całej Wenecji, pomijając samego Carew i Jonesa, nie wiedział, jak wygląda Celia!

Nie, to czysty przypadek... Ale czy na pewno? Jakże może być prawdopodobieństwo, że kobieta podobna do Celi weźmie udział w grze o błękitny brylant sułtana? Ta myśl nie dawała mu spokoju niczym uprzykrzona mucha. W którymś momencie wydawało mu się, że Memmo i kurtyzana wymienili porozumiewawcze spojrzenia. To znowu odniósł podobne wrażenie, jeśli idzie o mężczyznę w złotej masce...

Czuł, że pogrąża się w szaleństwie. Nie mógł tego wytrzymać, brakowało mu powietrza i przestrzeni. Miał dość maski. Musiał ją zdjąć choćby na parę chwil. Przeprósł więc zebranych i przeszedł do przedpokoju za zasłoną. Zerwał maskę z twarzy i jeszcze bardziej poluzował żabot. Obok *po* stała fajansowa miska z chłodną wodą i leżało lniane płótno. Ochlapał twarz wodą, a następnie po prostu zanurzył ją w misce. Poczuł, że trochę rozjaśnia mu się w głowie.

To ze zmęczenia, pomyślał. Doskonale wiedział, że brak snu może wywołać przeróżne halucynacje. Jednak im bardziej starał się odsunąć od siebie tę myśl, tym natarczywiej powracała, rozbrzmiewając w jego uszach niczym ledwie słyszalny dysonans, coś jak dźwięk pękniętego dzwoneczka.

Widok twarzy kurtyzany poruszył ich wszystkich. Mężczyźni grali teraz inaczej, bardziej nerwowo. I znowu Paul nie potrafił powiedzieć, czy jest to jedynie przypadek.

Kupiec i starszy arystokrata stracili już bardzo dużo, ale wciąż się wahali. Pierwszy poddał się kupiec. Wstał od stołu z błędnym spojrzeniem, jakby nie mógł uwierzyć w to, co się z nim działo, a potem przeszedł chwiejnie do wyjścia. Nastąpiło to w całkowitej ciszy. Następnie musiał zrezygnować arystokrata, którego *fluxus* nie przebił *chorusa* siódemek Paula.

Starszy mężczyzna wstał, zdjął maskę, a następnie skłonił się wszystkim z godnością.

- Gratuluje, Angliku. - Spróbował się nawet do niego uśmiechnąć. - Wygląda na to, że węgorsze jednak przynoszą szczęście.

Pozostała czwórka w milczeniu patrzyła za nim, kiedy wychodził. Gdy drzwi się zamknęły, młody arystokrata spojrzał ciekawie na Paula.

- Węgorsze?

- Nie, minogi.

- Minogi? - Pindar raczej wyczuł, niż zobaczył, że tamten uniósł ze zdziwienia brwi. Zaraz jednak zaśmiał się do siebie i zaczął podwijać rękawy koszuli. - Dobrze, grajmy dalej.

Na co ja czekam? - Paul zadał sobie po raz kolejny to pytanie. Chyba na chwilę, kiedy będzie miał całkowitą pewność, iż nie odzyska Celi. A może na taki moment, kiedy będzie mógł zacząć nowe życie...? Kiedy wreszcie przestanie czuć to wewnętrzne odrętwienie! Ale czy życie poza murami tego pokoju w ogóle jest możliwe? Czy jest jakieś inne życie?

Jeśli nawet, to Paul nie był pewny, czy wciąż go pragnie. Wydał fortunę, by sprawdzić, czy Fortuna będzie dlań łaskawa.

Wszystko albo nic. Coś jak śmierć... albo pokuta. Niezależnie od tego, co mówił Carew, miał pewność, że nie może zrobić nic innego.

Wyglądało na to, że rankiem trzeciego dnia gry coś już zaczęło się klarować. Kurtyzana zrezygnowała z kolejnej partii i zostało ich tylko trzech: młody arystokrata, mężczyzna w złotej masce i Paul.

Salę ponownie zaczęli wypełniać gapie. Sępy zlatują się na żer, pomyślał Pindar. W pewnym momencie wydawało mu się, że dostrzegł w tłumie znajomą postać w turbanie. Czyżby Ambrose? Cóż tu, do licha, robi? Kiedy jednak ponownie spojrzał przez ramię, tamten gdzieś zniknął.

A potem odniósł wrażenie, że zdarzył się jakiś cud. Los zaczął się do niego uśmiechać.

Jego *fluxus* zdobył sześćdziesiąt dziewięć punktów, a *numerus* pięćdziesiąt pięć. Stos monet przed nim był coraz większy.

Kurtyzana przysunęła krzesło, by siedzieć bliżej niego.

- Wygląda na to, że to ja jestem twoim talizmanem, Angliku - szepnęła mu do ucha. Po dwóch nocach przy stoliku miała nieświeży oddech, ale Paul był zbyt zajęty grą, by zwrócić na to uwagę.

Nie patrzył też na coraz większy tłum, który otaczał stół. Słyszał równe bicie swego serca, czuł wartki przepływ krwi w żyłach. Energia wypełniała całe jego ciało. Czuł, że żyje intensywniej niż kiedykolwiek wcześniej.

Zapomniał o wszystkim poza kartami. O kłótni z Carew. O Celi. Nawet o brylancie sułtana. Ostrzegawczy dzwonek cichł stopniowo w jego uszach, aż w końcu w ogóle go już nie słyszał.

Miał trójkę szóstek i mężczyzna w złotej masce powiedział pas. Kolejny uśmiech losu. Paul czuł, że jest niepokonany.

Memmo przyniósł kolejną talię i podał ją młodzieńcowi do przetasowania. Ciągnęli karty i to arystokrata miał rozdawać. Siedzieli teraz tylko we trzech przy stoliku. I nagle mężczyzna w złotej masce skoczył na równe nogi i zaczął krzyczeć.

- Widziałem! Widziałem! - Chlusnął winem w twarz młodzieńca. - Podmieniłeś karty!

Paul poczuł uścisk kurtyzany, usłyszał kolejne krzyki za plecami. Ktoś przewrócił stół. Karty pofrunęły w powietrze. Rozległ się dźwięk tłuczonego szkła.

Wszystko było skończone. Wygrał.

Paul wstał i zdjął maskę. Na moment zrobiło mu się ciemno przed oczami. Przytrzymał oparcie krzesła, żeby się nie przewrócić. Tłum coraz bardziej na niego napierał. Czuł ciepło ludzkich ciał. Nadludzka energia powoli zaczęła z niego uchodzić. Wszystko się skończyło. W sercu miał pustkę. Widział, że ludzie dookoła coś do niego mówią, ale nie słyszał ich głosów. W uszach miał tylko szum przypominający falowanie morza. Ktoś podał mu kielich wina. Wypił je jednym haustem, a potem wziął drugi kielich i również wypił całą jego zawartość. Rozsunęto zasłony i zobaczył światło odbite w Canale Grande, wpadające do sali. Paul zmrużył oczy.

Wiedział, że młodzieńca wyprowadzono z sali, za nim wyszła kurtyzana, nic to go jednak nie obchodziło. Ktoś do niego mówił niskim, uspokajającym tonem, ale on nie rozumiał słów, jakby pochodziły z jakiegoś obcego języka.

A potem stanął przed nim sam Zuanne Memmo. W dłoni trzymał różową sakiewkę.

- Jest twój, Angliku. - Pindar ledwie zdawał sobie sprawę z tego, że tamten daje mu brylant. Kiedy nie wyciągnął po niego dłoni, Memmo podniósł ją, a następnie zacisnął jego palce na sakiewce. - Błękitny brylant sułtana należy teraz do ciebie.

Paul poczuł ciężar klejnotu. Pomyślał, że powinien się ucieszyć, ale nic nie czuł. Ktoś położył mu dłoń na ramieniu. Kiedy się obrócił, zobaczył Ambrose'a Jonesa. Zamrugął. Co on tu robi? Wino nagle uderzyło mu do głowy i trochę go zamroczyło. Płonęło w jego żyłach niczym *aqua vitae*.

- Gratuluję, Paul.

- Dziękuję.

- Zatem brylant zmienił właściciela.

- Tak.

Zamilkł na chwilę. Patrzyli na siebie w milczeniu. Mimo oszołomienia Pindar czuł emanującą od niego wrogość.

- Rzucę o niego monetą.

- Co takiego? - Paul otworzył usta ze zdziwienia, niczym wiejski głupek.

- Powiedziałem, że rzucę o niego monetą. Paul zaczął się śmiać.

- O czym ty mówisz, Ambrose?

- Sam słyszałeś - rzucił krótko Jones.

- Tak, słyszałem. - Otarł łzy z oczu i policzków, czując, że kręci mu się w głowie. - Ale... chyba żartujesz.

Wystarczyło jednak spojrzeć na Jonesa, by przekonać się, że tak nie jest.

- Jesteś mi to winny.

- Winny? - powtórzył. - Niby dlaczego?

- Po tym co ten... ten... - Ambrose aż poczerwieniał ze złości. - Nie chcę nawet wymawiać jego imienia! Ale jesteś mi to winny po tym, co zrobił ten twój sługa!

Paul wciąż patrzył na niego ze zdziwieniem. I znów ten dysonans. Gdyby tylko tak bardzo nie kręciło mu się w głowie!

- Ale ten kamień jest... - urwał nagle, świadomy, że wszyscy w pokoju zamilkli - bezcenny!

- Ja też mam coś takiego - mruknął Ambrose, a następnie wyjął z kieszeni złożony pergamin.

- Kawalek papieru?

- Tak, kawałek papieru. Informacja, na której zależy ci bardziej niż na tym klejnocie.

- A cóż to za informacja?

- List od Celi Lamprey, który udało mi się zdobyć. Właściwie wiersz. Wygląda na to, że napisała go do ciebie. - Ambrose westchnął i przewrócił oczami. - Własną, delikatną rączką, jeszcze w haremie padyszacha w Konstantynopolu. Muszę powiedzieć, że bardzo mnie wzruszył.

Rozwinął papier, by Paul mógł zobaczyć kształtne litery. Niewątpliwie to Celia napisała ten wiersz. Paul rozpoznałby jej pismo na końcu świata.

- Do ukochanego, pożegnanie - Jones odczytał tytuł i urwał, by sprawdzić jego reakcję. - Co, Pindar, pobladłeś jeszcze bardziej. Zapewniam cię, że dowiesz się z niego wszystkiego. Nareszcie poznasz prawdę, o którą chodziło ci przez wszystkie te lata... - Jones uśmiechnął się lekko. - Tak, pragnienie twego serca.

Paul otworzył usta, by coś powiedzieć, ale bez skutku. Zamknął je. Milczał przez dłuższą chwilę.

- Skąd mam wiedzieć, że nie kłamiesz? - spytał w końcu. Wiedział, że musi grać na czas, by przemyśleć wszystko. Jednak umysł miał ociężały i jakby pogrążony w mroku.

- Wygląda na to, że była jednak w haremie...

- Nie wierzę!

- Klnę się na Boga. - Jones wbił w niego wzrok. - Zaufaj mi. Jeden rzut monetą i ten list będzie twój. Dam ci go, niezależnie od tego, kto wygra. To chyba bardzo wspaniałomyślnie z mojej strony?

- A jeśli odmówię?

Jones przesunął pergamin nad świecę. Płomień zaczął leniwie lizać jego brzegi.

- Jak widzisz...

- Nie, zaczekaj... - Paul wyciągnął przed siebie rękę. - Nie rób tego.

Zaczął się pocić. Czuł, że serce bije mu coraz mocniej. Nie wiedział, co w tej sytuacji począć. Musiał się na coś zdecydować, zanim będzie za późno.

- Kamień zmienił właściciela i teraz ja nim jestem - rzucił z nadzieją, że Jones nie wyczuje, jak bardzo jest zdesperowany. - Nie możesz go wygrać. Sam brylant mnie wybrał.

- Więc nie masz się czego obawiać - rzekł miękko Ambrose. - No dalej, Paul, pomyśl o liście - szepnął.

Kiedy Pindar nie odpowiedział, wyciągnął w jego stronę srebrnego dukata.

- Jeśli wyrzucę reszkę, możesz zatrzymać brylant. Jeśli nie, będzie należał do mnie.

Paul skinął głową.

- *Cavaliere Memmo* - Jones zwrócił się do właściciela *ridotto* - będziesz moim świadkiem. - Rozejrzał się po sali. - Wszystkich tu biorę na świadków. Jeśli wygram ten brylant, to uczciwie... Nikt nie będzie mógł temu zaprzeczyć.

Po chwili odezwały się pojedyncze głosy:

- Dobrze.

- Niechaj będzie!

- Brawo!

Memmo wziął monetę i zażądał od Jonesa pergaminu. Następnie zwrócił się do Paula:

- *Signor Pindar*, czy jesteś pewny, że tego chcesz? - W jego oczach pojawił się wyraz politowania. - Wiem, że lubisz hazard, ale brylant... za kawałek papieru...

- Nic nie rozumiesz. - Paul pokręcił głową. - Po prostu rzuć monetą.

- Dobrze, jak uważasz...

Zuanne nie zadawał już więcej pytań, tylko wyrzucił w górę srebrną monetę.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY

Kiedy Paul w końcu wyszedł z *ridotto* Zuanne Memmo, zauważył, że w nocy padał deszcz. Temperatura bardzo spadła i zrobiło się wręcz chłodno. Stał przez chwilę na progu składu z winami, starając się oswoić z jasnym światłem. Kiedy to ostatnio stał w tym miejscu z Carew i France-skiem? Tydzień, miesiąc, a może życie temu? Nie miał pojęcia. Zupełnie stracił rachubę czasu. Z przyjemnością wciągnął powietrze do płuc. Po zaduchu, który panował w sali, wydało mu się czy-ste i wonne. Nad miastem wisiała kurtyna mżawki, deszczu tak delikatnego, że w ogóle nie było go widać. Wenecjanie nazywali go łzami aniołów.

Paul trzymał w dłoni pergamin, który Memmo podał mu po tym, jak Jones odebrał brylant.

Usiadł teraz na stopniach składu winnego, chroniąc papier przed wilgocią. Ręce mu się trzę-sły. Być może błękitny brylant sułtana rzeczywiście ma magiczne właściwości i wcale nie trzeba być jego właścicielem, by doświadczyć jego dobrodziejstw. Miał przed sobą słowa, które mogły wskrzesić Celię. Słowa, które mogły odkryć tajemnice przeszłości i wreszcie go uwolnić.

Jednak teraz, kiedy przyszła chwila, by je odczytać, nie mógł się na to zdobyć. Zastygł nad pergaminem, nie będąc w stanie się ruszyć. A jeśli Ambrose kłamał? Poczul, jak zimny dreszcz przebiegł mu po plecach. Wydawało mu się, że rozpoznał charakter pisma Celi, ale mógł się prze-cież mylić. A może napisała ten list do kogoś innego? Albo dotyczył czegoś zupełnie z nim nie-związanego...

Był tylko jeden sposób, by to sprawdzić. Paul dotknął pergaminu, a następnie podniósł go do nosa i powąchał. Poczul daleki, słodki zapach. Rozwinął papier. Wiersz napisano grafitem, a litery były tak małe, że musiał się pochylić, by je odczytać. Usłyszał głos zza grobu.

DO UKOCHANEGO, POŻEGNANIE

*Kiedy spotkałam cię przy bramie
Ja sama w niewolniczym stanie,
Wiedziałam wtedy, rzewnie płacząc,
Że już cię nigdy nie zobaczę!
I dumam, gdzie ty teraz jesteś
Z myślą ponurą, martwym sercem,*

*Czy jeszcze kiedyś tak się zdarzy -
O tym me serce teraz marzy -
By dola zła się odwróciła,
Serce z miłością połączyła.
Lecz otoczona nocy mrokiem,
Gdy księżyc skrył się przed moim okiem,*

*Widząc meczetów dziwne cienie
Na niebie ciemnym nieskończenie,
Słyszę, w pościeli leżąc, prawdę:
Straciłam cię i już nie znajdę!
O ukochany! Wspomnij na mnie,
Kiedy się wreszcie w Anglii znajdziesz,*

*Gdzie słońce barwi drzewa, liście
- Ogród, gdzie razem chodziliśmy,
Gdzie czas i świat należał do nas
I radość sączył w nasze łona.
Wspomnij, że gdzieś przy obcej wodzie
Bosforu cię wspominam co dzień,*

*Pod obcym niebem, w obcym kraju
Wspomnienia zasnąć mi nie dają,
Serce mam martwe, mój czas mija,
A żal powoli mnie zabija.*

Zatem wiedziała! Celia wiedziała o tym, że był w Konstantynopolu. Wszystko jedno, czy z powodu statku z karmelu Carew, czy też jego kompendium. Tego przynajmniej mógł być pewny. A poza tym wyglądało na to, że z jakiegoś powodu spodziewała się zobaczyć go raz jeszcze. Czekala na niego, myślała, że się spotkają, liczyła, że po nią przyjdzie... Czy czuła się opuszczona? Dobry Boże! Paul zaczął żałować, że przeczytał ten wiersz, który zamiast go uwolnić, skazywał na jeszcze większe katusze.

Ruszył przed siebie, pogrążony w ponurych myślach. Przeciskał się przez zatłoczone, wąskie *calle*, przechodził przez niezliczone mosty. Woda w kanałach wydawała mu się czarna jak noc. Nie wiedział, dokąd zmierza i co w ogóle ma zamiar robić.

Natknął się na mały *campo* z kamienną studnią. Zauważył, że dwa domy mają zabite deskami wejścia, oznaczone czarnymi krzyżami. Uciekł stamtąd przerażony.

W którymś momencie trafił na nieco szerszą ulicę. Gdzieś w oddali zamajaczył mu wśród mgły żółty turban. Czy to możliwe? Czy to rzeczywiście Ambrose?

Zaczął go śledzić, chociaż sam nie wiedział, po co to robi. Być może tylko dlatego, że Jones miał brylant - jego brylant! - ukryty gdzieś w fałdach swojej bogatej szaty. Sama myśl o tym wystarczyła, by Paul poszedł za nim jak w dym.

Wpadło mu do głowy, że powinien dogonić Ambrose'a, ugodzić go rapierem i zabrać brylant. Jones mógłby potem zdychać niczym szczur przy kanale... Jednak kolejne dni bez snu, a potem wino zrobiły swoje. Poza tym dotarło do niego, że zostawił rapier w *ridotto* Zuanne Memma.

Ach, gdyby miał tutaj Carew! Nie wątpił, że jego służący poradziłby sobie z Jonesem gołymi rękami. Pomijając ten prosty fakt, że nigdy nie rozstawał się ze swoimi kuchennymi nożami... Jednak Carew był teraz gdzieś daleko i trudno się było spodziewać, że wróci. Co ja narobiłem! - pomyślał Paul. Został zupełnie sam i nie miał pojęcia, co z nim dalej będzie.

Zaczął drzeć, nie wiedział, czy z zimna, czy przerażenia. Dopiero teraz uświadomił sobie, że jest w samej koszuli. Wszystko, łącznie z kubrakiem i kapeluszem, zostało u Memma.

Deszcz, chociaż nikły, był jednak bardzo uporczywy. Paul czuł, że robi się coraz bardziej mokry, ale nie dbał o to. Poza tym nie sądził, by w tym stanie udało mu się odnaleźć tajemniczy pałacyk Memma. *Ridotto* wydawało mu się w tej chwili czymś fantasmagorycznym, o czym czasami opowiadają żeglarze.

Wciąż szedł za Jonesem, potykając się czasami, i w którymś momencie stwierdził ze zdziwieniem, że znajduje się na otwartej przestrzeni. Mgła była tak gęsta, że dopiero po chwili rozpoznał to miejsce. Potem jednak zobaczył złocone kopuły, kolejne kościoły, biało-różowe budynki i pojął, że to plac Świętego Marka.

Gdzieś obok odezwały się dźwięki cymbałów, fujarki i bębna. Smętne nuty zagłuszała oblepiająca wszystko mgła. Koło kanału zebrała się niewielka grupa widzów ubranych w długie, czarne płaszcze. Ambrose podszedł do nich, a Paul ruszył za nim, pilnując, żeby tamten go nie zauważył.

Wędrowną trupą zaczynała spektakl przed pałacem doży. Paul widział wiele podobnych występów, głównie akrobatów, ale zdarzali się też linoskoczkowie, siłacze i magicy. Wszystkie te zespoły ściągaly do Serenissimy w to samo miejsce. Okazało się jednak, że Ambrose nie miał ochoty na występy. Szedł do zacumowanej tuż obok gondoli. Paul, który trzymał się za nim jak cień, podążał za dźwiękami muzyki aż do nabrzeża.

Raptem coś innego przykuło jego wzrok. Otóż cała trupa składała się z kobiet, a jedna z nich miała pociągłą, pobieloną czymś smutną twarz. Ubrana w kolorową szatę ze srebrnymi cekinami poruszała się szybko wśród tłumu... Paul początkowo myślał, że tańczy, ale potem zrozumiał, że krąży wśród widzów, jakby poruszała się na dobrze naoliwionych kołach.

Mgła zaczęła się rozwiewać. Na placu pojawiły się pierwsze wodniste promienie słońca, które zaczęły się odbijać w cekinach jej sukni, aż w końcu kobieta lśniła niczym anioł.

Było to tak dziwne zjawisko, że nawet Ambrose zatrzymał się na chwilę. Paul, który również przybliżył się do artystek, zauważył, że tajemnicza kobieta nie tylko chodzi wśród tłumu, ale też sprawia, że znikają, a potem pojawiają się w zupełnie innym miejscu kolejne przedmioty.

Widział, jak wyjmuje z rękawów i kapturów pióra, kwiaty i owoce. Rozwinęła chustkę jednej z mieszczek i okazało się, że w środku znajdowała się róża. Wzięła też fulary od dwóch stojących obok arystokratów, związała je, a następnie zaczęła wyciągać z zaciśniętej pięści sznur kolorowych chusteczek. Wystarczył jednak tylko ruch jej rąk, ażeby wszystkie zniknęły. Z uszu stojących obok dzieci wyjęła dwa jajka, a kiedy rzuciła je do góry, te w ogóle nie spadły. Znalazły się jednak po chwili w kieszeniach kolejnych gapiów.

Muzyka nabrała tempa. Odezwał się werbel. Kobieta stała teraz przed Ambrose'em. Wyciągnęła dłoń w jego stronę i wyjęła coś z jego turbanu. Jones machnął ręką, jakby chciał ją odepchnąć, ale ona uchyliła się szybko. W dłoni miała coś, co pokazała gęstniejącemu tłumowi. Paul wyciągał szyję, by to dojrzeć, ale był za daleko. Wystarczył mu jednak widok przerażonej miny Jonesa, by zrozumieć, co zabrała. Zresztą po chwili zdołał dostrzec różową sakiewkę w ręce kobiety. Błękitny brylant sułtana!

Ambrose najpierw pobladł, a potem poczerwieniał. Oczy wyszły mu z orbit i wyglądał tak, jakby miał za chwilę wybuchnąć. Otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale tylko poruszył nimi parę razy, nie mógł jednak wydobyć z siebie głosu. Kobieta zrobiła taki ruch, jak gdyby chciała rzucić sakiewkę w górę.

- Przestań, złodziejko! - wrzasnął w końcu Jones. Było jednak za późno.

Sakiewka po prostu nagle zniknęła z ich oczu.

Jednak kobieta coś złapała i podała to Jonesowi. Była to srebrna moneta. Mężczyzna rzucił na nią okiem, a potem wypuścił z rąk.

- *Ladra!* Złodziejka! Gdzie moja sakiewka?! - wrzeszczał. - Co z... tym... tym zrobiłaś?! - Chwyił ją za gardło i zaczął nią potrząsać. - Ty wstrętne złodziejko, ty zakało, oddaj mi ją natychmiast! - wrzeszczał.

- Przepraszam, *kyrios*... Nie chciałam zrobić nic złego... - zaczęła.

Jednak Jones zaczął ją już dusić. Trzy kobiety, które przygrywały podczas występu, rzuciły swoje instrumenty i ruszyły jej z pomocą.

- Zostaw ją! Puszczaj - krzyczały.

Pomógł im jakiś mężczyzna z tłumu i w końcu udało im się odciągnąć oszalałego z gniewu Ambrose'a.

Kobieta leżała, ciężko dysząc, na bruku. Na policzku miała ślady zadrapania. Wyjęła różową sakiewkę - Paul nie miał pojęcia skąd - i rzuciła Jonesowi.

- Oto sakiewka, *kyrios* - powiedziała. - Nie chciałam zrobić nic złego.

Ambrose złapał sakiewkę z trudem, a następnie cały drżący zważył w dłoni. Twarz miał wykrzywioną w okropnym grymasie. Ręce trzęsły mu się z chciwości. W końcu jednak skinął z satysfakcją głową i po chwili wszedł do gondoli.

Paul patrzył, jak odpływa. Spoglądał na unoszący się i opadający dziób łodzi, na wodę, która objęła się o jej burtę... Gondolier odpychał się coraz mocniej, kierując się w stronę zatoki. Po jakimś czasie łódź zniknęła we mgle.

Pokaz się skończył i tłum gapiów zaczął się powoli rozchodzić. Paul usiadł na nadbrzeżu i oparł głowę o kolana, zbyt zmęczony, by zastanawiać się nad swoją sytuacją.

Dopiero po chwili zorientował się, że ktoś stoi obok. Obrócił głowę i dostrzegł smutną kobietę w sukni z cekinami. Sięgnął do kieszeni, ale nagle dotarło do niego, że nie ma choćby paru miedziaków, by nagrodzić ją za występ.

- Przepraszam... - zaczął, ale ona uciszyła go ruchem dłoni.

- Paul Pindar?

Wydawało mu się, że nic nie może go zaskoczyć, ale okazało się, że niesłusznie.

- Słucham?!

- Czy nazywasz się Paul Pindar i jesteś angielskim kupcem? Pomyślał, że ma przyjemny, niski głos i że nie jest Wenecjanką, ale chyba Greczynką.

- Tak - potwierdził, starając się nie wybuchnąć dzikim, histerycznym śmiechem, takim, który nigdy się nie kończy. - Przynajmniej kiedyś nim byłem...

- *Panagia mou* - rzekła z westchnieniem.

Spojrzała tam, gdzie zniknęła gondola Jonesa. Na jej ustach pojawił się lekki uśmiech.

- Odpłynął?

- Tak - odparł po prostu Paul, bo nie było już nic więcej do powiedzenia.

Po Ambrosie nie został nawet ślad, a on poczuł się tak, jakby ktoś zdjął mu olbrzymi ciężar z barków.

- Więc mogę ci to pokazać.

Podawała mu niewielki, lśniący przedmiot. Wziął go, nie bardzo wiedząc, o co jej chodzi. Była to srebrna moneta, ta sama, którą Jones wyrzucił na ziemię.

- Co to za moneta?

- Przyjrzyj się jej uważnie.

Paul obrócił ją w palcach i dostrzegł reszkę po obu stronach. Zwrócił ją w milczeniu kobiecie.

- Użył jej, by cię oszukać. Twój przyjaciel, John Carew, był pewny, że on zrobi wszystko, by zdobyć brylant. Jednak to Constanza Fabia odkryła, na czym polega sztuczka z monetą. Powinieneś im podziękować, *signor* Pindar... Zwłaszcza Johnowi Carew za to, że zechciał jednak ze mną porozmawiać.

John chciał z nią rozmawiać? Ale po co? Paul nic z tego nie rozumiał, jednak było mu to obojętne. Oboje milczeli przez dłuższą chwilę.

- Wszystko jedno - rzucił w końcu. - Brylant i tak zmieniliby właściciela. Podobno nie ma sensu próbować temu zapobiec...

Na ustach kobiety pojawił się szerszy uśmiech.

- Być może ktoś powinien o tym powiedzieć twemu przyjacielowi Jonesowi...

Paul nie miał pojęcia, skąd zna nazwisko Ambrose'a czy też jego, nie mówiąc o Carew i Constanzy. Nie zastanawiał się nad tym jednak, gdyż miał wrażenie, że śni, że to wszystko nie dzieje się naprawdę.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Że ten klejnot zmienił już zbyt wielu właścicieli w ciągu ostatnich miesięcy...

- Więc...?

Kobieta wyciągnęła coś w jego stronę.

- Weź go, panie. To błękitny brylant sułtana.

W tym momencie obok pojawiły się kobiety, które grały na instrumentach.

- Już czas, Eleno - powiedziała jedna z nich.

- Jest tutaj?

- Popatrz, właśnie płyną... - Inna wskazała wody zatoki.

- Pomóżcie mu wstać - powiedziała ta, którą nazywały Eleną. - Tylko ostrożnie... Muszę cię uprzedzić, że nie pamięta niektórych rzeczy i być może nigdy ich sobie nie przypomni. Może to lepiej, jak mówiła Maryam. - Nie wiedzieć czemu w jej oczach pojawiły się łzy.

Paul patrzył na nią, niczego nie rozumiejąc.

- Jej nogi nie są połamane, jak sądziłam... Medycy z *ospedale* mówią, że miała przecięte ścięgna. *Panagia mou!* Ale jest jednak nadzieja, że kiedyś będzie normalnie chodzić.

- Jej nogi? - Złapał ją mocno za ramię. - Czyje nogi? - Serce biło mu mocno, chociaż sam nie wiedział dlaczego.

Zauważył dwie strużki łez na jej pobielonych policzkach.

- Nie wiesz? - Popatrzyła na niego smutno, ale też z niezmierną dobrocią. - Jak myślisz, dlaczego brylant w końcu trafił do ciebie?

A potem nagle znalazł się sam na nadbrzeżu. Kobiety gdzieś zniknęły. Patrzył przed siebie tam, gdzie przed chwilą pojawiła się gondola. Na jej pokładzie znajdowały się dwie postacie - mężczyzny i kobiety. Kiedy łódź się zbliżyła, na dziobie zobaczył Carew. Tuż za nim leżała przykryta pledem kobieta. Mgła nie pozwalała Paulowi dostrzec jej twarzy.

To niemożliwe, pomyślał.

Czy powiedział to? Nie wiedział. Boże, błagam...

Nie słyszał, czy powiedział to głośno.

- Dobry Boże, proszę...

Oczy miał pełne łez, prawie nic nie widział. Ale teraz ją zobaczył.

Carew pomógł wstać kobiecie, a ona obróciła się w jego stronę i... zawołała go po imieniu.

Mój Boże!

Paul opadł w deszczu na kolana. Celia! Moja Celia! Moja Celia!

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SIÓDMY

Kiedy Carew dotarł w końcu do klasztoru, znowu zaczęło padać. Deszcz zaciągnął kurtynę nad ogród botaniczny i zasnuł okna na górze oraz czubki lip melancholijną białą mgiełką.

Tym razem podpłynął do głównego wejścia. Powitała go zakonnica, której głosu nie potrafił rozpoznać.

- Nie możesz tu wejść, panie - usłyszał niezbyt pewny, zduszony głos. - Musisz odpłynąć...

Jednak Carew nie dał się tak łatwo zniechęcić. Walił w drewnianą bramę pięściami, aż wreszcie kratka się otworzyła i dostrzegł w niej przerażone brązowe oczy.

- O co chodzi? - spytała młoda zakonnica z akcentem typowym dla weneckich warstw niższych. - Nie sprzedajemy ziół. Podobno przenoszą zarazę. Arcybiskup zakazał tego, aż będzie po wszystkim.

- Wszystkim? Jakim wszystkim?

- Nie słyszałeś? Mamy tu zarazę. Nie możemy nikogo wpuszczać zgodnie z wolą arcybiskupa.

Chciała zamknąć zakratowane okienko, ale Carew był szybszy. Błyskawicznie sięgnął do pasa i zablokował je jednym ze swoich noży. Zakonnica wydała cichy okrzyk, widząc tak bluźniercze zachowanie.

- Otwieraj, bo rozwalę bramę gołymi rękami!

Po drugiej stronie zaległa cisza. Przez uchylone okienko widział, że zakonnica stoi ze spuszczoną głową po drugiej stronie bramy i nasłuchuje.

- Nie chcę, żebyś miała z mojego powodu nieprzyjemności, *suora* - zaczął pojednawczym tonem. - Mogę iść do twojej przeoryszy po pozwolenie...

- Wielebna Bonifacia nie żyje, panie. Zmarła cztery dni temu... Jej służąca też. A... *suora Purificaci6n* leży śmiertelnie chora, chociaż wydawało się, że nawet śmierć będzie się bała po nią przyjść... - rzekła szybko furtianka głosem cienkim jak dziecko. - Inne starsze zakonnice, *discrete*, też chorują. A *educande* wyjechały do domów... - mówiła coraz ciszej. - Powinieneś odpłynąć, panie. Nie wolno tu wchodzić!

Carew zastanawiał się przez chwilę. Mimo gróźb doskonale wiedział, że nie sforsuje bramy klasztoru. Mógłby zapewne wejść od strony ogrodu czy też przeskoczyć przez mur, jak mu się to już wcześniej zdarzało, ale jakoś stracił ochotę na tego rodzaju zabawy.

Wziął więc głęboki oddech.

- Przepraszam, że cię wystraszyłem, *suora*. Rozumiem, że sytuacja jest poważna. - Cierpliwość nie była jego mocną stroną, ale opłacało się, gdyż zakonnica westchnęła z ulgą. - Jak masz na imię?

- Eufemia, panie.

- Posłuchaj więc, Eufemio, mam bardzo ważną sprawę - starał się mówić wolno i spokojnie. - Muszę koniecznie porozmawiać z siostrą Annetą. Możesz mi pomóc?

- Ze *suorą* Annetą?! - Wyczuł podniecenie w jej głosie.

- Tak, właśnie. - Oparł głowę o bramę. Dobry Boże, co się z nim dzieje? - Czy... czy mnie wpuścisz?

Chwila ciszy, a potem usłyszał trzask zamka. Po chwili furtka w bramie drgnęła, a on natychmiast zablokował ją nogą. Kiedy w końcu zakonnica ją otworzyła, Carew zauważył, że jest bardzo zdenerwowana i że może mieć najwyżej dwanaście, trzynaście lat. Nosila jednak pełny strój zakonny, w którym wyglądała dosyć groteskowo, zwłaszcza że habit był powyciągany i niezbyt czysty, a za duże drewniaki nosiły wcześniej pewnie inne zakonnice.

Po obu stronach przejścia płonęły słomiane wiechcie; ich dym miał oczyścić powietrze z zarazy.

- Chcesz zatem rozmawiać ze *suorą* Annetą?

- Tak - odparł.

- Więc pewnie to ty - mruknęła.

- To znaczy kto? - spytał zdziwiony.

- To tobie miałam przekazać ten list w pracowni Prospera Mendozy. - Popatrzyła na niego niewinnie. - To przez ciebie ona ostatnio ciągle płacze.

Carew stał przez chwilę w milczeniu.

- Płacze? Przeze mnie? - powtórzył.

Do licha, co się z nim dzieje? Czy musi powtarzać wszystko niczym wiejski głupek? Jednak mimo irytacji na samego siebie czuł się też dziwnie podekscytowany, choć jednocześnie zawstydzony. Było to zaskakujące, nieznanne mu uczucie, którego nie potrafił nawet nazwać.

Płacze przeze mnie? - chciał powtórzyć raz jeszcze. Naprawdę przeze mnie płacze? Chciał usłyszeć te słowa raz jeszcze, gdyż teraz wydawało mu się, że Eufemia nigdy ich nie wypowiedziała.

Jednak nie poprosił jej o to, gdyż nie bardzo wiedział, jak to zrobić.

- Oczywiście Annetta mówi, że to dlatego, iż zgubiłam ten list - dodała Eufemia. - Ale ja go nie zgubiłam, tylko dałam temu zabawnemu grubasowi, w takim dziwnym żółtym kapeluszu, bo mówił, że jest twoim przyjacielem. Temu z nosem wielkim jak *zucchino*... On mnie oszukał - jej

oczy się zwężyły - a teraz Annetta mówi, że nie może dotrzymać słowa danego przyjaciółce. - Eufemia pokręciła głową z miną doświadczonej kobiety. - Ale ciebie nie było, a ja wiedziałam, że dlatego płacze...

- Proszę, Eufemio, zaprowadź mnie do niej - rzucił szybko Carew, nie chcąc, by nadal trajkotała. - Mam dla niej dobre wieści na temat jej przyjaciółki. Dla ciebie zresztą też... - Sięgnął za pazuchę. - Przyniosłem ten list, by pokazać, że chcę dobrze.

Eufemia popatrzyła na niego nieufnie.

- Skąd go wzięłeś?

- Od tego mężczyzny... w żółtym kapeluszu - powiedział z uśmiechem. - Przyjmijmy, że mi go dał.

- Dobrze, niech będzie. - Zaprosiła go gestem do środka. - Ale nie zrobiłabym tego, gdyby chodziło o kogoś innego.

Przeszli razem przez dziedziniec, a potem podcieniami do części klasztoru przeznaczonej dla gości. Carew wszedł do saloniku, gdzie przybysze zwykle czekali na zakonnice, i popatrzył na metalową kratę odgradzającą go od drugiego pomieszczenia. Ku jego zaskoczeniu Eufemia nie każała mu tu zostać, ale poprowadziła go dalej, do głównej części budynku.

Dopiero teraz zwrócił uwagę na dziwną ciszę, która panowała w klasztorze. Zwykle dało się tutaj słyszeć kobiece głosy, tupot drewniaków czy odgłosy przygotowywania posiłków. A w powietrzu unosił się aromat pieczonego mięsiwa oraz przypraw. Teraz jednak cały budynek był jakby wymarły. Nie słychać było nawet szmeru. Wyglądało też na to, że zakonnice porzuciły swoje codzienne zajęcia.

Przeszli przez dwa kolejne, zupełnie puste pomieszczenia. Czyżby wszystkie zakonnice pochowały się w swoich celach? W końcu Eufemia zatrzymała się przed drzwiami nieznanego mu pokoju. Nigdy wcześniej nie trafił tu w czasie swoich nocnych wędrówek.

Refektarz był dużą salą z boazerią z ciemnego drewna. Na przeciwległej ścianie wisiał prosty krzyż, a tuż pod nim marna kopia *Ostatniej wieczerzy*. Mniej więcej na środku pokoju stało duże krzesło z rzeźbionym oparciem, w rodzaju tych, z których korzystają biskupi. Nieco dalej, naprzeciwko pierwszego, stało drugie, znacznie skromniejsze, a między nimi znajdował się rząd nadpalonych słomianych wiechci.

- Zostań tu, panie. - Eufemia wskazała skromniejsze krzesło, które stało bliżej drzwi. - Nie wolno ci się z niego ruszyć, *capito*?

- *Capito*.

Przysiadł na brzegu krzesła i rozejrzał się dookoła. Po trzech stronach pomieszczenia ustawiono ciężkie stoły na krzyżakach. Przy każdym miejscu stało naczynie z solą i butelka oliwy.

Jednak blaty były brudne, wały się na nich okruchy chleba i jakieś resztki posiłków. Do refektarza wleciał przez otwarte okno wróbel i zaczął dziobać drobiny pieczywa.

A przecież klasztor zawsze wydawał mu się tak czysty! Jak to możliwe, że zmienił się tak bardzo w ciągu zaledwie paru dni? Zaczął się też zastanawiać, co zrobi, jeśli zjawi się tutaj jakaś inna zakonnica, ale chociaż nadstawiał uszu, nie słyszał nawet odległych kroków czy głosów.

W końcu otworzyły się drzwi w przeciwległym końcu refektarza, a kiedy uniósł głowę, dostrzegł w nich znajomą postać. Annetta była nieco bardziej blada niż zwykle, miała na sobie habit, ale nie włożyła welonu i widział teraz jej długie, ciemne włosy, opadające na ramiona.

Najpierw stała w drzwiach, mierząc go wzrokiem. Odniósł wrażenie, że jest na niego z jakiegoś powodu zła.

- Cóż to za szaleństwo? - spytała.

Kiedy nie odpowiedział, zrobiła parę kroków w głąb pokoju.

- Czy nie rozumiesz, że mamy tu zarazę? - Wskazała nadpalone wiechcie. - Nie powinieneś tu przychodzić. - Dotarła do krzesła i położyła dłoń na jego rzeźbionym oparciu.

- Nie powinieneś tu przychodzić - powtórzyła niemal szeptem.

- Musiałem. - Carew wstał. - Ktoś powinien ci powiedzieć, że Celia Lamprey się odnalazła. Jest tu, w Wenecji, niecałą milę stąd.

- Celia?! - Zmarszczyła brwi. - Skąd o niej wiesz? - mówiła wolno jak we śnie. - Znalazła się?

- Tak.

Zauważył, że ścisnęła mocniej oparcie.

- Celia... niemożliwe! Ale skąd wiesz...? - Była wyraźnie zmieszana i wciąż nie mogła znaleźć odpowiednich słów.

- Jestem służącym Paula Pindara.

- Co?! Ty, *monarchino*...!

- Właśnie. A ty jesteś niewolnicą z haremu. To ciebie szukaliśmy...

- Ty?! - przerwała mu Annetta, jakby nie mogła uwierzyć własnym uszom. - Nie, nie, to niemożliwe. Kiedy zapytałeś o błękitny brylant sułtana, pomyślałam... - Urwała na chwilę. - Prawdę mówiąc, nie wiedziałam, co myśleć. Dlatego właśnie wysłałam Eufemię, by cię odnalazła... - Znowu szukała odpowiednich słów. - Ale nigdy nie przeszło mi przez myśl, że możesz być jego służącym.

Patrzyli na siebie w milczeniu.

- Czy... czy on też tu jest?

- Tak, razem z nią.

Annetta wydała cichy okrzyk i położyła dłoń na piersi, jakby sama myśl o tym była tak słodka, że aż bolało.

- Może usiądziesz - zaproponował, wskazując krzesło. Annetta potrząsnęła głową.

- Nie, zaraz muszę wracać...

- Celia mówiła, że ukradłaś ten brylant matce sułtana, a następnie go jej przekazałaś...

- Żeby przekupiła eunuchów i wydostała się z niewoli. Ale to było rok temu. - Oparła się ciężko o krzesło. - A ja nie wiedziałam, co się z nią dzieje... - Popatrzyła na niego z niepokojem. - Jak... się czuje? Czy nic jej nie jest?

- Myślę, że z czasem dojdzie do siebie - odrzekł ostrożnie Carew. - Odbyła jednak długą i ciężką podróż.

- To znaczy?

- Sułtan kazał ją utopić. Ten brylant uratował jej życie. Annetta zakryła usta dłonią.

- Biedactwo!

- Tyle pamięta, ale nie wie, co działo się później. Komu dała ten brylant. Dlaczego jednak wrzucili ją do wody? Kto ją uratował? - Carew kręcił głową. - Czyje dziecko urodziła?

- To ona ma dziecko? - patrzyła na niego z niedowierzaniem.

- Miała, ale zmarło w czasie podróży.

Carew opowiedział jej pokrótce historię Celi Lamprey, brylantu, chciwości jednych i dobroci innych. Opowiedział o małej syrenie, która nie była syreną, o Jonesie i jego popleczniku Bocellim, a także Elenie, Maryam i Constanzy. Oraz o wielkiej grze o brylant sułtana.

Zdradził nawet, jaką rolę sam odegrał w tej historii. O tym, jak coś go tknęło i zgodził się jednak pójść z Eleną.

Kiedy skończył, stali, patrząc sobie w oczy.

- Nie mogę w to wszystko uwierzyć - bąknęła.

- Przysięgam, że to prawda.

Carew nie wiedział, co się z nim dzieje. Nie mógł oderwać oczu od twarzy Annetty. Bał się poruszyć, bo spodziewał się, że wyjdzie wówczas z refektarza. Milczeli przez dłuższą chwilę. Słychać było tylko wróble na belkach pod sufitem.

- I co teraz?

- Celia prosiła, żebym cię odnalazł. Chce się z tobą spotkać.

- To niemożliwe! - powiedziała gniewnie. - Nie widzisz, co się dzieje? Nikt nie może tu teraz przychodzić. - Znowu popatrzyła na wiechcie. - Ty też zrobiłeś głupstwo - szepnęła.

Dlaczego zdecydował się tu wejść mimo ostrzeżeń Eufemii? Czyżby rzeczywiście ogarnęło go jakieś szaleństwo? To fakt, że ostatnio był jakiś inny. Nie mógł znaleźć sobie miejsca. Nie wiedział, co się z nim dzieje. Zmienił się od dnia, kiedy znalazł w ogrodzie jej sakiewkę...

- Przyszedłem tu, bo... bo nie mogłem już wytrzymać bez ciebie.

Sam się zdziwił, że to powiedział. A kiedy to już się stało, ogarnęło go jakieś dziwne uczucie. Miał wrażenie, jakby nie był już panem siebie, jakby ktoś inny przez niego przemawiał.

Popatrzyła na niego płonącym wzrokiem.

- Ale... ja się boję...

- Nie bój się. Wtedy w ogrodzie... nigdy bym cię nie skrzywdził - zapewnił. - Klnę się na Boga, że nie masz czego się bać.

- Jednak wciąż się boję.

- Czego? - zapytał wprost.

- Że... że to dla ciebie tylko gra.

- Nie, przysięgam!

- Nie zniosłabym tego...

- Nie musisz się obawiać - przekonywał.

Chciał przed nią uklęknąć. Zrobił nawet dwa kroki, zanim zorientował się, co się dzieje. Annetta odskoczyła od krzesła.

- Nie zbliżaj się - ostrzegła.

Stali teraz zaledwie dwa kroki od siebie. Między nimi znajdowały się naczynia z nadpalonymi wiechciami. Carew widział jej piękną, długą szyję, dumne usta, policzek z pieprzykiem... Nawet *suora* Veronica nie mogłaby namalować czegoś bardziej wzruszającego.

- Odejdź. - Jej głos drżał. - Musisz odejść stąd. Teraz.

- Nie mogę.

- Idź już. Wiesz, że powinieneś - dodała, kiedy się nie odezwał.

- Jak możesz mi to mówić, skoro płakałaś z tęsknoty za mną przez wszystkie te dni - wyszeptał.

- Ale... skąd...?

- Ponieważ ja płakałem z tęsknoty za tobą.

Kiedy tak stali w tym wielkim pomieszczeniu, wydało im się, że zostali sami na świecie.

- Myślałam, że już nie przyjdiesz. - Łza spłynęła jej po policzku. - Że już cię nigdy nie zobaczę. - Położyła dłoń na sercu, jakby pragnąc uśmierzyć ból. - Ale teraz jest jeszcze gorzej.

- Nie zostawię cię tutaj!

- Nie bądź niemądry, Johnie Crew! - Wytarła łzę dłonią. - Idź już, zanim będzie za późno.

- Pozwól choć raz się uściskać i pocałować.

Nigdy nie pragnął niczego tak bardzo. Chciał przytulić Annettę, poczuć jej ciało, bicie jej serca... Czuł, że byłby później gotów na wszystko. Mógłby stawić czoło kolejnym przeciwnościom losu. Stali tak blisko siebie, że niemal czuł jej zapach, a jednak tak wiele ich dzieliło.

- Nie! - Annetta potrząsnęła głową.

- Nie mogę cię tu zostawić.

- Nie masz innego wyjścia.

Carew rozejrzał się gwałtownie dookoła.

- Chodź ze mną.

- Teraz już wiem, że oszalałeś.

- Naprawdę. Przecież drzwi są otwarte, nikt cię nie będzie zatrzymywał. Mam już opłacone miejsce na statku, który wypływa wieczorem z Wenecji.

- Nie, nie chcę tego słuchać. - Annetta zatkała sobie uszy. - Musisz już iść! Jeśli zostaniesz dłużej, możesz umrzeć!

- Ty też możesz umrzeć, jeśli tu zostaniesz.

- Tak. Być może już się zaraziłam. Ale jeśli przeżyję - zaczęła płakać - to będę... - zakrztusiła się - będę potrzebowała...

- Tak? Czego? - Carew słuchał w napięciu. - Powiedz, czego potrzebujesz?

- Jakiegoś celu w życiu.

W końcu wyszedł z refektarza. Przeszedł przez ponury, rozbrzmiewający echem korytarz, rozmównicę, dziedziniec i przystanął obok bramy, przy której paliły się wiechcie słomy. Wciąż padał deszcz, niemal niewidoczne łzy aniołów.

W głowie miał pustkę. Czuł tylko ból, który niczym kolec wbił się w jego serce. Sam nie wiedział dlaczego, ale nie myślał o Annetcie, Celi czy nawet sobie. Przed oczami miał Paula, który padł na kolana na widok Celi i zaczął płakać niczym małe dziecko.

I wtedy zrozumiał coś, czego nigdy wcześniej nie mógł pojąć. Jak to jest, kiedy traci się ukochaną osobę.

John Carew przeszedł przez bramę i zanurzył się w rozmazany krajobraz.

